



164089

*Nr 1*

# NASZA GOLGOTA.

Z MARTYROLOGII SYBIRSKIEJ.

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO.

*Michał Turczyński  
Czerwików*

tych  
s  
tych  
lin

L W Ó W.

Nakład wydawnictwa „Dziennika Polskiego“

Plac Maryacki liczba 6.

Z drukarni J. Czajńskiego w Gródku.



305852 2H

## OBRAZ PIERWSZY.

# Klasztor w Owruczu.

### I.

Cicho, bez szelestu, na kształt cieni stąpając, wsunęli się o zmroku do wnętrza świątyni, a przodem nich szedł Przeor konwentu.

Na ołtarzu płonęło świec kilka, zresztą ciemności zalegały całe wnętrze świątyni. Przeor stanął u stóp ołtarza, i głosem wzruszonym odezwał się:

— Przepadło!... Wszystko stracone!... Stolica się poddała. Jedni polegli, drudzy złożyli broń swą — a przeszedłszy granicę poszli na tułaczkę. Nieprzyjaciel położył ciężką stopę na ziemię naszą. Bracia kochani! módlmy się teraz za tych, co polegli, ale módlmy się i za tych nieszczęśliwych, których dziś gorszy los czeka. Mikołaj bowiem groźny; stłumiwszy ruch narodu, będzie się mścił teraz. A strasznej możem się spodziewać zemsty cara. Prośmy dziś Boga, aby się ulitował nad nieszczęśliwym narodem.

I klęknął przed ołtarzem z modlitwą na ustach — a szereg zakonników pełen smutku posępnego wtórował mu po cichu.

Po chwili zdawało się niektórym słyszeć, jak gdyby tu głosy jakieś stukania dalekiego dochodziły, dobijanie się do do bramy klasztornej było widocznem. Lecz modłów nie chciano przerywać.

Przeor jednak słuch natężył, nieco zaniepokojony.

— Zdaje mi się — szepnął po chwili — jak gdyby to było pukanie do bramy. Na prawdę!... biją silnie... czyżby co niedobrego?... My mamy rannych w klasztorze...

I bez zwłoki wyszedł. Ale na korytarzu ruch już był niezwykły, słyszeć dawało się stąpanie kroków, jakby wojskowych. Zdała zaś zabłyszczała latarnka, a były blaskiem groty pik kozackich. Czempredzej przystąpił oficer i przystaw carski. A zanim zapytać się zdołał Przeor, coby to znaczyć mogło, zagadnął go czynownik:

— W imię Jego imperatorskiej Mości, gdzie tu chowacie buntowników?

— Najpierw muszę zapytać — odezwał się Przeor — gdzie pozwolenie i od kogo, aby nachodzić po nocy klasztor?...

— Myśmy nie przyszli tu odpowiadać na zapytania, lecz zadawać pytania — odparł ostro czynownik. Spozrzegłszy zaś miny a znaki sobie dawane przez zakonników, dodał czempredzej: — My rozumiemy wasze znaki dobrze i dlatego nie pójdzie on właśnie, i nie przestrzeże tych, coby się nam skryli. A zwróciwszy się do oficera rzekł: — Postawić kozaka koło braciszka!

Na dany znak stanął koło zakonnika kozak z piką, ażeby się tamten dalej nie ruszył.

— Książd Przeor teraz pójdzie z nami i pokaże nam — dodał czynownik.

Oficer zaś rozsyłał od chwili już żołnierzy w różne strony szerokiego gmachu, przykazując, aby nie puszczano nikogo idącego, ni wprzód, ni z powrotem.

— Tu niema przecie buntu — rzekł głosem spokojnym Przeor. — My nie wojujemy mieczem... Teraz przerwaliście nam niepotrzebnie tylko modły nasze.

— Wiemy dobrze, że przechowujecie ludzi, o jakich nam właśnie chodzi.

— Tutaj są tylko chorzy... i jest koło nich lekarz. Obowiązkiem przecie jest klasztoru dawać pomoc każdemu, który jej potrzebuje — a nie pytamy, kto on..

— Właśnie obejrzymy tych waszych chorych, jak też i waszego lekarza — rzekł kierujący rewizją. — Tych nam właśnie pokażecie.

Na żądanie czynownika szedł z nimi Przeor, a kiedy wchodzili do ciemnej komnaty, w której przed chwilą płonął kaganiec, zapalił czempredziej światło jeden z saldatów na rozkaz oficera.

I widać teraz było chorych leżących na łóżkach.

— Zrewidować! — zawołał oficer.

— Co? chorych?... To nadużycie? — wtrącił Przeor widocznie zaniepokojony.

Wnet zabrano się do rewizji. Przeor usiłował bronić, lecz poznał, że niepodobna.

Obejrzawszy kilku, rzekł przystaw do lekarza z przyciskiem :

— Tak, chorzy wprawdzie, ale i ranni?..

Przeor był zatrwożony.

— A teraz się zapytamy lekarza — rzekł kierujący rewizją. — Kto też pan jesteś?..

— Wszak lekarz — odpowiedział zapytany — i jako taki przywołany dla dania pomocy. Lekarza obowiązkiem, kiedy go zwołają...

— Tak, to prawda — mruknął przystaw. — Imię pańskie?

— Całkiem zwykle, jak lekarza. Doktor Karol Werner.

Przeor rzucił okiem na doktora, lecz nic więcej nie dał po sobie poznać.

— Pan nie jesteś tutejszy? — zapytał przystaw. — Skąd pan przybyłeś?

— Z Kijowa — odpowiedział spokojnie lekarz. — Przywołano

mnie do jednej obywatelki na wsi, o cztery stąd mile, gdzie chore było dziecko.

— A stamtąd ja go przywołałem do chorych, potrzebujących u mnie pomocy — dodał czempredzej Przeor.

Doktor popatrzał na Przeora. Prystaw zaś odezwał się do pisarza swego:

— Zapisać zeznania te obydwóch!

— Całkiem zwykle — dołożył doktor — jak zwyczajnie u nas lekarzy... Od jednego wołają nas do drugiego.

I zabrano się dalej do ciągnięcia indagacyi, jak i spisowania protokołów.

Tymczasem z długiego korytarza ujrano właśnie między dwoma żołnierzami wiedzionych dwóch młodzieńców, na widok których Przeor i lekarz widocznie się zaniepokoiili.

Podoficer, z ręką u czoła, wyprostowany, zdał raport:

— Wasze Błagorodje! Tych panów, przydybalim ukrytych na strychu.

— Czy i to chorzy? — rzekł dwuznacznie prystaw. — Tutaj, jak widzę, więcej będzie tych chorych...

Przeor zaniepokojony zdołał się jeno odezwać:

— Wszak tu jest klasztor?... Wiele wstępuje podróżnych... Gościnność każe i obowiązek... Noclegi dla potrzebujących... Wszak wszystkim wiadomo?

— Źe muszą kryć się na strychu klasztornym — dołożył z przekąsem czynownik.

— Pewnie, że muszą, boście ich nastraszyli nocnem najściem — dodał Przeor zreflektowawszy się w tej chwili. — Nikt zaś nie chce mieć do czynienia z urzędami, żeby go trzymano tydzień, dwa, trzy, zanim się pokaże, że to był tylko najzwyczajniejszy podróżny.

— Mnie się zdaje — odezwał się czynownik — że ci panowie



dłużej sobie posiedzą, niż tydzień lub dwa, zanim się pokaże cel ich podróży.

A zbliżywszy się do jednego z przywiedzionych, dodał :

— Kto pan jesteś ?

— Imię moje Zbigniew Zaręba.

Przeor drgnął widocznie, lecz dołożył czempredzej :

— Student... Wraciał właśnie do rodziców, których ma na Ukrainie.

— Tak, student — powtórzył młodzieniec. — Wraciałem do rodziców. Tutaj zaś sądząc, że to jest jakiś napad, i unikając przygód niepotrzebnych...

— Wpadłeś pan w nasze właśnie ręce — dołożył czynownik.

— Pan należałeś do oddziałów buntowniczych ?

— Ja przecież cywilny — rzekł młodzieniec — wcale nie wojskowy.

— Pokaże się — mruknął czynownik. — Pan pójdiesz z nami.

— Ależ ja... muszę jutro jechać — zawołał młodzieniec.

— Pokaże się, dokąd pan pojedziesz — dodał z sarkazmem czynownik.

— Ależ ja, moi panowie, sam za niego ręczę — odezwał się czempredzej Przeor.

Czynownik nic na to nie odpowiedział, tylko zawołał :

— A teraz zabierzemy i tych chorych !..

— Co to, moi panowie — wmieszał się Przeor — toć być nie może. Oni mocno chorzy... ledwo ruszyć się mogą... Przecie stąd nie uciekną ? I nie mają nawet przyczyny uciekania...

— Ja zaś jako lekarz — dodał obecny doktor — kładę na to protest .. Jako rzeczoznawca nie pozwalam. Panowie za każdego odpowiecie. Ustawy mnie są znane, jak i panom.

— Lecz zdrowi pójdą z nami — rzekł czynownik. — Przy chorych zostawimy straż tymczasem : doktor i ksiądz Przeor i cały klasztor zostają dziś pod aresztem.

Poznano teraz, że klasztor cały otoczony strażą: na dworze bowiem obstawiony był do koła konnymi objeszczykami.

## II.

Kiedy odeszła rewizya, pozostawiwszy tu straż wszędzie, a wszyscy ujrzeni się pod aresztem — nastąpiła w całym klasztorze głucha posepność, połączona z nieokreślonym niepokojem i obawą.

— Boję się o Zbigniewa — odezwał się Przeor do lekarza — bo poco on powiedział imię swoje prawdziwe?... Oni teraz dojdą, że on był w oddziałach...

— A czyliż i ja się dziś wydobędę? — mruknął doktor. — Czy oni nie dojdą, że ten Karol Werner, toć właśnie ów Ksawery Szokalski z armii polskiej?... Czy my się już teraz wszyscy wydobędziemy?... Klasztor cały zdradzony.

I ponuro przed siebie obaj spoglądali — a z korytarzy dochodził tylko głuchy pobrzęk broni.

— Ha, co robić! — rzekł Przeor. — Kto się oddaje na usługę Bogu i Ojczyźnie, ten się musi narażać na niebezpieczeństwo. Wszak kiedy nasi tam nad Wisłą, nad Narwią, staczali bitwy regularne, my, na Wołyniu, na Polesiu, czyliż mogliśmy patrzeć z założonemi na to rękoma?

— Cóż z tego, ojczyźnie? — dodał z goryczą Ksawery. — Obiecywali... tak, obiecywali, że powstaną wszyscy na Wołyniu całym, na Podolu, i potworzą oddziały konne... A! tak! Bo czyli tutaj nie był dobry teren dla tego rodzaju partyzantki? Żali nie ma tu dosyć koni a jeźdźców do tego rodzaju obrotów? A tymczasem co uczynili?... Narady po naradach, zjazdy bez celu, kłócenie się o tytuły, o kadry dla oddziałów, jakich jeszcze nie było...

— Ej, dajmy temu pokój! — przerwał Przeor — nie winuj-

my się wzajemnie!... dziś nam uważać, ażeby nie narażać wielu, bo i tak dość już jest w ręku wroga.

— Ale oni dziś już wiedzą, ojcze, żeś ty jeździł po dworach i wspomagał akcyę w Królestwie... Oni dobrze wiedzą, żeśmy chcieli wywołać ruch, dla rozdzielenia sił moskiewskich...

— Ale ja nad tem jeszcze myślę — dodał Przeor — ażebyś ty, bracie, mógł się stąd wymknąć... Bo oni dojdą... oj dojdą, żeś ty wprawdzie lekarz, jednak jako świeży jeszcze doktor medycyny poszedł do oddziału i walczył jak inni... Ja myślę teraz, że przecież ze straży niektórzy może usną?... A czyli nawet nie udałoby się nam potraktować ich z piwnicy klasztornej?... Moskal na to, jak w dym... Tyby w takim razie wśród nocy w przebraniu... Jabym cię spuścił przez mur...

— I wpaść w ręce objeszczyków, porozstawianych do koła klasztoru — dokończył Ksawery. — Prócz tego w każdym razie naraziłbym was na wszystko, nawet gdyby się i mnie udało stąd wydobyć... Jabym miał wtedy jeszcze na sumieniu was wszystkich...

— A czy ty myślisz bracie — rzekł Przeor — iż my dziś ujdziemy niebezpieczeństwa?... Żali zaś nas wolno tutaj zostawią?... Ja przygotowany muszę być na wszystko. Oddałem się Bogu i sprawie ojczyściej, i wiem, co mnie nie ominie. Oni zaś, moi bracia podwładni, mniej będą winnymi, bo ja wszystko przyjmuję na siebie. Oni tylko czynili, co ich Przeor kazał. Czyliż moskal nie uwierzy? Wszak i schizmatycy to dobrze rozumieją, że braciszek zakonu każdy słuhać musi przełożonego?...

— Lecz moskal srogi — mruknął Ksawery — winnych zechcą mieć jak najwięcej... Obszary Sybiru, to nie Wołyń, ojcze, one potrzebują zaludnienia... Nasze zaś ziemie chcieliby wyludnić z najlepszych jej dzieci.. Ale, ojcze, chciałbym jesz-

eże być pewnym, czy Zbigniew wytrzyma, gdy go na ostro badać poczną?

— O niego nie obawiaj się Waśc — odpowiedział Przeor. — To dusza czysta!... Znałem go zawsze takim... Czylim nie dawał mu nauk jeszcze jako dziecku w domu jego rodzicielskim?

— Tylko czyli się nie zagalopuje?... On krewki i śmiały — dołożył Szokalski.

Ha! to prawda — rzekł Przeor z rezygnacją — indagacja moskiewska, toć torturowanie uwięzionego. Instygator moskiewski ma wytrwałość kocią, skoro usiłuje wydobyć zeznania z aresztowanego.

— Ja tu nie mam wcale otuchy co do ratowania się naszych — odezwał się Szokalski. Oni za wiele już wiedzą... wierzą ojce, więcej, niżeli nam się zdaje. Policja ich miała zawsze porozstawiane wszędzie na nas sieci... nasi zaś dużo rezonowali... Bądźmy na wszystko przygotowani.

— Ja już jestem oddawna przygotowany — rzekł Przeor. — Będziem się bronili, aby nie pomnożyć liczby ofiar, ale ofiary być muszą... Od tego nikt się nie wybiega. My starzy... ha! tośmy już robili, co było można... Oni nas znają, i na drugi raz już nie będziem przydatni... Ale wy młodzi — was szkoda! Wy jeszcze w innych razach możecie Sprawie ojczystej... Bóg miłosierny! On was zachowa na lepsze czasy!

— Tymczasem, ojce, zabiorą, co silniejsze w głucho stepy Sybiru...

— Lecz i tam niechaj niezapomną — dodał kapłan — komu służyć mają. Jeśli wytrzymają nie skalani, dadzą przykład tym, którzy tu pozostali. Cierpienia ich i męki nie będą stracone dla Sprawy ojczystej. Im większy w narodzie pokaże się hart, tem pewniejsze jego zmartwychwstanie. Nam hartu teraz wiele trzeba, o! wiele!... Trzeba tym, których wróg dostanie w swoje dziś ręce, ale i tym nie mniej, co wymknąwszy się jemu, roz-

prószą się dziś po innych krajach. Ci będą narażeni wśród obcych na zatracenie wiary swojej, na zatracenie ducha ojczystego; wpływ obcych, ponęty tysiączne, widoki różne, będą nieraz działały na wychodźców trująco. Niechajże i tam pamiętają, że tylko jako nieskalani na duszy mogą służyć sprawie ojczystej.

W całym zaś klasztorze tej nocy mało kto zmrużył oka. Nawet i ci, co zdawali się we dnie spoczywać, nie spali właściwie, lecz jednakowo zatrwożeni, myśleli tylko o tem, co ich jutro czeka. Rany zaś w ciele mniej dziś pacjentom dokuczały, gdy co innego im teraz dolegało. Ponura posępność osiadła w tych murach, którą chwilami tylko pobrzęk pik kozackich i krótkie, urywane słowa straży przerywały.

Godziny przechodziły po godzinach, tak powoli, że zdawały się czas nocny we dwójnasób przedłużać.

Nareszcie zaczęły pierzchać cienie nocy, a na dworze już się powoli rozwidniało. Lecz ranek pokazał się jakiś posępny, a w powietrzu zdawało się coś ciężceć niedobrego. Wszyscy przeczuwali, że dzień ten nie przyniesie nic dobrego.

W samej też rzeczy zjechała teraz liczniejsza, niżeli w nocy, komisya, i zaczęto ze wszystkimi w klasztorze protokoły. Zadaowano różne pytania, na które niejednen z zakonników nie wiedział, co odpowiedzieć. Przeczuwano, że dni, co teraz nadejdą, nie będą podobne do tych, co przeszły. Klasztor cały był w obawie.

Zakończywszy indagacyę, zostawiła komisya straż w klasztorze przy rannych i chorych, którzy się podźwignąć nie mogli, innych z sobą zabrano. Lekarza obiecano przysłać tutaj innego, doktora zaś dotychczasowego zabrali z sobą pod ścisłą strażą

## III.

Przechodziły teraz dni po dniach, w jednakowej trwodze, jednakowem oczekiwaniu. Z tych zaś, których zabrano, ciągną tam w urządzie ninie indagacye. Prócz tego muszą odchodzić również i zapytania do miejscowości, które podają obżałowani jako miejsca swego pobytu. Co atoli stanie się, kiedy się dowiedzą, iż w Kijowie żadnego niema i żadnego nie było doktora Wernera? — zadawał sobie takie i inne pytania Przeor.

A dni wlekły się, jedne po drugich, nader powoli, w powietrzu zdawało się coś ciężać, jakby się zwolna zbierały chmury nad całym klasztorem.

Aż nareszcie dnia jednego zajechał do klasztoru wyższy jakiś dygnitarz, sam jeden z osobnem zleceniem do Przeora.

Nie było koło niego żadnej asystencyi, ani nikogo z pomniejszych czynowników.

Wszystkich to zdziwiło, iż dostojnik carski sam jeden przybywa. On też kazał się zaraz zawieść do Przeora klasztoru.

W celi przeorskiej zostali oni obaj bez żadnych świadków, gdyż takie było życzenie dygnitarza.

Wtedy odezwał się on do Przeora:

— Przybywam dziś z polecenia wyższego, oznajmić księdzu Przeorowi, żeście narazili klasztor wasz na największe niebezpieczeństwo, przez waszą solidarność z rewolucją i buntem zbrodniczym przeciw prawowitemu monarsze. A tak! Nie przerywaj mi księże Przeorze, i nie chciej się usprawiedliwiać, gdyż my oddawna jesteśmy dobrze o wszystkim poinformowani. Dzisiaj zaś jesteśmy w posiadaniu wszystkiego.

Przeor usiłował mówić, lecz dostojnik carski ciągnął dalej:

— Wiemy przecież, w jakim celu ks. Przeor jeździł po dworach i wysyłał nawet podwładnych swoich... Tak, tak!... Bo przez wasze ręce przechodziły listy od naczelników bunto-

wniczej armii — na wasze ręce dawano informacye tutejszemu obywatelstwu, żeby podburzyć chwiejnych jeszcze przeciw imperatorowi...

— Ależ na to nie ma dowodów — odezwał się Przeor.

— Właśnie że są, całkiem dla nas dostateczne — dodał przybyły. — Ksiądz Przeor przeto poznasz, co teraz grozi jemu i jego klasztorowi?... Areszt i sekwestr na dobra klasztorne, jako należące do buntowniczej rzeszy.

— Proces może iść swoją drogą — rzekł Przeor — ale Wasze Wysokobłagorodje wie, że klasztory nasze, zakony unickie, są pod ochroną prawa kanonicznego...

— To niby chcesz Przeor powiedzieć: Rzymu? — dodał z przekąsem dostojnik carski.

— Czyliż inaczej? — rzekł Przeor. — Ojciec święty niedopusci do uwłaczania sobie. Działalność klasztoru nie podlega samym jedynie świeckim sądom. Tutaj jeszcze nie było komisji duchownej.

— Jednak Przeor zapomina — odezwał się dostojnik carski — że my dziś nie na mocy traktatów jakich, ani dobrowolnego jakiego układu, do panowania wrócili w Królestwie?

— Przecież Królestwo, o ile wiemy — rzekł Przeor — na mocy traktatów kongresu wiedeńskiego w posiadaniu zostało Rosyi?

— Być może, ale bunt i wojna porobiły tam szczyrby w tych traktatach — odpowiedział z dobrze udaną ironią dostojnik carski. — Musieliśmy kraj napowrót zdobywać, a nasz dzielny zwycięzca Erywański nie mało się nakłopotał, zanim Warszawa się poddała. Zresztą Owrucz nie jest w Królestwie, księżę Przeorze, ani klasztor Bazyliańów klasztorem łacińskim Królestwa.

— Jakto rozumie Wasze Wysokobłagorodje?

— Czy Przeor nic nie wie, że prowincye ruskie zespolone

są z carstwem, i że tu car był i jest zupełnym samodzierzcą, nie znajdującym żadnych ustaw obcych. Wy przecież w tym kraju rdzennie russkim wspieraliście bunt, który podniosła tam sobie Polonia nad Wisłą. A widzisz, księżę Przeorze Bazylianów?... Wskutek tego staliście się winnymi. I co klasztor dziś czeka?... Tak, mój księżę, dziś nic was przed karą ochronić nie może. Klasztor postawiliście sami nad przepaścią.

— A cóż przecie zarzuca nam rząd Jego imperatorskiej Mości? — dodał z trwogą Przeor. — Wszakże nie wołano nas jeszcze... i nie było komisji?... Myśmy nie mieli jeszcze sposobności obrony i wyjaśnienia całej sprawy.

— Ależ to będzie! Dajże sobie powiedzieć, księżę Przeorze. Wszak bez wołania was, wyroku nie wyda rząd Jego imperatorskiej Mości... Atoli jabym wam nie radził, żebyście na to czekać mieli?... Wiecie przecie, że po rewolucji przychodzi stan oblężenia i wyroki wojskowe... A widzisz, księżę Przeorze, żeś zrozumiał, co was czeka?

Tu się zatrzymał chwilę, poglądając na Przeora, potem dodał:

— Lecz car, ojciec nasz i wasz, chce być jeszcze łaskawym... on nie szuka waszej zguby, jeśli okażecie żal szczery i naprawicie błąd wasz dzisiejszy?...

— I co my mamy czynić, aby błąd ten, jak mówi Wasze Błagorodje, naprawić?...

— Księżę Przeorze, mówmy szczerze i otwarcie. — Tu zatrzymał się chwilę, potem dodał: — Czy wy nie jesteście już dziś Przeorem Bazylianów? Ja sądzę przecie, że russki to zakon i na russkiej ziemi?

— A czy kto tego zaprzecza? — odrzekł Przeor.

— No i co was spowodowało właściwie pomagać polakom w Królestwie?... Lecz ażebyśmy tu się nie różnili jeszcze, bo to wam dowiodą już gdzieindziej dokładniej, to ja tu inaczej



do was się odezwę. A zatem tylko was dziś zapytam, co was spowodowało solidaryzować się z Lachami? Czy wy Lach? Czy ich wiara waszą wiarą?... Żali wy obrządku może łacińskiego?...

— Wasze Wysokobłagorodje wie dobrze, że ja obrządku jestem greckiego. To klasztor przecie zakonu św. Bazylego — odrzekł spokojnie Przeor, usiłując odgadnąć zamiar dostojnika carskiego.

Lecz ten wnet się odezwał:

— Więc według waszego obrządku do nas należycie, a nie do nich. Wy należycie prawnie do cerkwi wschodniej.

— Tak jest — dołożył Przeor — do cerkwi wschodniej, lecz do kościoła powszechnego, którego widomą głową jest Ojciec święty na stolicy Piotra.

— Ależ cerkiew wschodnia — rzekł dostojnik — to jest prawosławie, to przecież wiara nasza i wasza, odwieczna, prawdziwa.

— Wasze Błagorodje — odezwał się Przeor — wie przecie, że my jesteśmy unicy.

— Ależ co tam ksiądz prawisz?... Unicy!... Alboż co to właściwie owa Unia?... Bo czy wy nie rozumiecie, że ta Unia jest tylko schizmą?

— Tego już nie rozumiem — rzekł z niejakim oburzeniem Przeor.

— Dlatego jest schizmą, bo się odszczepiła od właściwego prawosławia, które jest odwiecznym wyznaniem prawowiernych chrześcian. No, no, daj pokój, księżo Przeorze, bo ja ciebie szanuję. Ja wiem, że ksiądz sam w duchu jesteś prawowiernym ruskim, a trzymasz... ot tylko niby dla polityki, a trochę może i z przyzwyczajenia, żyjąc z Polakami i schlebając ich ceremoniom kościelnym.

— Polityka mnie tu nie obchodzi — rzekł Przeor — ja mam

w piersiach wiarę swoją, w której się zrodziłem, jak wszyscy, co są mojego obrządku... Gdybym się polityką kierował, tobym dziś łatwo przyjąć mógł, jak to uczynili niektórzy...

— Ależ wy nie potrzebujecie przyjmować prawosławia. Kto bowiem od was tego żąda? I po co?... Wy tylko po prostu wracacie do wiary ojców, jak to uczynili z własnej woli w ziemiach białoruskich i inni, którzy są dziś wyznawcami jedynej prawowiernej cerkwi.

— Ja nie wchodzę w cudze sumienie — odrzekł Przeor — i nie mam prawa sądzić drugich. Bóg sam będzie ich sędzią. Ja tylko wiem, co jest moim obowiązkiem, i za co przed Bogiem kiedyś odpowiem.

— Otóż to jest właściwie — rzekł dostojnik carski — i mojem zdaniem. Ja też niczego więcej od Przeora nie żądam, jak żeby dobrze nad tem pomyślał, co jest dziś jego obowiązkiem, i czy ma prawo przez swój upor, a może przez swą przyjaźń dla polaków, no, wskutek dłuższego przyzwyczajenia...

— Ależ co to mówi Wasze Wysokobłagorodje? — przerwał z oburzeniem Przeor.

— A tak, przez przyzwyczajenie — powtórzył dostojnik carski — dziś narażać na zgubę klasztor cały i sobie powierzonych braci, jeśli teraz car, który jednym zamachem zgnieść was może, chce wam pokazać łaskę swoją. Powiedz zatem, księżę, czyli ty masz dziś prawo oddawać na zgubę cały klasztor?

Tu westchnął Przeor, a dostojnik carski dalej ciągnął:

— I co się stanie wtedy z nimi i z tobą?... Jeśli zaś rzucicie błędy z siebie dzisiejsze i wróćcie do wiary ojców, jakżeż inny los uśmiecha się wtedy klasztorowi? Łaską carską wyniesiony a obdarzony ziemiami szerokimi, stanie się najpierwszym w prowincyi! Tego zaś, który dokonał takiego dzieła, co znowu za to czekać może?...

I dodał ciszej zbliżywszy się do Przeora:

— Pewnie, że nie mniejszy zaszczyt jak mitra...

— Więc Wasze Wysokobłagorodje chce mnie kupić mitrą?

— O, nie wcale — rzekł dostojnik. — To tylko mogłoby być nagrodą, należącą się wam prawnie. Bo czyjemby to było wtedy dziełem, jeżeli nie księdza Sierocińskiego, który sprowadził klasztor swój na drogę prawą?

— Wasze Wysokobłagorodje tak mi to pięknie malujesz — dodał Przeor spojrzawszy z pod oka na wysłannika carskiego — że nawet niktby się nie zdołał oprzeć takiej wymowie... Może i mnie gotów nareszcie przekonać? — dodał chytrze.

— Ależ ja wiem, że przekonam — rzekł również chytrze wysłannik carski — bo Wasze jesteś rozumnym, a bez ambicyi być nie możesz, i wiem dobrze, co ci się należy.

— Co z tego! — dodał Przeor zmienionym głosem — skoro ja nie mogę wiedzieć dzisiaj jeszcze, jak daleko zaszliby bracia moi?... Oni mają i własne sumienie.

— Wy przecie pasterzem — rzekł dostojnik carski — a tamto tylko wasza owczarnia.

— No, tak — powtórzył Przeor.

— A więc za pasterzem pójdzie owczarnia — dolożył dostojnik carski.

— Ha! skoro już tak wchodzisz Wasze Wysokobłagorodje we mnie, pozwól teraz, niechże spróbuje, czy dziś pójdzie za pasterzem jego owczarnia. Zostaw mi dzień dzisiejszy, a jutro ci dam odpowiedź.

— O! zostawiam ci chętnie, dostojny władko. Ja wiem, że w świętej sprawie użyjesz wpływu swego... Bo Przeor zakonu św. Bazylego, taki jak ksiądz Sierociński, powiedzie tam owczarnię swoją, dokąd sam wskaże drogę. Odchodzę teraz z tą pewnością, że ty, władko nasz, zrobisz wszystko i przejednasz lud tobie powierzony, iż powróci na łono prawowiernej cerkwi,

nas wszystkich matki. A wtedy poznasz, że car nasz wielkoduszny, pod którego opieką jest cerkiew prawdziwa, lepiej potrafi ocenić zasługi pracowników dla cerkwi, niżeli owe prałaty, co się dotychczas trzymają herezyi rzymskiej.

A gdy odszedł wysłannik carski, podążył Przeor w skupieniu ducha prosto do świątyni Pańskiej, i tam upadłszy na kolana, zaczął się gorąco modlić.

Następnie zwołał zakonników.

Gdy się zeszli braciszkwowie, odezwał się do nich w te słowa Przeor:

— Bracia moi w Chrystusie! Wszystkim wam wiadomo, na co naraził się dziś klasztor nasz przez sprzyjanie braciom naszym w Królestwie, bośmy ich uważali jako dzieci tego samego narodu i wyznawców tej samej wiary, choć dwojga obrządków. Lecz rząd imperatorski uważa to za bunt przeciw prawowitej władzy. Oni upadli, a klasztor został dziś na łaskę wydany zwycięzcy, i grozi mu teraz niebezpieczeństwo po dokonanych śledztwach.

Na obliczach braci malowała się trwoga i obawa o los klasztoru. A Przeor dodał patrząc badawczo po obecnych:

— Jednakże, jak mi wysłannik carski zaręcza, imperator w swej łaskawości obiecuje nam zupełne przebaczenie, jeśli uznamy naszą winę i przejdziemy na prawosławie, połączywszy się z cerkwią, której władzą zwierzchniczą jest „Święty Synod“ w Petersburgu... I cóż wy na to bracia moi?

Nastało chwilę ponure milczenie.

Po niejakiem czasie odezwał się jeden z braci:

— A więc klasztorowi naszemu grozi naprawdę niebezpieczeństwo?... Co mu zatem dowiedli?

— Tyle — odpowiedział Przeor — że byt jego dzisiaj zachwiany i musimy spodziewać się najgorszego.

— Niema zatem dla naszego klasztoru żadnej obrony? Traktaty przecie kościelne?...

— Te nas nie ochronią przed siłą zwycięzcy — dodał Przeor.  
— Łaska tylko imperatora pozostaje.

Tu patrzył przenikliwie.

Nastało napowrót posępne milczenie połączone z niepokojem a trwogą.

Nareszcie odezwał się jeden ze środka braci:

— Jak to? I ty, ojcze, który nam zawsze świeciłeś przykładem swoim... ty opuściłbyś wiarę ojców!...

— I przeszedł na prawosławie, na schizmę... herezyę? — wołało więcej głosów.

— Nie o mnie tutaj chodzi — rzekł silniejszym głosem Przeor. — Moje postanowienie jest nieodmienne. Ja umrę nie w innej, jeno w swojej wierze, a żadne groźby nie przymuszają mnie, bym przyjmował schizmę. Mogą mnie wziąć na tortury, mogą zamordować, ale mi wiary mojej nie odbiorą. Lecz tu chodzi o was, bracia moi?... Ja się was pytam, czy wy czujecie w sobie dość siły, ażeby przy niej wytrwać, jeśli przyjdą ciężkie czasy?... Zali pójdziecie w ślady onych, co niegdyś w katakombach ponieśli za Chrystusa śmierć męczeńską?... Tu trzeba hartu woli i poświęcenia, bo oni będą wam dziś pokazywali złote nadzieje i bogactwa świata. Czy znajdziecie w sobie dość siły, aby się wszelkim oprzeć pokusom?

Teraz powstało poruszenie między bracią. I słychać było głosy pojedyncze:

— Jak żyjemy, tak zginiemy!... Precz z prawosławiem — ze schizmą!... Ojcze! czemuś o nas dziś zwątpił?

Przeor wytrzymał czas niejaki poruszenie ogólne braci, patrząc na nich przenikliwie, potem zawołał:

— A więc przysięgnijcie teraz przed obliczem Boga, że nie opuścicie wiary swojej — obojętni odtąd na wszelkie pokusy i groźby wrogów!

— Tu, w obliczu Ukrzyżowanego!... jak pragniemy zbawienia, przysięgamy! — zawołali podniosłszy ręce do góry.

— A teraz padnijcie bracia, na kolana, i błagajcie Boga, ażeby wam użyczył siły, bo was czekają teraz ciężkie próby!

I wszyscy padli na kolana — a Przeor przed ołtarzem długo i gorąco się modlił.

#### IV.

Na drugi dzień przybył o swoim czasie dostojnik carski, mając w tej chwili minę łaskawszą a pełną protekcyi.

Przeor przyjął go z milczącą powagą.

— Przybywam — odezwał się zaraz dygnitarz — pewnym będąc wpływu waszego, dostojny władcyko, i staranności o powierzona sobie owczarnię. Wszystko pójdzie teraz po równej drodze. Ja zaś jestem szczęśliw, że będę mógł wkrótce zostać zwiastunem łaski imperatorskiej.

— Wasze Wysokobłagorodje za prędko sądzi o zakonnikach św. Bazylego. Natośmy wszyscy składali przysięgę w klasztorze, ażeby dochować jej do śmierci.

— Jak to?... Czy dobrze słyszałem? — rzekł zdziwiony wysłannik carski.

— Wasze Wysokobłagorodje to słyszy teraz, com mu sam od razu objawił.

— Nie, ty księże — mruknął z oburzeniem dygnitarz — miałeś wpłynąć tylko na oddanych opiece twojej..

— Tak — odrzekł spokojnie Przeor — aby się zapewnić, czy oni wytrwają w wierze ojców. Ja wczoraj mogłem tylko odpowiadać za siebie.

— A dziś, księże?

— Dziś jestem pewny, że się na swoich braciach nie omylił, bo oni tak samo są gotowi, jak i ich pasterz.

— A do czego to wy jesteście tak bardzo gotowi?  
— Wytrwać w wierze swojej do końca życia — była odpowiedź.  
Po niej jakim czasie odezwał się wysłannik carski:  
— Czy to twoje ostatnie słowo, księżę?  
— Ostatnie — odrzekł głosem stanowczym Przeor.  
— Skoro tak, więc gotujcie się na to, co was dziś spotka i wasz klasztor buntowniczy.

— My pod opieką Boga! Gotowi na wszystko, lecz zakon św. Bazylego jest pod opieką Pana nad pany i praw Jego kościoła.

— Ja widzę — rzekł krótko dygnitarz — wy bardzo wierzy-  
cie w pobłażliwość naszą. Myślicie, że wam i łaskę imperatora  
tu przed stopy wasze położymy... O! nie, mój księżę, opieku-  
nie i pomocniku zbuntowanych! Bo skoro ty nie masz nad nimi  
władzy, jak i nad sobą samym, a podniosłeś bunt na najmiło-  
ściwszego imperatora naszego i waszego, toż teraz pójdziesz  
swoją drogą.

W tej chwili zbliżył się do okna dając znak. Przeor  
spojrzał na niego — dygnitarz carski usiadł napowrót milcząco.

Po niej jakim czasie wszedł oficer z dwoma kozakami.

— Zostaniesz tu i będziesz pilnował — rzekł do oficera —  
żeby się stąd nie ruszył aresztowany. Na klasztor cały kładę  
również areszt.

— Choć pod aresztem, ale protestuję na wszelki gwałt za-  
dany klasztorowi naszemu.

Wysłannik carski odjechał.

Po niej jakim czasie przygnali konni kozacy pod dowódz-  
twem oficera, który ich porozstawiał. Następnie nadciągnęli  
piesi, zajmąwszy miejsce przed bramą.

I przybył wraz czynownik, jako tymczasowy administrator  
rządowy, za którym przyciągnęła kancelarya jego.

Po Przeora zaś nadjechał wóz, na którym odjechał on  
wraz z oficerem obeszczyków pod eskortą konnych kozaków.

OBRAZ DRUGI.  
W twierdzy Brzeskiej.

---

I.

Miało się już ku zachodowi, kiedy wóz z Przeorem, otoczony eskortą objeszczyków, przebywał wały i okopy twierdzy.

Na niebie czerwieniła się luna szeroko rozlana — na ziemi dyszało powietrze parne, wilgotne. Jakaś groza wiała tu ze wszystkiego. Każdego, który tutaj pierwszy raz wjeżdżał, musiała objąć trwoga na widok takiej warowni, jak Brzeska.

Pokazywały się już całe szeregi karabinów zdala błyszczące — konne objeszcyki przejeżdżały, goniąc w różne strony, zewsząd zaś dochodził szczeł broni i głosy nawołujących podkomendnych.

Wjechano w wewnętrzne mury — grubsze i warowniejsze — najeżone działami. Wóz przebywał przez szereg uzbrojonych...

Tu i tam zmieniały się strażę, a całe szeregi przechodziły aresztantów w ciężkich kajdanach pod strażą kozaków i dozorców więziennych.

Mijając różne gmachy, zatrzymał się wóz nareszcie przed jednym z nich, o czarniejszych murach i mocno zakratowanych oknach.

Oficer komenderujący eskortą zwrócił się do podoficera na odwachu i wręczył mu pismo.



Ten ostatni poszedł z nim do środka gmachu. Po niejakiem czasie wrócił, a wtedy otworzono bramę opatrzoną ciężkiem oknem żelaznem. I kazano zejść z wozu Przeorowi, który pod strażą dwóch kozaków i oficera z nim przybyłego wszedł do środka.

Przeszedłszy sień wielką i korytarz, zawiedziony został więzień najpierw do kancelaryi, gdzie złożył oficer siedzącemu tam kapitanowi raport, i oddał w ręce rozkaz sobie dany przywiezienia więźnia. Kapitan zajrzał do papierów, popatrzył ostro i zimno na sprowadzonego księdza, a potem zwrócił się dla poszukania w księdze swojej na stole rozłożonej — znalazłszy zaś, czego szukał, obrócił się do oficera, i spisawszy z nim krótki protokół, a sprawdziwszy tożsamość osoby więźnia, odebrał go w swoje ręce.

Następnie dał znak, i przybył podoficer z oddziału kozaków przeznaczonych do służby wewnętrznej w gmachu. Temu kazał zaprowadzić więźnia do dozorczy cel kaziennych na drugim piętrze.

Kapłan nasz, w otoczeniu dwóch ze straży, według wskazania podoficera, postępował naprzód szerszym korytarzem, z którego niebawem przeszedł wschodami na pierwsze, a potem na drugie piętro.

Tu wręczył podoficer kartkę z rozkazem dozorczy cel więziennych. Ten dał znak, i więzień poszedł dalej przez długie i na pół ciemny korytarz, niebawem zaś zboczyli w boczny, węższy i ciemniejszy, z którego wnet zejść musiał parę wschodów niżej w jakiś jeszcze węższy, a całkiem ciemny korytarz, oświetlany na pół słabo migającymi lampami. Po tym przechadzały się straże, niby cienie nocne, a z obu stron majaczyły drzwi okute do cel pojedynczych.

Przed jednymi z nich zatrzymali się przybyli. Klucz

dozorcy zazgrzytał we drzwiach, i tam kazano wejść do środka więźniowi. Poczem wnet drzwi nazad na klucz zamknięto.

Kapłan zatem nasz pozostał sam jeden w ciemnym miejscu.

Po chwili gdy się oczy świeżo przybyłego w tej ciemnicy zorientować mogły, ujrzał on się w celi ciasnej z otworem w górze małym w grubym murze, skąd się przedzierał słaby odblask światła. W celi tej nie było sprzętu żadnego, prócz małego tapczana. Kapłan stał przez chwilę, patrząc na mury posępne celi tej, potem usiadł na tapczanie, oddając się myślom smutnym. On poznał, że teraz musi się gotować na ciężkie zapasy. Wiedział bowiem, że dziś został już w rękach wroga, które go już nie tak łatwo stąd wypuszczą.

Jak oni teraz z nim postąpią? — rozbierał w myślach. Czy go zaraz wołać będą do indagacyi — czyli dopiero za dni parę, zanim się rozpatrzą w aktach, które inną drogą już dawniej nadejść musiały. Z rozmowy przecież niedawnej z owym wysłannikiem carskim mógł się przekonać, iż oni nie jedno już wiedzą i mają na to dla siebie dostateczne dowody. Wszak nie od tygodnia, ani miesiąca tylu już mają powięzionych? Więzienia dziś są przepełnione, a wielu już popędzono za wyrokiem sądowym, ale więcej może porządkiem administracyjnym, w głąb Rosyi i dalej za Wołgę, za Ural, na pustynie Sybiru. Nieszczęsne strony Wołynia i Polesia więcej wydadzą deportowanych, którzy wcale nie byli nawet w szeregach, jeno się zajmowali propagandą samą lub bezskutecznymi spiski, a może tylko naradami na zjazdach tajnych albo głośnem, częściej bezcelowem szamotaniem się. O! bo policya na Wołyniu, na Polesiu, nie spała przez te długie miesiące ciąglej niepewności i niedołęstwa we dworach spiskujących bez końca, a naradzających się beczynnje. O! czemuż miasto wiecznego spiskowania nie chwycili za broń i nie poszli w imię Boga i Ojczyzny dla poparcia braci nad Wisłą?...

Tak nad tem rozmyślał więzień, pochyliwszy głowę przed siebie. Nadto wszystko zaś dręczyła go niepewność, jaki też los przypadł teraz przyjaciółom jego i pracownikom na tej samej niwie. Czy tam wszystko dziś wiedzą o lekarzu Ksawerym?... Zapewne, że już poznali w nim dobrze tego samego, który był w armii czynnej?... Oni zapewne wyciągną z innych, że on był pod Grochowem, pod Stoczkiem, pod Wawrem.

Czy dojdą nareszcie i do tego, że on przyjeżdżał nawet tutaj jako pośrednik od Dwernickiego do traktowania z naszymi dworami na Wołyniu?... Niepewność ta dręczyła więźnia. Ale on wiedział, że Ksawery Szokalski rozważny, nie prędko da się złapać. Jednak Zbigniew?...

O tego obawiać się trzeba!... On młody, pełen ognia i zapału, młodzieniec z poświęceniem... Ale czy znajdzie tyle w sobie doświadczenia i sprytu, żeby mógł wydołać przebiegłym a cierpliwym sędziom swym dzisiejszym.

Takim myślom oddany, przez całą noc ani zmrózzył oka; dopiero nad ranem osłabiony długiem czuwaniem i myślami posępnymi, zaczął na pół w sen zapadać, co chwila budząc się, tak że marzenie senne mieszało się z wspomnieniami dni ostatnich. Zdawało się więźniowi, iż on ciągle jedzie jeszcze na tym samym wozie, eskortowany przez kozaków, to znowu niby znajduje się w jakimś dworze szlacheckim, gdzie również pojawił się Ksawery i inni towarzysze. Zdziwiony, iż oni wymknęli się z rąk wroga, pytał, dokąd się teraz udadzą: lecz zanim mógł otrzymać odpowiedź — usłyszał szczeł. jakiś... otworzył oczy... a tu wchodzi posługacz więzienny z dzbanem wody, i stawiając posiłek, zwraca na siebie uwagę więźnia. Lecz kapłan wypatrzył się na niego... i przypomniał sobie, gdzie jest — lecz strawy nie tknął. Domyślił się tylko, że to musi być już dzień następujący, a może już i nie ranna godzina, bo

po zmroku, jaki panuje w celi, nie jest w stanie rozeznąć pory dnia.

Popatrzył ku oknu zakratowanemu w górze, popatrzył ku drzwiom z małą kratą w środku — i dalej oddał się myślom ponurym.

Po niejakiem czasie drzwi skrzypnęły, wszedł podoficer, i wskazał więźniowi, ażeby szedł za nim.

Za drzwiami stanęły obok niego dwa sądacy, pod których eskortą za podoficerem dalej postępował więzień.

Gdy już zeszli na pierwsze piętro, podoficer otworzył jedne z drzwi, i więzień nasz ujrzał się w obszernej kancelaryi, gdzie przy stole nakrytym zielonem suknem siedział pod wizerunkiem imperatora sędzia w uniformie wojskowym z epoletami kapiącemi złotem; poniżej zaś przy innych stołach siedzieli oczekujący na rozkaz starszego pisarza.

Na stole stał krucyfiks. Kapłan popatrzył z goryczą, że tu pod godłem Ukrzyżowanego wydają wyroki na tych, co działali w imię Boga i prawdy.

Podoficer po spełnieniu rozkazu, wyprostowany, jak struna, zasalutował i wyszedł, a jeden z żołnierzy pozostał przy drzwiach, trzymając w rękach karabin ostro nabity.

Sędzia spojrział bystro na księdza — a zaglądawszy do pliku aktów, które miał przed sobą rozłożone — ostro i krótko odezwał się:

- Ksiądz Sierociński, przeor Bazyljanów w Owruczu?
- Ten sam — sługa Boży a przeor Jego klasztoru.

Po kilku jeszcze zwykłych zapytaniach przy rozpoczynającym się śledztwie, odezwał się:

— Ksiądz wie, komu wyroki Boskie oddały ziemię i dusze ludzkie w naszym kraju? i komu też winniśmy miłość i posłuszeństwo bez granic — aż do ostatniej kropli krwi naszej?... Na kim więc, jak nie na duchownych, polega obowiązek czu-

wania nad duszami powierzonymi ich pieczy?... Oni też za nie odpowiadają. W imię zatem Tego, którego nam nieba dały za pana, zapytuję księdza Sierocińskiego, czy jako poddany najmiłościwszego naszego imperatora wie o tem, że służyć go winien wraz z ludem swoim, sam bez woli, jak każdy, czy on świecki, czy duchowny?

— Wasze Wysokobłagorodje wie przecie, że tu się nikt świeckiej władzy imperatora jako poddany sprzeciwiać nie może, ale rozumie również, iż my, jako duchowni, jesteśmy również, podlegli naszej matce, Rzymowi, i przysięgę składaliśmy wierności władzy apostołskiej.

— Ależ to, księżę, jest bunt, takie tłumaczenie ustaw, bunt przeciw władzy imperatora, jako władcy świeckiego, i jako władcy, któremu sam „Synod święty“ składa przysięgę wiernopoddaństwa. Cerkiew jest zatem pod nim, i choć wyście sobie ustawy wasze kościelne niegdys tłumaczyli w podobny sposób, mianowicie przed rewolucją buntowniczą, to dziś po zwalczeniu buntu i zdeptaniu hydry polskiej nie będziecie już sobie w podobny sposób ustaw tłumaczyli. Dajcież sobie powiedzieć, że się to już skończyło.

— Bóg czuwa nad nami! — rzekł spokojnie kapłan.

— Ale ten sam Bóg oddał was w ręce nasze? — dokończył z naciskiem sędzia.

— Jako sługa Boży — odrzekł kapłan — ja nie mam prawa wchodzić w tajniki sądów Jego.

— Lecz księżę, nie trzymałeś się właśnie zdania tego, kiedyś się ośmielił wchodzić w sądy Jego, i wbrew tym sądom popierałeś bunt narodu, którego Bóg oddał w ręce Najmiłościwszego naszego pana?

— Wasze Wysokobłagorodje mówi tu o popieraniu buntu?... A kto nas duchownych widział kiedy z bronią w ręku?

— Ale to jeszcze nie przemawia za waszą bezczynnością —

rzekł Sędzia. — A czy to Przeor Owrucki jeździł po zapasy dla klasztoru do dworów szlacheckich?... Dajże sobie powiedzieć, księżę Przeorze, że kiedy wasze dwory na całym Wołyniu zjeżdżały się i radziły, wybierały komitety i układały spiski: policya nasza wówczas wcale nie spała... My mamy dobrze spisana całą historję waszych spisków, całej waszej propagandy, i znamy rolę każdego z osobna. Dlatego radzę księdzu, ażeby nie ukrywał, bo pozna przecie, że nie darmo przybył z Owrucza do Brześcia. Nam dziś wszystko wiadome. Chodzi teraz tylko o niektóre jeszcze zeznania, ażeby osądzić już, nie prawdziwość faktów, bo te nam są znane, ani winę obżałowanych, gdyż ona jasna, lecz chodzi tu tylko o stopień winy. To zaś zależy od waszego przyznawania się i okazania skruchy. Książd mnie zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — odpowiedział kapłan — ale więcej nie mogę powiedzieć, jak to, co było, i co mogę wiedzieć.

— Zejdźmy zatem do szczegółów! — rzekł Sędzia, rzuciwszy badawczym wzrokiem na obżałowanego. — A książd mi odpowiesz na niektóre moje pytania.

I tak, kiedy się szlachta wasza buntownicza zjechała w pewnym dworze — książd wiesz, o którym tu mowa? — gdy tam radzono nad tem, czy się trzymać rządu buntowniczego w Warszawie, czyli raczej u siebie na Wołyniu utworzyć władzę osobną, samoistną, i mieć politykę dla siebie własną: kto wtedy, Przeorze, wystawiał zebrany, że między Bugiem a Dnieprem nie wiele po temu jest materyału, i że tylko w nierozzerwanej z Nadwiślem jedności jest ziem tych zbawienie?... Odpowiedz książd mi na to pytanie?... Ale ja nie chcę wymieniać nazwiska księdza tego, bo go mamy tutaj wyraźnie... Tak, ani słowa?... Nie broń się, księżę! — Bo tu nie potrzebujem twojego przyznania... Ja tylko przystępuję do rzeczy... Bo jeśli książd chcesz zmniejszyć swoją winę, to nam powiesz o innych, którzy

tam byli obecni, i jakie wydawali zdania swoje. To ci kładę na serce, kapłanie, od tego zależy los twój, los twojego klasztoru?...

I spojrział przenikliwie na kapłana, który odrzekł spokojnie:

— Wasze Wysokobłagorodje zapytuje mnie o zebranie, które tam się odbyć miało... ale skoro ja nie słyszę wymienienia dworu, ani osób tamże zgromadzonych, jakżeż zdołam na to odpowiedzieć?... Być może, że ja byłem w niejednym dworze, gdzie i inni byli ze szlachty, tylko, że nie w zamiarze, jaki tajna policya nam przypisuje. Wszak zjazdy bywały i częste zebrania, chociaż wcale nie politycznej natury. Wasze Wysokobłagorodje wie dobrze, że szlachta nasza lubi zabawy i łowy, a nawet choćby gadanie polityczne, może wcale niewinnej natury?... Boć prawi się o tem, co się z gazet lub nie z gazet słyszało. Ależ i my księża także nie siedzimy ciągle zamknięci w murach naszych. Czy nam jeździć na łowy i na zebrania towarzyskie nie wolno?

— Ksiądz chcesz nam oczy zamydlić zabawą towarzyską i łowami?... A więc skoro tak, to powiesz nam, którzy tam z was wszystkich właśnie najwięcej upolowali dzików wołyńskich?

— Wasze Wysokobłagorodje chciałby słyszeć tu imiona ludzi, których policya nie zapisała. Ale pocóż jabym miał wymieniać ludzi wcale niewinnych, aby ich powięziono niepotrzebnie i trzymano w śledztwie miesiącami, a potem dopiero wypuszczono wolno jako niewinnych?

— A skąd wiesz ksiądz, że ich wypuszczą wolno jako niewinnych?

— Gdyż im niczego nie dowiodą, a wtedy nie będą przecież daremnie więzili? — dołożył kapłan.

— Ale sądy są cierpliwsze — odrzekł sędzia — i jeśli w miesiącu jednym, drugim, nie da się wydobyć winnego, i aresztant

ciągle się będzie trzymał upornie, to posiedzi sobie choćby rok w śledztwie, dwa lata, lecz wówczas surowszy przez to wypadnie wyrok, i na dłuższy czas zostanie winny skazanym. Jeśli zaś nie znajdą się świadkowie, i winny nie przyzna się do winy, a nasze przekonanie i sumienie nasze powie, iż on musi być winnym, toć i tak wypadnie wyrok. Ja też jestem dziś jeszcze cierpliwy. Ksiądz Sierociński nie jednego mógłby obronić, choć nie co do winy jego, lecz co do jej stopnia. Dlatego nie kryj się, księże, bo dziś jeszcze apeluję do twego sumienia, w interesie własnych twoich braci. A więc powiesz mi bezzwłocznie, czyli tam było tylu rannych na tych łowach, ile też w twoim klasztorze, żeście potrzebowali aż tego lekarza?... Bo ten lekarz coś za wiele miewał praktyki na całym Wołyniu.

I tu wpatrzył się w Przeora badawczo.

— Lekarz? — odezwał się nieco poważniej Przeor. — Jaki lekarz?

— No, ten sam, który tam dozorował twoich rannych?

— Wszak ten nie był tamże? — rzekł Przeor. — Doktor Werner jest przecie z Kijowa? Pocoby on jeździł tak daleko?

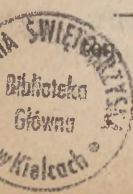
— No, być może, że tam nie był ów wasz... Werner... ale doktor Ksawery Szokalski? A widzisz, księże, żeś się teraz zdziwił, iżeśmy wymotali doktora Szokalskiego z podanego nam Wenera?...

— Ja słyszałem tylko o doktorze Werner — odezwał się panując nad sobą ksiądz Sierociński.

— Lecz błonia pod Stoczkiem wraz z Dwernickim dla doktora z Kijowa jakoś nieco są za dalekie dla jego praktyki lekarskiej?...

Przeor był zafrasowany, mimo to usiłując jeszcze bronić przyjaciela, odezwał się:

— Tamten Szokalski... to chyba musiał być kto inny, gdyż którego tu uwięziono niewinnie, nie ruszał się, o ile wiem





z okolic swoich. Policya bierze dziś zapewne człowieka tego za wcale kogo innego. Wszak omyłki z nazwiskami w takich czasach, jak dzisiejsze, mogą się wydarzać bardzo często...

— Ale coś Przeor klasztoru w Owruczu za nadto jest wtajemniczony we wszystkie arkana rewolucyi, skoro wie z pewnością, kogo gdzie nie było?... Ksiądz usiłując jego bronić, siebie w gorszem stawia świetle.

— Wasze Wysokobłagorodje wie przecie, że ja tu nie powiedziałem, coby dowodziło mojej znajomości imion i sprzęzyn ruchu jakiego, a tem mniej dla zastawiania się nie będę rzucał winy na drugiego, o którym wiem, iż jako lekarz i człowiek spokojny, oddany tylko nauce swej i zawodowi, do polityki wcale się nie mieszał.

— Ależ tu ksiądz sam się złapał! — rzekł chytrze Sędzia. — Bo zaprzecza to, co doktor Szokalski sam nam wyznał. On przecie wcale nie zaprzecza, że tam był?

— Być może, skoro mówi, ale ja tam żadnego doktora nie widziałem — rzekł również chytrze zagadnięty.

— Bo on tam nie był jako doktor, tylko z Zamościa od Dwernickiego jako komisarz wojenny.

— Jako komisarz wojenny? — powtórzył zatrwożony Przeor.

— A widzisz, księżę, żeś się teraz zaniepokoił?

— Nie podobnego... nigdy nie słyszałem. — I spojrzawszy okiem badawczem na Sędzię dodał: — Tem bardziej mnie to upewnia, iż policya musiała Waszemu Wysokobłagorodje donieść zupełnie o kim innym.

— A więc przyznajesz ksiądz, że tam był przecież inny Szokalski z misją?...

— Ja nie tu nie powiedziałem, tylko tyle, że policya pomieścić musiała imiona i dwory, bo tam ani żadnego Szokalskiego nie było, o którym wspomina, ani żadnego nawet nie być

doktora. I o jakiej to Wasze Wysokobłagorodje mówi misyi z Zamościa — rzekł ciekawiej, widocznie tem zaniepokojony Przeor.

— Ha! jak widzę — mruknął Sędzia — ksiądz Sierociński chciałby od Sędziego wybadać, co wiadomem jest sądowi, a czego dotychczas nie wie? A więc, i ja ci powiem, co cię księżę, zainteresuje... Bo jeśliś nie słyszał lub nie chciał słyszeć o misyi, z której wypadło, że szlachta jej przyjąć nie chciała, bawiąc się w propagandę a spiski i spiskowe honory: to może się dowiesz teraz, że się znalazł szaleniec taki, jak Stecki, który napadłszy w trzysta koni i stu strzelców zajął Włodzimierz, wybiwszy naszych inwalidów, co tam stali załogą.

I tu się zatrzymał, lecz Przeor chcąc przeniknąć, do czego to zmierza, a nie doczekawszy się dalszych słów odezwał się spokojnie:

— Ależ tego, co prawda, Waszemu Wysokobłagorodje nie zaprzeczę, bośmy słyszeli wszyscy nawet i w Owruczu o tem zajęciu Włodzimierza... Wszak wszędzie o tem mówiono? To nie było tajemnicą dla nikogo, że Stecki zajął Włodzimierz.

— Jednakowoż może tajemnicą będzie dla Przeora, że tam między tymi śmiałkami był i jego uczeń drogi, jego Zbigniew...

Przeor się wypatrzył, i wyraźnie pobladł.

— A prawda, że Przeora nowina ta zainteresowała? I ażebyś ksiądz wiedział, żem ja otwartzszy, niżeli ty, księżę, powiem ci jeszcze, że młodzieniec tu siedzi w tym samym dziś gmachu, co i ksiądz Przeor Bazylianów z Owrucza.

— On uwięziony? — rzekł drżącym głosem Przeor.

— A ksiądz myślałeś, żeśmy go puścili, kiedyśmy zabrali go z waszego klasztoru?

— Ależ to pomyłka... zupełna pomyłka!... Bo on jest niewinny, wcale niewinny — rzekł Przeor. — Ja go znam dobrze. Wszak go niegdyś uczyłem... Znam jego rodziców... To całkiem spokojny chłopczyzna... Gdzie tam jemu polityka w głowie!

— Chyba i ksiądz z nim byłś teraz wszędzie?... Uważaj, księżo, bo siląc się bronić tego młodzieńca, sam siebie oskarżasz... a my wiemy, gdzie jeździł i po których dworach, a na jakich bywałś zjazdach, lecz wiemy również dobrze, żeś tam nie był w oddziale, który napadł z bronią na Włodzimierz? Naco więcej nam dodawać!... O to obecnie się tylko pytam, skąd wiesz ksiądz, że Zbigniew Zaręba tam się nie znajdował? Gorąca twoja obrona w sprawie młodzieńca tego pokazuje właśnie, i odkryła mi dziś, żeście razem w tej materii dobrze konspirowali. Ależ on mi więcej wyśpiewał?... Przecież pozna Przeor, iż młody tyle nie ukryje, co stary?

Przeor popatrzył przenikliwym wzrokiem na Sędziego, lecz domysłając się, że ten ostatni usiłuje z niego więcej dziś wydobyć, czego nie dowiedział się od młodszego, całkiem obojętnie w tej chwili odpowiedział:

— Skoro on Waszemu Błagorodje wyśpiewał wszystko, co wiedział... no, to mam właśnie nadzieję, że go sąd teraz wypuści...

— A! to dlaczego, księżo?

— Gdzie bowiem faktu nie będzie, skądże tam się weźmie wina jaka? — odrzekł Przeor.

— Ha! jak widzę, ksiądz Sierociński stara się twardo trzymać, i wszystko dziś jeszcze neguje, gdy my z nim obchodzimy się, jak z duchownym i przełożonym klasztoru Bazylianów, ale kiedy pozna, że my potrafimy i dalej pójść, choćby i z Przeorem Bazylianów, jeśli stoi upornie, i nie będziemy w nim widzieli, jeno przestępcę i winowajcę: wówczas może zmięknie. A więc teraz, księżo Przeorze klasztoru św. Bazylego — dodał z ironią — do niedługiego widzenia!

Dał znak, i wyprowadzono więźnia nazad do jego celi.

## II.

Przeor pozostawiony sam jeden w celi ze swojemi tylko myślami, rozbierał w duchu pytania zadawane sobie przez Sędziego i swoje własne odpowiedzi: był przeto pewnym, iż oni wiedzą już wprawdzie niejedno o zjazdach i propagandzie na Wołyniu, lecz nie znają dokładnie treści narad tych, jak i osób udział tamże biorących. Bo też szlachta za nadto wtedy głośno i z hałasem zbierała się, a zamiast wzięcia się prędko i energicznie do tworzenia oddziałów i zajmowania bez straty ludzi miast powiatowych, jako centrów ludności, najlepszy traciła czas na bezpłodnych naradach i tworzeniu dopiero spisków, i to wtedy, kiedy już czas spisków dawno przeszedł, a siły Kreutzta, następnie zaś Rydygiera stały już im nad karkiem...

Są też teraz w posiadaniu wielu powięzionych, o innych chcieliby się jeszcze dowiedzieć.

Tu przestał chwilę, potem rzekł do siebie:

— Ależ Ksawery?.. Oni już o nim wiedzą, że to tego samego Szokalskiego wywieźli z klasztoru, który był w oddziale Dwernickiego. Lecz czy oni już doszli — rozbierał dalej w myśli — że Ksawery jako wysłannik z Zamościa żądał, aby oddziały konne powstańców czempredziej zajęły okręg po prawej stronie Bugu, i partyzantką rozdzieliły siły słabych wówczas jeszcze dowódców rosyjskich nad Dniestrem i Dnieprem? Lecz wypada trzymać się dobrze, by nie dopuścić, ażeby oni wyciągnęli z zeznań treść pośrednictwa, w którym Ksawery Szokalski główną grał rolę... bo dójdą jeszcze i do innych, którzy tam również większy brali udział. Byle tylko krewkością swoją nie zdradził co więcej Zbigniew?..

Tu się zamyslił więzień, bo młodzieniec był już w ich ręku. Oni dziś wiedzą, iż on był w oddziale Steckiego, jako jeden ze śmielszych przy zajęciu Włodzimierza.

Los młodzieńca tego będzie na sumieniu tych, którzy kunktując odbiegli i niedopuszcili, ażeby oddział stanął liczniejszy. Bo gdyby byli stanęli, nie w parę set, lecz w parę tysięcy, wtedyby oddział Dwernickiego, mając punkt tu oparcia, zajął zachodni Wołyń, i pierwsze jego na Wołyniu zwycięstwa ściągnęłyby całe tłumy, a nie tylko pojedynczych. Wtedy Dwernicki później nie dałby się wyprzeć na teren galicyjski, aby go drugie mocarstwo rozbroiło, lecz przeciwnie wyparłby tam Rydygiera — i inny wzięłyby rzeczy obrót. Wówczas i lud, a to nie tylko spędzany wolą dworskich bez własnej myśli, pomnożył insurrekcyę, lecz wiedząc, że mu dadzą wolność obywatelską, i przyznają mu własność, chwyciłby za broń z własnej woli.

Zamyślił się więzien, widząc taką przed sobą przyszłość Ojczyzny zmarnowaną. I smutnym oddał się już dalej myślom.

Sędzia inkwirujący tymczasem nie zaniedbywał sprawy: kazał bowiem przywołać przed siebie Ksawerego Szokalskiego.

A kiedy przybył więzien, zmienił minę swą, i zapytał sucho i krótko:

— Jestem pewny, żeś się pan już teraz namyslił, i nie będziesz udawał się do wybiegów, bo mamy inne właśnie zeznania...

Szokalski popatrzył na niego, i czekał na zadanie pytań.

— Pan chciałbyś słyszeć, czyje to mamy zeznania?... Nie potrzebując już kryć, a ułatwiając mu zeznanie własne, powiem prosto, iż mamy od tego, który jako kapłan, nie chcąc narażać zakonu swego, choć wcale nie siebie, otwarcie już wyjawili szczerą prawdę, i to właśnie przed chwilą...

— Przecież Wasze Wysokobłagorodje nie mówi tu o księdzu Sierocińskim! — odpowiedział uważnie więzien.

— A to czemu pan wyciągasz taki wniosek?

— Bo on tam nie mógł być wcale — dodał ostrożnie inkwirowany.

— A zatem teraz nam podasz pan innego księdza?

— Jakżeż mógłbym podawać, skoro ja nie byłem na zjeździe, o którym Wasze Wysokobłagorodje wspominał, i którego znaczenie polityczne mogło być jeno chyba w fantazyi widzącej niejedno, czego wcale nie było, podejrzliwej policyi.

— Pan zatem jeszcze stoisz na punkcie zaprzeczania?... Zwykły to manewr wasz utrudniania śledztwa, ale przyznasz, że już wtedy staje się nieroztropnością, kiedy nie tylko na śladach znajduje się sąd, ale ma w rękach swych dowody.

— Jakież podać mi raczy Wasze Wysokobłagorodje dowody?

— Ha! to już moja rzecz, i w swoim czasie podam. Nie sądź pan, by ci się udało sąd podejść, i od niego wydobyć, coby posłużyć ci miało dla własnej obrony. Nie aresztowany ma pytać, lecz odpowiadać na zapytania.

— Ja też nie zadaję pytań, lecz odpowiadać na to nie mogę, czego nie byłem świadkiem.

— Ależ ksiądz Sierociński nie wypiera się, że był tam, i że był również doktor Ksawery Szokalski.

Więzień spojrział na Sędziego badawczym wzrokiem, lecz potem dodał spokojnie:

— Ja przynajmniej jestem pewny, że ksiądz Sierociński nie opuszczał wówczas swego klasztoru.

— A skąd pan wiesz tak dokładnie o czasie, skoro tam wtedy nie byłeś?

— Słyszałem to przecie od Waszego Błagorodje, a porównując czas mi przez niego podany z moim właśnie, przyszedłem do przekonania, że wtedy właśnie sam przebywałem w Owruckiem, a ks. Przeor, jeśli jeździł, to tylko na łowy do dworów pobliskich: nie mógł być zatem o kilkadziesiąt mil dalej...

— A jeśli on sam to przyznaje? — rzekł chytrze Sędzia.

— Jeśli sam przyznaje — dodał spokojnie więzień — w takim razie Wasze Wysokobłagorodje więcej musi wiedzieć, niżeli ja jestem w stanie odkryć w sobie.

Sędzia poznał tu, że inkwirowany przeniknął jego zamiar, i mruknął do siebie:

— Jednakowo się trzyma... nie chce wydać — dodał więc głośniej: — Ale o Zbigniewie Zarębie nie będziesz już pan krył teraz?

I czekał chwilę

— Wszak Waszemu Wysokobłagorodje wiadomo, że ja takiego młodzieńca wcale nie znam?

— Być może, gdyż pan ufałeś jego zamilczaniu, ależ on młody, krewki i niecierpliwy: wszystko więc już wyśpiewał. Już i ksiądz Sierociński załamywał ręce, bo on i jego dobrze zaplątał...

— Ale Wasze Wysokobłagorodje wie dobrze, że ja nie w tej myśli powiedziałem, jakbym nie znał jego charakteru jedynie... Mnie osoba wcale ta nie jest znana.

— Na co to się przyda, panie Szokalski, skoro po zajęciu Włodzimierza przez Steckiego miałeś tam misyę do ich oddziału, a Zbigniew Zaręba przecież się tamże tak odznaczył?...

— Wasze Wysokobłagorodje wie o tem dobrze, iż nie będąc w żadnej misyi, nie mogłem tych widzieć, którzy tam według słów jego przebywać właśnie mieli.

— A więc pan Ksawery Szokalski zostaje jeszcze na jednokowym punkcie zaprzeczania?...

— Nie mogę przyznawać, o czem nie wiem, i gdzie wcale nie byłem.

— Niech i tak będzie! — rzekł z sarkazmem Sędzia. — Nie wiem, jak długo jeszcze będziesz pan trwał w obranej przez siebie drodze. Lecz mu to tylko powiem, że już stała się droga przez niego obrana niemożliwą, a za dzień, za dwa, na nic się

już nie przyda, jeśli byś pan chciał nawet wtedy przyznawać niejedno. A więc do krótkiego tylko widzenia!

Dał znak, i więźnia wprowadzono.

— Trzymają się — mruknął do siebie. — Na nic się nie przydało... Przeniknęli, co udaniem, że się wie, a kłamstwem, chcieliśmy od nich wydobyć... Przyciśniemy ich lepiej, gdy im zmienimy na gorsze ich cele.. Zobaczmy, czy nie przełamie uporu gorsze więźniów traktowanie... Ten Szokalski przecież toć akademik... doktor medycyny, a nie nasz muzyk, któremu to obojętnie, gdzie siedzi i z kim razem.. A Przeor?... No, ten przecież przyzwyczajonym być musi do wygody klasztornej... a kiedy się ujrzy w celi, którą ja mu przygotowuję, to zmięknie.

— A teraz przywołamy młodzieńca!

Dał rozkaz, i po jakimś czasie zjawił się w sali Zbigniew Zaręba.

Sędzia przybrawszy teraz łagodniejszy wyraz twarzy, z pewnem nawet współczuciem, odezwał się:

— Młody człowieku! Żał mi pana, boś jest pełen zapału i chęci, jak najlepszych. Szkoda młodości, a prawa nasze ostre... Ale ja chciałbym z nim pomówić otwarcie, chciałbym nie być tu sędzią, lecz raczej przyjacielem.

Zbigniew popatrzył z niejakim zdziwieniem.

— Tak.. pana to dziś dziwi?... Ale ja z jego odpowiedzi dawniejszej poznałem, że ma charakter i ma zapał do wielkich czynów. Był odważnym, a to każdego wojskowego, jakim i ja jestem, ująć musi. Byłem dla ciebie, panie Zbigniewie, surowym i szorstkim, bom cię uważał za takiego, jak innych: dziś sądzę o Zbigniewie Zarębie inaczej. Lecz muszę zaraz na początku powiedzieć, że szkoda właściwie twojej wiary i twego zapału. Boś sądził, jako młody, niedoświadczony, a pełen wiary, że znajdziesz wielu sobie równych, tak samo skłonnych do ofiar i poświęceń... Ale oni przeciwnie opuścili was kilkudziesięciu szla-



chetnych i odważniejszych, sami rozbiegli się w lasy, kryjąc się z dworskiem hultajstwem i swymi ekonomami. Wyście młodszy marzyli o tem, że oni chłopów swoich uzbroją przynętą wolności i własności... Ale to złudzenie! Bo ten, kto uważa chłopą jako bydło swoje robocze i gani batem ekonomskim na swoją glebę, ten chłopą nie uzbroi, ażeby bił się o to, co go an świerzbi, ani boli!

Zbigniew, który od chwili już marszczył skroń, a krew mu podchodziła do twarzy, odezwał się teraz:

— Ależ panowie nie znacie ludu naszego, ani szlachty. Być może, że znachodzą się zimni egoiści, podli, ale tego nam zarzucać nie możecie, żebyśmy głusi byli i ślepi na niedolę Ojczyzny.

— Tak sądzisz? Hm!... Przecież wielu z waszych zjeżdżali się tylko i tworzyli komitety, wybierali sobie urzędy rewolucyjne, targowali się o dzień wybuchu, o wodza, i Bóg wie tam o co, ale gdy przyszło nadstawić piersi, jak szlachcie rycerskiej przystałoby, o! to wtedy pokryli się w miejsca bezpieczniejsze. Wszak rachowaliście na tysiące, a tymczasem ilu was tam było w Włodzimierzu?... Zaledwie kilkudziesięciu śmiałków, co nam wyprawili tylko hecę z inwalidami.

— Panie Sędzio! — odrzekł Zbigniew z oburzeniem. — To nie była heca! To był bój na prawdę, i nie taki łatwy...

— Z kilkunastu inwalidami — powtórzył z pogardą Sędzia — Garnizon z niedołęgów!... Łatwe to z takimi zwycięstwo!

— Ależ tam nie było kilkunastu... Tam było ich więcej, niż kilkudziesięciu... I nie tak źle się oni trzymali!

Sędzia zwróciwszy się w tej chwili do pisarza przy mniejszym stoliku rzekł krótko: — Zapisać te słowa!

— Jak to?... Jam się wymówił — odezwał się z niejaką trwogą Zbigniew — a mój sędzia to zaraz dyktuje do protokołu?...

— O! nie lękaj się tego, panie Zbigniewie!... Masz przecież z wojskowym do czynienia, który umie cenić odwagę w żołnierzu, a los twój więcej mu będzie na sercu, niżeli tym, co cię zdradzają.

Młodzieniec drgnął, Sędzia zaś dalej ciągnął:

— Ot, widzisz, i teraz ten zapisek na twoją korzyść wypadnie, bo jak się dziś pan nie wypierasz, żeś był w oddziale Steckiego, tak to jest dowodem twojej szczerości, i znacznie wpłynie na zmniejszenie winy.

— Ależ jam nie mówił, że byłem w oddziałach Steckiego?

— Przecież kto wie dokładnie, ilu tam było garnizonu, kto doznał, że nie łatwą była z nimi sprawa: ten był tam przecież?... Panie Zbigniewie! nie chciej uporem swym psuć tego, coś dopiero naprawił. Zresztą myślisz, że inni... że może klecha ów... Sierociński chciał tutaj poświęcić siebie i swój klasztor dla ratowania was, kilku śmiązków z Włodzimierza, których uważa on tylko za szalone głowy, coście drugich jedynie w biedę zawiedli?...

— Ksiądz Sierociński? Przeor? On tego nie mógł mówić?... Waszemu Wysokobłagorodje fałszywie doniesiono.

— Ależ tu jest protokół z nim niedawno zrobiony — rzekł chytrze Sędzia wskazując na leżące na stole papiery.

— Jak to, protokół — zapytał zatrwożony młodzieniec. — Czy i on jest tutaj?...

— I wcale nie myśli dźwigać dziś kajdany za was, ani klasztor swój na bożą zostawić opatrzność.. On jest księdzem, i jemu tego za złe brać nie możemy. Co innego świeccy!

— I co on mówił? — mruknął Zbigniew.

— Nie krył się wcale z tem, co mu sumienie nakazywało, bo mówił pod przysięgą...

— Pod przysięgą? — powtórzył młodzieniec.

— A przecież nie chciałbyś, ażeby ksiądz został krzywo-

przysięcą?... Nie mógł zatem tać o waszym zamachu; prócz tego mówił, iż on was, jak również i inni starsi odwodzili od zamachu niebezpiecznego na Włodzimierz, tak, że część większa odstąpiła was nawet, ale ty, panie Zbigniewie Zaręba, i Stecki postanowiliście próbować ze stoma... no, może tam nieco więcej było takich śmiałków... Wszak nie będziesz dziś pan tchórzył, i ksiądz robił krzywoprzysięcą, gdyż w takim razie jemu zaraz proces zrobimy o krzywoprzysięstwo. Jeżeli Zbigniew Zaręba zaprzeczy... ha! to musi rozpocząć się nowa sprawa, nowe śledztwo, a ksiądz może wtedy zostanie wyświęcony i pójdzie w katoggi, jako krzywoprzysięca. jako prosty, a więc nie jako polityczny przestępca.

— Co?... On, ksiądz Sierociński, mój dawny nauczyciel... w katoggi?

— A! tak... Inaczej ja byłbym odpowiedzialny. Tu musi być sprawa ta zaraz prowadzoną o krzywoprzysięstwo... Tak, panie Zbigniewie!... Tobie grozi sprawa polityczna i kara honorowa, jemu zaś sprawa o przestępstwo pospolite, haniebne. Zastanów się, młodzieńcze! Jeśli podyktujesz tu tylko do protokołu, że to nieprawda, co on zeznał, i na co przysiągł — ha! to ja zaraz rozpoczynam z nim sprawę o krzywoprzysięstwo! a więźnia posyłam tam, dokąd on dziś należy.

— Nie, ksiądz Sierociński — nie jest krzywoprzysięcą — i przysięgać fałszywie nie może — rzekł młodzieniec westchnąwszy.

— A więc wszystko prawda, co on zeznał pod przysięgą?

— Ale ja tu nie słyszę, co on właściwie zeznał — rzekł z niejaką trwogą młodzieniec.

— Zaraz pan usłyszysz.

I w tej chwili kazał sobie podać pisarzowi papiery, z których wzięwszy je do rąk, a zaglądając do nich, czytał teraz zeznania rzekome księdza Sierocińskiego, a właściwie sam je w tej chwili według potrzeby układał. Były w tem zeznania o

zjazdach, komitetach, o planach, o ruchach oddziałów z wymienieniem nazwisk.

Zbigniew słuchał pełen niepokoju — a krew mu podchodziła do lica... chwilami blednął, chwilami poruszały mu się wargi, jak gdyby usiłował zaprzeczać. Nieraz się z czem nawet wymówił, co dobrze w pamięci zachował szczwany sędzia, umiając słowa właściwie wydarte zużytkować.

Gdy nareszcie skończywszy czytać zwrócił się do Zbigniewa, zapytując, czyli ksiądz prawdę tutaj mówił, odrzekł sucho młodzieniec:

— Prawda — Lecz zaraz dodał — Aleć bo on o niejednym mógł wiedzieć fałszywie, i na prawdę on nie wiedział...

Nareszcie gdy Zbigniew jeszcze niejedno chciał zaprzeczyć, rzekł Sędzia:

— A skądże ty, panie Zaręba, masz to lepiej wiedzieć?... Czy już tam wszędzie a wszędzie byłeś — i we wszystkim udział brałeś?...

Zbigniew poznał, że wpadł w sieci, z których się nie wydobydzie. Atoli Sędzia z miną protekcyjonalną zaczął go pocieszać odezwałszy się:

— Nie bój się, zacny panie Zbigniewie, zrobiłeś na mnie jak najlepsze wrażenie... To będzie zasługą twoją i twoją właśnie obroną, żeś dziś nie krył i również prawdy się trzymał — nie tak, jak inni.

— Ależ ja nie mam tu żadnej zasługi, i nie chcę żadnej mieć obrony! — zawołał zrozpaczony już młodzieniec. — Ja jestem winny więcej, niżeli inni. — I dodał w rozpacz: — Ja walczyłem z bronią w ręku, i żałuję tylko, że mi się więcej nie udało!...

— Ażeby ci się więcej nie udało, panie Zaręba — rzekł z pewną ironią Sędzia — dlatego postaramy się, ażeby ci się nie prędko nadarzyła znowu sposobność.

— Karzcie mnie, jak drugich, i surowiej, niżeli drugich! Jam przygotowany! Bo ja wam więcej złego uczyniłem! — zawołał w uniesieniu.

— Ażebyś nie wpadał w taki heroizm szkodenia rządowi prawowitemu, jeno raczej oddał się łasce carskiej, ma się rozumieć, jeśli wykryjesz sądowi wszystkie imiona buntowników — zawiodą cię teraz do twojej celi. Widzisz, jak my się staramy, ażebyś nie psuł gorącością krwi swojej, coś teraz na swoją zeznał korzyść. Gdy ochłoniesz i zastanowisz się, powiesz nam potem całą prawdę.

Dał znak, i zrozpaczonego zaprowadzono młodzieńca do jego celi, by w uniesieniu niejednego jeszcze nie odwołał.

Sędzia zacierał ręce ze zręcznością swoją, a dobrze obliczonem podejściem tak: zrobił w tej chwili połów. Przeor i Szokalski twardo się trzymali, zaprzeczając wszystkiemu, z porywczego młodzieńca wydobył Sędzia, co zamierzał, na niego samego i na tamtych, jak i na wielu innych. Obaj pisarze mieli teraz wiele do zapisania w protokole, a były tam i fakta świeże i nowe imiona. Niejednego, który siedzi już od kilku miesięcy w gmachu tym — los się teraz przeważy.

---

### III.

Księdza Sierocińskiego zawiedziono teraz do gorszej celi, ciemniejszej, z której ścian wychodziła kroplami wilgoć, zimna, kości mrożąca. Oprócz tego była to nora, tak niska, że się więzień wyprostować w niej nie mógł. Morzono go nawet głodem; podawano bowiem strawę, jakiej się częściej tknąć nie mógł. Gorzej go jeszcze dręczyli, gdy mu wody nie dawano świeżej, by mógł ugasić pragnienie, wywoływane przez strawę naumyślnie słoną. Usiłowano go tem wszystkiem zmusić, aby

zeń wydobyć zeznania, a szczególnie dotyczące imion, o których jeszcze nie wiadano. Lecz kapłan był pewny, iż nastąpi dla niego teraz chwila męczeństwa, prosił przeto Boga, ażeby mu dał dziś siłę wytrwania i potrzebny do tego hart duszy. O! bo miał on wiele do znoszenia! Do koła bowiem chwilami rozlegały się jęki i głosy jakiegoś dziwnego, które zmęczonemu długim czuwaniem oka zmrużyć nie dawały, a kiedy czasem zdawał się zasypiać, wówczas przerywał sen jego jakiś jęk z niedaleka dochodzący, jakby tam człowieka brano na tortury. To znów innym razem zdawały się dolatywać głosy jakiegoś i wycia, jak gdyby obłąkanych, to śmiechy konwulsyjne, krew mrozące. A gdy znękany tem wszystkiem, obezsilony, myśli swoich zebrać nie mógł, wówczas wołano go do śledztwa, dla wymuszenia zeznań na innych. Lecz kapłan nieszczęśliwy, choć siebie wtedy nie mógł obronić, jednak zeznań na innych niekorzystnych nie dał wcale z siebie wytortuować.

Niebawem też otrzymał jeszcze towarzysza niedoli w tej ciasnej norze. Atoli nie był to wcale więzień polityczny, lecz zbrodzień, za zbrodnie pospolite. Z takim więc miał siedzieć teraz kapłan, który się poświęcił za Boga i Ojczyznę!...

Zbrodzień ów z gminu, wprowadzony do celi, kiedy spostrzegł w towarzyszcu niedoli księdza, cofnął się zrazu usiadłszy na boku, ponury i niechętny, iż mu takiego dano towarzysza. Chociaż złoczyńca, nie śmiał jednak zaczepić kapłana, siedział tylko milczący, z zacisniętymi zębami, jak zwierzę dziki, który wpadłszy naraz do jamy, niespodzianie zoczył się tamże z człowiekiem i zatrwożony szukał za jakim kątem, przejęty strachem tylko niewytłumaczonym. Kapłan również podobnem towarzystwem zaniepokoił się, lecz nie dawszy po sobie poznać, zwrócił się ku innej stronie nie przerywając modłów swoich.

Towarzysz jego dalej się jeszcze usunął do ściany, bardziej niechętny, i miał minę, jakby nie wiedział, co tu z sobą

począć: widocznie nie na rękę mu była ta modlitwa księdza. Człowiek ten pod tym względem nie musiał być jeszcze sam z sobą w zgodzie, bo choć może już od dawna do domu Bóże- go nie uczęszczał, ani szukał kiedy w modlitwie pociechy, mimo to lata dawniejsze z czasów młodości, jeszcze o tyle musiały pozostawić w duszy jego śladów niezatartych, że jakimś strachem zabobonnym przejęty bał się księdza i modlitwy jego, jakby zaklęć jakich, które mogłyby karę na jego nieszczęście sprowadzić.

Przeor zaś za wiele miał doświadczenia i za nadto dobrze znał ludzi, żeby mógł zaraz ludzię się nawróceniem łatwym tego rodzaju grzesznika; wiedział bowiem, iż to, co tu trzyma z daleka od niego zbrodniarza, wcale nie wypływa z sumienia, ni też przez cześć dla człowieka oddanego Bogu, lecz jest tylko następstwem strachu zabobonnego. Poznał jednak, iż może tu utrzymać złoczyńcę tego o tyle, że się nie ośmieli do cynicznego w obec niego zachowania.

Lecz kapłan widział tu, iż kiedy sam, zmówiwszy modlitwę, usiadł sobie na jednym końcu tapczana, i oparty tylko o ścianę zabierał się do spoczynku nocnego, zostawiając resztę miejsca dla drugiego więźnia: wówczas ten ostatni usunął się z pewnym szacunkiem, ażeby dla księdza zostało całkowite miejsce.

— Tu, bracie mój — odezwał się kapłan łagodnym głosem — dość dla nas obydwóch zostaje miejsca.

Zbrodzień jeno wypatrzył się, jakby nie był przygotowany na takie słowa ze strony kapłana... Bo kto on taki? Ot, sobie człowiek „pidły“ z pospólstwa... a ten drugi, to choć on także popełnił jakieś przestępstwo, jednak to zawždy z „innych“, i do tego „świaszczennyk“. Nie odpowiedziawszy przeto nic, usiadł na ziemi, mruknawszy tylko półgłosem: *Dla mene toje wystaje... ja prostyj czołowik.*

Kapłan poznał, iż słowa jego łagodne wpływ podobny

wywarły na człowieku, który od dawna może nie słyszał, aby ktokolwiek do niego w ten sposób się odezwał.

A gdy Przeor, zanim się położył, zabrał się do wieczornej modlitwy, wtedy towarzysz jego, jak gdyby ze wstydu, również szeptać próbował słowa pacierza. Kapłan wziął to za dobrą wróżbę, i sam wtedy spokojniejszą miał noc, poznavszy, że się sędziowie jego omylili, gdyż on mimo ich chęci nie pozostał przecież we lwiej klatce, jak niegdyś poprzednicy jego za Nerona lub Domicjana.

Na drugi dzień próbował kapłan nasz zbliżyć się nieco do towarzysza swego. Tutaj zaś przekonał się, że człowiek ten wcale nie miał ochoty występować z cynizmem zwykłym u zbrodniarzy, a nawet umiał to uznać, że taki mąż zniżył się do niego.

I kiedy dowiedział się zbrodzień, że towarzysz jego za żadne zwykłe nie siedzi oszustwo, ani krzywdę wyrządzoną drugiemu, lecz za takiego rodzaju sprawy, dla których człowiek pospolity wcaleby się nie narażał, miał wtedy dla niego szacunek, uznając w nim człowieka wyższego. Ksiądz był rad nawet, że dziś przynajmniej nie został sam wiecznie z temi samemi myślami, lecz dostał towarzysza, którym mógł się zająć. W więzieniu samotność zupełna najwięcej dręczy, towarzystwo choćby najlichszego zwierzęcia, daje samotnikowi jakie takie zajęcie, a tutaj znalazł przecież kapłan dla siebie zajęcie zgodne z zawodem swoim i powołaniem, jakim jest naprowadzenie na prawą drogę zbłąkanego. Bo choć Przeor nasz widział po grzeszniku, iż tu wcale niełatwem będzie nawrócenie jego, jednak praca tu dawała kapłanowi zajęcie, które ożywiało ducha jego.

Widocznem też to zaraz było przy dalszej indagacyi, gdy go teraz wołano przed sędziów, odpowiadał bowiem z większym spokojem i dawniejszą pewnością siebie.

Sędziowie też jego poznali, iż się omylili, myśląc, że księ-



dza tem zgnębą i do zastosowania się do ich zamiarów przy-  
muszą a badając znowu towarzysza danego księdzu, odkrywali  
i w tym pewną zmianę na lepsze. Ażeby więc nie dopuścić do  
tego, zabrano go wnet z tej celi.

Przeor znowu pozostał sam jeden ze swemi tylko my-  
śłami...

Lecz nie długo to trwało, gdyż po pewnym czasie zmie-  
niono mu celę, i zawiedziono do innej, większej i wygodniej-  
szej, w której zastał innego towarzysza niedoli.

Przeor zaziwił się, że go teraz, jak gdyby na prawdę le-  
piej traktować chciano, skoro mu dali miejsce wygodniejsze i  
bardziej wykształconego towarzysza. Zapewne musieli potrze-  
bować tamtej celi dla kogo innego, z któregooby chcieli również  
wymusić jakie zeznanie?... O! bo gmach ten ponury coraz wię-  
cej otrzymuje mieszkańców, mimo, że wielu stąd dalej wyse-  
łają, ciągle bowiem słychać tutaj po kamiennym bruku dudnie-  
nie zdala wozów... Wywożą nieszczęśliwych!...

Towarzysz jego nowy był to również duchowny, do tego  
rodak, który tak samo, jak Przeor wpadł w ręce wroga, przez  
takie same sprawy polityczne. Był zarówno w podobnym po-  
łożeniu, gdyż za swoje poświęcenie się dla innych wszedł w ko-  
lizye z rządem. Biadał też ciągle i narzekał.

Przeor, współczując z nim razem, próbował dodawać mu  
otuchy, wystawiając, iż za dobrą sprawę cierpienie, choćby naj-  
większe, nie tak dolega. W krótkim też czasie wiedział już  
jeden o drugim, gdzie przebywali i w jakich brali udział oko-  
licznościach.

Atoli tamten narzekał, iż on jako duchowny greckiego  
obrzędku trzymać musiał z łacinnikami, choć ci ostatni zawsze  
im dawniej wyższość jeno swoją uczuć dawali.. A przecież oni  
wszyscy zawsze jednakowe mieli zamiary i takim samem pło-  
nęli pragnieniem, aby wyzwolić kraj cały od Warty aż do Dnie-

pru!... I co dziś za to mają?... Oto, że szlachta sama siebie ratując i w czas emigrując, lub też godząc się z okolicznościami, ich wystawiła na niebezpieczeństwo. Raz po raz narzekał na tę szlachtę wołyńską, ciskając nawet na pojedyncze domy obelgi jak największe, lecz Przeor znał ród niejeden, i dobrze wiedział, kto piersi swe gotów był nadstawić, a kto odbiegł od sprawy, chociaż mniej może ze złej woli, niżeli z niedołęstwa i tchórzostwa, lub braku poglądu na rzeczy.

— Książd Przeor bronisz ich — rzekł towarzysz — A jakimi oni zawsze dla nas bywali?... Gdy sami zachowywali dla siebie w przeszłości senatorstwa i wszelkie godności, nas uważali... ot! jako tylko popów i świaszczenników?

— Waśc jesteś zgryźliwy? — mruknął Przeor. — Powiedz zaś, bracie, czy wszędzie tak bywało?

— Czy bowiem inaczej? — dodał tamten. — A za naszych czasów? Gdy magnat i szlachcic każdy oddawał u siebie pierwsze miejsce księdzu łacińskiemu, a żony jego i córki całowały go w ręce, cześć mu wszelką oddając, wówczas świaszczennik zabierał tylko pośrednie miejsce w domu jego, jeżeli już nie ostatnie?...

— A wiesz bracie, dlaczego? — odrzekł Przeor. — Bo nasi nie zawsze starali się, ażeby im wyrównać nauką i wykształceniem... Bo gdy tamci odbywali studia w akademiach, oddając się następnie czytaniu ksiąg i pracy nad parafianami, u nas często musiano między lud takich posyłać proboszczów, co za ledwie skończyli szkoły elementarne, na parafii zaś potem więcej oddawali się gospodarstwu własnemu, niżeli nauczaniu ludu, którego tylko wtedy znali, kiedy ich wołał na „chrystyny“ lub „pochoronki.“ Do tego oni często nawet nie o wiele wyżej od tego ludu stali...

— Ależ przecie, ojcze Przeorze, i u nas bywali ludzie, co mogli również świecić nauką i wykształceniem?...

— To prawda, ale też takich zupełnie inaczej uważano? — dodał Przeor. — Zresztą czyż to, do czego przyzwyczajono się od dawna, tak zaraz od razu zmienić się dziś mogło? — A czyliż nie zwracało się już niejedno na lepsze? Żali konstytucyą trzeciego maja nie usiłowano naprawić braki i krzywdy dawniejsze?

— Ale gdzie dziś ona? — dolożył z sarkazmem towarzysz.

— Bo nie dopuścili nieprzyjaciele!... Kiedy naród upadł, zniszczono i dzieło jego pracy.

— A kto to przyłożył pierwszy rękę do zniszczenia tego dzieła, jeżeli nie oni sami?... Wszak Targowica nie składała się z Moskali?

— Więc ty, bracie, chcesz winę pojedynczych, co dla pychy własnej, dla egoizmu, sprzeniewierzyli się Ojczyźnie — na karb położyć całego narodu?

— A czyliż dziś działo się inaczej? — rzekł tamten. — Czyż to mało szlachty wołyńskiej, podolskiej, pochowało skarby swoje, zachowawszy chłopów swoich, chyba dla Moskali, co będą dziś mieli z nich dla siebie rekrutów? Opuścili sprawę swoją, publiczną, a my... mamy dziś za nich cierpieć?... Oni, co posiadają dobra i skarby i chłopów dla siebie, pogodzili się z okolicznościami, oni, łacinnicy, uznali prawowitość władzy dzisiejszej, a my, ludzie innego, bo greckiego obrządku, mamyż ponosić karę, za to, co oni rozpoczęli, i czego nie dokonali?..

— Bracie! — rzekł Przeor — z ciebie mówi dziś żal do nich, tem niesprawiedliwszy, że składasz wszystko na stan jeden, nie pomnąc, że Wiara i Ojczyzna nie może na szwank być narażoną w sumieniu wiernych za błędy ludzi pojedynczych, a choćby i całych nawet warstw narodu?..

— Ależ, ojcze Przeorze, ja wiary się nie zrzekam... Bóg mnie skarż! jeślibym chciał odstąpić kiedy wiary naszej!... Ale ty wiesz przecie, ojcze, że jesteśmy greckiego obrządku?..

— Lecz ja już to po raz drugi z ust twoich słyszę, mój bracie, o naszym greckim obrządku, jak gdyby on miał nas oddalać od tamtych?

— A czyliż inaczej?... Czyśmy może łacinnicy?... I co nam pomogło, żeśmy się zawsze trzymali łacinników i Rzymu?... Że nas dawniej poniżano, a dziś zostawiono zemście rządu?...

Przeor popatrzył z trwogą — a tamten dalej mówił:

— Większa część magnatów i szlachty pojednała się z położeniem dzisiejszem, bo nie chcą stawiać oporu potędze, którą ich zgnieść może, przez co zachowają mienie i przywileje swoje. A my słabi, my poniewierani, mamy odepchnąć dziś rękę, którą nam zwycięzcy w wspaniałomyślności swej podają?... Dla miłości Rzymu?... A co nam Rzym pomoże?

Ksiądz Sierociński, słysząc to stał przerażony, i krew mu widocznie podchodziła do lica — tamten zaś rzekł teraz:

— Wszak my nie jesteśmy łacinnikami?... My należymy do wschodniego kościoła, który Focjusz i Cerularyusz oddzielili już od dawna od zachodniego?...

— I to słyszę z ust duchownego? — zawołał ze zgrozą Przeor — z ust kapłana ludu?... A więc dlatego, że Ojczyzna poniosła klęskę — ty, jak widzę, przeszedłbyś dzisiaj na schizmę?

— Ja wcale nie potrzebuję przechodzić, tak samo, jak i nikt z naszych... My potrzebujemy tylko oczyścić obrządek nasz grecki z naleciałości obcych, łacińskich — a wtedy on się niczem nie będzie różnił od cerkwi wschodniej, od prawosławia, wyznania jedyne go, prawowitego...

— Ach! co ja słyszę — zawołał w oburzeniu Przeor.

— Co ty słyszysz, ojcze — dodał tamten — no, czy ja pierwszy tak sprawę całą widzę?... Żali mało tych, co tak samo interes swój pojęli?... Oglądnij się, Przeorze, do koła siebie, i zlicz teraz innych! Bo kto ma od nas prawo żądać, ażebyśmy siebie i wszystkich naszych na zgubę wydali?

— Człowieku! Zlituj się i nie mów tak! — krzyknął Przeor.  
— Bo na słowa twoje ruszą się prochy tych, co za wiarę swą ginęli niegdyś w katakombach! Gdyby ci, co tam leżą, tak samo byli myśleli, nie przetrwawszy męczarni, lecz pogodziwszy się z władzą, weszli napowrót do bożnic pogańskich i zdradzili Chrystusa dla Mitry i Jowisza: w takim razie ani Focjusza twego, ani Cerularyusza nawet nie byłoby, bo nie mieliby przeciw komu i czemu powstawać?... Czem dziś jesteśmy, winniśmy wraz ze światem całym męczeństwu ich i poświęceniu — a my mamyż teraz inną drogą postępować?...

— Ależ daj sobie, ojcze, powiedzieć, że dziś inne czasy... dziś inną drogą dochodzi się do celu?

— Droga zawsze jedna i ta sama, po której chodzą prawi — rzekł silniejszym głosem kapłan.

— A więc dziś odrzucasz rękę, którą ci podaję.

— Kto podaje? — rzekł zdziwiony Przeor.

— Oni nam zaręczają — dodał tamten. — Możemy mieć ich słowo..

Przeor odstąpił kilka kroków, zawoławszy:

— Kto zatem ty jesteś?... Jam sądził, że tylko nieszczęśliwy, zrozpaczony człowiek, który tracić zaczyna już siłę ducha — a ty masz... jak gdyby... na Boga! od nich misyę...

I tu patrzył na tamtego ze zgrozą.

— Ha! skoro nie chcesz — odrzekł tamten — i odrzucasz, co ci podajemy, trzymaj się zawsze Rzymu swego i pozostań w okowach, ty, kapłanie, który mógłbyś mieć mitrę na głowie drugimi przewodząc!... Ja zaś należę już do swojej Cerkwi, jedynej, prawowitej. Jutro opuszczam te mury więzienne, bom się już pojednał... a teraz idę godzić moich współwyznawców obalamuconych tą Unią... Ja ich pogodzę z Cerkwią prawowitą ojców — i wiem, że za mną pójdą. I ty pójdiesz za nami. —

Bo musisz pójść... Inaczej sambyś przepadł, kapłanie, i twoja Cerkiew wraz z tobą!...

Przeor przeraził się i odstąpił, jako od apostaty i zdrajcy.

Tamten zbliżył się do drzwi wychodowych dając znaki... Wkrótce nie było go już w celi

Przeor sam został, przerażony. Zdało mu się, że się mury do koła zachwiały...

O! nieszczęsna Cerkwi, której pasterze własny lud swój zdradzają!

---

#### IV.

Przeor pozostał dni jeszcze parę w tej samej celi. Nigdy mu tak smutno nie było i tak rozpaczliwie, jak w tych kilku dniach.

A więc tak daleko już zaszło, iż własni kapłani lud swój dziś zdradzają? Strach i twoga opanowały ich zmysły, że nie widzą, dokąd idą, i gdzie nareszcie staną?.. Żali tam zoczą oni jeszcze ewangelię i prawo Chrystusowe, czy raczej Cerkiew ta Chrystusowa nie przemieni się w instytucję jedynie świecką dla zaborczych celów caratu?...

Takim smutnym myśłom oddany, przesiedział kapłan nasz dni jeszcze parę w celi tej, znowu sam jeden. Przez ten czas nikogo nie widział u siebie, prócz dozorca, który od czasu do czasu przychodził, mając minę, jak gdyby oczekiwał, iż mu Przeor da jakie zlecenie. Lecz gdy nareszcie niczego się nie doczekał, sam się zapytał, czyli nie ma do niego jakiego żądania.

Przeor wypatrzył się — lecz tamten zapytał go, czy też nie zechciałby, żeby go zawiedziono przed sędziego. Atoli kapłan domyślił się, o co tu chodzi.

Zostawili mu dni jeszcze parę, ażeby się namyślił nad

tem, co niedawno słyshał od księdza apostaty, a potem uczynił przed Sędzią oświadczenie: wtedy to wypuszczą go z gmachu tego i przyjmą wraz z jego klasztorem na łono Cerkwi prawosławnej.

Gdy atoli nie doczekano się tego, oświadczone mu, iż celę tę opuści i pójdzie do innej. Kapłan zebrał się — i szedł bez trwogi, wiedząc, że go teraz czeka gorsze miejsce. Oni go chcą dziś zmusić.

I nie omylił się, gdyż go wprowadzono do celi, jaką w czasach barbarzyństwa dawano skazańcom, chcąc ich umęczyć przed śmiercią, a konanie nieszczęsnym przedłużyć i uczynić je jak najbardziej męczącym. Kapłan wiedział, że go czeka męczeństwo. Ni usiąść, ni też powstać, ani położyć się, było tutaj możliwem: więzień się męczył, kości go bolały, nogi, ręce cierpły, zimno podziemi i sącząca się wilgoć przejmowały do kości mrozem. Kilka razy wstępował dozorca, czekając, czyliż teraz nie da mu zlecenia jakiego... Lecz więzień po kilku dniach był już w takim stanie, że mu wszystko było obojętnem. On już nie czuł i niczego nie żądał. Szeptając po cichu modlitwę, czekał jeno, póki go Bóg nie wybawi i nie zabierze do Siebie.

Sędziowie jego świeccy również czekali, lecz gdy się niczego nie doczekali, a więzień przy swoim pozostał: otworzono celę i wprowadzono go całkiem obezsilonego.

Zostawiono go dni parę w innej celi, ażeby przyszedł do siebie, a kiedy przyszedł nieco do sił, zawiedziono go do większej, która zapchaną była więźniami.

Gdy go tam zostawiono, zaczęli się powoli cisnąć koło niego inni więźniowie. Zewsząd też było słyhać głosy:

— Ależ to... Ojciec nasz Przeor Owrucki?... Naprawdę, to on!... Lecz niepodobna!... Czy to naprawdę ksiądz Sierociński?... A Ksawery Szokalski ścisnął mu ręce, wołając raz po raz: „Nasz kochany Przeor!... Co oni z tobą, ojcze, zrobili?... To

barbarzyńcy!... Wieleśmy wycierpieli.. Ale on... po nim widać... Bracia! oni kapłana nawet brali na tortury!...

— A! tak... na tortury — odezwał się Przeor — ale gorsze, niżeli te, jakich w dawnych wiekach używano... Oni duszę jego, sumienie chrześcijanina brali na tortury, jakby wplatając w koło męczeńskie.. O! com ja doznał przez ten czas!... Jednak nie mnie tak do szpiku samego nie zabolalo — dodał kapłan — jak ta apostazya księży, obliczona przez wroga na zniszczenie naszej Cerkwi. Boże! nie dopuść, żeby takich wielu się znalazło!...

Nareszcie zdziwił się, dlaczego męcząc go ciągle i dręcząc, czem mogli, i coraz dotkliwiej, teraz dali go pomiędzy jego braci, gdzie będzie mógł przyjść do siebie?... Coby to znaczyło?...

— Coby to znaczyło? — podjął Szokalski. — To znaczy, że już nas wytorturowano... już mają wszystkie zeznania... a jeśli od kogo dotychczas nie mają, to już i mieć nie będą.

— Tak sądzisz, bracie? — zapytał kapłan

— Nie inaczej! — dodał Szokalski. — Tak rozumieją wszyscy, że się już skończyć musiały śledztwa nasze, wszelkie indagacye... a teraz czekać nam tylko na wyrok. Bo gdy nas już razem zepchali, to już my im do śledztwa jesteśmy niepotrzebni. Oni mają, co mieć chcieli.

— Więc teraz tylko czekać mamy na los, jaki nam przeznacza? — rzekł kapłan. — Chwała niechaj będzie Panu, że nam dał dotąd wytrwać i nie sprzeniewierzyć się Bogu i Ojczyźnie!

I coraz bardziej ściśnięto się około Przeora wypytujac go o wszystkie okoliczności, jakich doznawał. Potem rozbierano jeszcze zeznania, jakie czynił niejeden przed sądem, i porównywano różne zadawane im pytania.

Tu się pokazało, że choć Szokalski i Przeor, zawsze z sobą rozdzieleni, nie mogli się w niczem porozumieć, a chytry sędzia



nieraz udawał, iż wie dobrze, czego wcale nie wiedział, lub że ma już zeznania uczynione przez innych: mimo to Przeor i Szokalski tak zeznawali, iż Sędzia nic z nich nie mógł wyciągnąć. Jeden drugiego w niczem nie zdradził, nie dając się podejść Sędziemu, który poznał, że miał tu do czynienia z ludźmi niemając siły ducha i inteligencji. Bo choć on sam przebiegły i wcale nie przebiegający w środkach, mimo to poznać musiał nieraz, że ludzie o czystym i szlachetnym charakterze potrafią przejrzyć podstęp i przebiegłość podłych i nieczemnych.

Wkrótce w tej celi wszyscy już się znali, a dawni towarzysze wiedzieli już o dniach przebytych swoich przyjaciół. Zapytywano się o innych. Przeor chciałby wiedzieć o Zbigniewie, zaniepokojony o los młodzieńca, lecz w tej celi nie umiano mu na to odpowiedzieć. Może on jest jeszcze tutaj, a może go dalej wywieźli?... Dzień w dzień bowiem jednych wywożą stąd, a drugich przywożą.

Straszne to czasy! Więzienia coraz bardziej przepelnione! Kto nie wyszedł z kraju złożwszy broń na granicy, albo nie uciekł przebrany, choćby broni nigdy nie miał w rękach, ten dziś znosić musi tortury śledztw i znęcania się nad nim, najokropniejsze. Mikołaj mści się teraz na całym narodzie, a zemsta jego, to zemsta barbarzyńcy ukoronowanego, choć on nie Mongoł ani Baszkir, lecz car ze krwi tylko niemieckiej.

---

OBRAZ TRZECI.  
**Daleki pochód.**

---

I.

Mijały dni, a nasi więźniowie w jednakowej niepewności siedzieli dalszego losu, nie wiedząc, jak długo jeszcze tutaj pozostaną.

Głosy, które z zewnątrz do nich dochodziły, wzbudzały tylko trwogę o dolę tych, co w sąsiednich siedzieli celach. Z korytarzy słychać tylko było stąpanie pilnującej straży albo też kroki delikwentów do śledztwa wiedzionych. Czasami znów gorszy nastawał ruch, dający poznać, że kogoś z celi wyprowadzają, jeno nie wiedzieć, czyli na wolność, czy też na śmierć. Bo już nieraz zdało się im słyszeć huk zdala wystrzału, jak gdyby na stokach twierdzy, a na odgłos taki stawali wtedy przerażeni, pełni jakiegoś złowrogiego przeczucia, inni mylili się, bo na strzał drugi i wnet trzeci, nastąpił potem tylko głuchy odgłos bębnow, oni poznali, co to znaczy, bo w tej chwili kogoś rozstrzelano.

Po takich chwilach smutek i trwoga musiały ich opanować, i przez czas dłuższy nie mogli przyjść do siebie. gubiąc się w myślach, kogo to z ich braci mógł obecnie los taki spotkać!

Atoli żadna wieść nie dochodziła do ich samotni; na

wszelkie zaś pytania straży lub wnoszących do celi strawę i wodę posługaczy, najmniejszej nie otrzymywali odpowiedzi. Ciągłe czekali, kiedy już i na nich spadnie wyrok; wiedzieli zaś, że dziś chodzi tylko o wydanie wyroku, od długiego bowiem czasu nie wołano ich już do indagacji.

Aż tu naraz dnia jednego o wczesnym świcie wszedł do kaźni oficer, a wymieniwszy kilka nazwisk, krótko zawołał:

— Zabierać wszystkie swoje rzeczy! Za chwilę być w pogotowiu!

I czempędzej wyszedł.

Po obecnych mroz przeszedł, Przeor zaś i Szokański byli spokojniejsi. Oni wiedzieli, że dni ich w gmachu tym już się skończyły, a teraz nastana może gorsze... oni zaś na wszystko gotowi. Inni byli przerażeni, a tacy znów, których nie wymieniono, pozostać tu jeszcze muszą, nie wiedzieć, na jak długi czas, a może też jutro lub pojutrze za tamtymi pociągną.

Jedni teraz z pośpiechem musieli się zbierać, drudzy ze smutkiem a trwogą na nich poglądali. Krótkie i smutne też musiało być pożegnanie z tymi, co zostają, bo nie wiedzieć, czy kiedy się już z sobą zobaczą.

Po chwili znowu przybył oficer, lecz tym razem stanęli za nim żołnierze z ostro nabitą bronią.

Więźniowie, pierwaj po imieniu wymienieni, wychodzić musieli, postępując pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy, długim korytarzem.

Zaprowadzono ich naprzód do kancelaryi dozorey więzień. Był to kapitan, surowy a pedantyczny.

Przywoławszy z osobna każdego, kazał dyktować do protokołu pokwitowanie, że wszystkie rzeczy odebrali, jak i to, co im teraz wydano.

Przeor podpisawszy zapytał, jaki wyrok wypadł na niego i jego braci. Kapitan sucho popatrzył i nic nie odpowiedział.

Skończywszy swoje, dał znak, oficer przyłożył rękę do czoła, i kazano wyprowadzić więźniów, nie wiedzących, jaki ich los czeka.

Kiedy oni byli już na korytarzu, usłyszeli, że tam również kilku innych wiedziono do tej samej kancelaryi. Przeor oglądnął się, czy nie zobaczy kogo z bliżej znajomych, lecz tamci już się oddalili.

Z korytarza wychodzono teraz wschodami na dół na inny większy, a potem na podwórze wewnątrz gmachu obszernego. Z podwórza szli znów innem skrzydłem budowli, a wyszedłszy bramą wielką zobaczyli, iż na nich czekają wozy i konne kozaki pod przewodem innego oficera, któremu tamten oddać ma więźniów.

Kazano wnet wsiadać im po dwóch na wóz, a naprzeciwko tych wsiadał wraz podoficer z szablą i pistoletami, albo i bardziej rutynowany kozak.

Teraz wrócili już i tamci z kancelaryi. Widać zatem, że i tych ninie powiozą. Przeor spostrzegłszy nagle między nimi Zbigniewa Zarębę, zwrócił się ku niemu, lecz młodzieniec tylko się odwrócił. Przeor nie mógł pojąć, coby to znaczyło.. Lecz rad był, że uczeń jego żyje.

Kiedy się już jedni i drudzy usadowili, oficer prowadzący konwój dał znak, i ruszyły wozy. Obok wozów jechały po obu stronach konne objeszczyki.

Niebo było posępne. mgły zalegały do koła, wozy dudniły po bruku, mijając place, karabiny w kozły na nich ustawione, i całe szeregi żołnierzy. Ruch było widać niezwykły. Lecz we mgle wszystko majaczyło na pół wyraźne, i na pół widne we mgle pokazały się dwie szubienice.

Mród przeszedł po więźniach. Poznali, że dnia tego odbędzie się znowu egzekucya, morderstwo wykonane na tych, co się poświęcili dla idei. Więźniowie sposepniali.

Wozy tymczasem przebyły bramę zewnętrzną, którą otworzono z głuchym łoskotem. Po niejakiem czasie byli już po za tą straszną warownią.

Teraz konie biegły z całym pędem. We mgle majaczyła za nimi warownia, niby widmo ogromne, piekielne, a w myślach stały ciągle te same dwie wysokie szubienice, jakoby drogoskaz, wskazujące, że jak tam nikt daremnie nie wchodzi, tak i wolno nie wychodzi.

Było już rano. Opary z błotnistej gruntu przesuwają się miejscami; tu i ówdzie zabłyszczała woda albo zaświecił karabinek konnego strzelca bliżej pilnującego okolicy.

Dalej mijano białe po nad drogą karczmy i czarne chyłające się domy mieszkańców wiejskich. Czasem stanął na widok deportowanych pastuch przebywający z bydłem na błoni, lub też chłop jaki przechodził drogą nie patrzący się nawet na oddział eskortowany, jak gdyby się obawiał, by ciekawość ta na niego złe jakie nie ściągnęła. Miejscami mijano chaty, przy których tu i ówdzie stały niewiasty, lecz na widok eskortowanego oddziału kryły się do środka. Ani smutku w ich oczach nie zobaczyłyby, ani westchnienia, dającego poznać, że czują niedolę uwięzionych, tylko jakaś nieznaną widoczną u nich była obawa, jak gdyby usilność niewidzenia tego, co dla nich mogło być tylko niepojętem. Och! jakżeż długo jeszcze lud ten w takim pozostanie letargu?

Droga wiodła dalej przez piaski, bielsze, to czarniejsze, pomieszane z błotem, podmokłe. Mijano bory sosnowe, to łąki podmokłe, piasek, mokrzyzny, sioła nieliczne a chaty ich, jakby w ziemię zapadłe.

Zmieniano konie po stacyach. Więźniowie próbowali się pytać, dokąd ich wiozą i jaki wypadek na nich wyrok, lecz nie otrzymywali żadnej odpowiedzi. Oficer objeszczyków krótko jeno odpowiadał, że to nie stoi w jego rozkazie.

Nareszcie pod noc stanęli przed budowlą jakąś większą, czarną, uzbrojoną w kraty, przy której był odwach, a wszędzie stały strażę.

Teraz oficer konwojujący pokazał nakaz na piśmie na odwachu stojącemu podoficerowi, który to dalej zaniósł do środka. Więźniów tymczasem z wozów szykowano, przeliczano, sprawdzając tożsamość osób z wykazem na papierze. Następnie oddano oficerowi, który wyszedłszy ze środka, odebrał więźniów każąc im tuż wchodzić do środka gmachu.

Przeor oglądał się za Zbigniewem Zarębą, pełen niepokoju i wzruszenia, lecz młodzieniec odwrócił się z widoczną niechęcią, jak gdyby mu widok dawnego mistrza młodości stał się dziś niemiłym. Kapłan zamyslił się, zaniepokojony tem mocno, czego wytłumaczyć sobie nie mógł.

Tymczasem przeszedłszy już więźniowie bramę rozwartą byli na korytarzu, skąd słychać się dawał z różnych cel szmer głuchy: widocznie przebywało tu więcej więźniów. Świeżo przybyłych wprowadzono do jednej z nich, gdzie już niemało znajdowało się innych. Byli tam towarzysze z pułków różnych z powstania, teraz deportowani, również i młodzi synowie szlachty wołyńskiej a podolskiej, którzy zostawili dobra pokonfiskowane ich ojcom, to znowu studenci, co dawniej na wieść o ruchach w pomoc biegli braciom. Znajdowali się też i synowie mieszczan, poświęcający się dla idei, a nawet i włościanie, jakich zabrano do armii mimo ich chęci, a teraz car ich znów zabiera do swoich pułków.

Tutaj też i nasi więźniowie dowiedzieli się, że oni przeznaczeni dziś do pułków, lecz jako na większą karę do bardziej oddalonych od ojczyzny, a Bóg raczy wiedzieć! do jakich tam stron zapadłych, o tysiące wiorst od ziemi ojczystej odległych!...

Ani na święcenie kapłańskie nie uważano, ani na dyplomy

akademickie, ani też na zdrowie, ni na zawód obrany: wszystkich pognają teraz daleko, w szeregi karnych kompanij.

Więźniowie sposepniali, bo daleka ich dziś droga czeka, a do tego nie wiedzieć, czy kiedy już wrócą do kraju ojczystego. Kapłan przyjął to poddając się woli Boga, jako ofiarę dla Wiary i Ojczyzny. Lękał się jeno o braci swoich, pozostawionych w klasztorze, czy oni dotrwią znosić katusze i wszelkie pokusy, jakie ich czekają; sam zaś był przygotowany na męczeństwo, starając się i w towarzystwie swoich dziś wpoić, żeby się poddali woli Bożej.

Następnie szukał wzrokiem za Zbigniewem w tej ciemnicy słabo lampą oświetlonej, a kiedy znalazłszy go zbliżył się, był zdziwiony, że ten ostatni odwrócił się tak samo niechętny.

— Zbigniewie! synu! — zawołał Przeor — czy mnie nie poznajesz?... Co dziś tobie?...

— Mnie nie — odmrunknął chłodno młodzieniec. — Idziemy w podróż — dodał z pewną ironią.

-- Ale wszyscy idziemy razem — odrzekł Przeor.

— Tem dziwniej, że wszyscy — szepnął młodzieniec — drudzy powinni byli pozostać...

— A to jakim sposobem? — zapytał patrząc się baczniej na młodzieńca, który wnet dodał z ironią:

— Winni niechajby szli w kajdanach, bo przecież na to za broń chwyтали, aby ich skazywano. Lecz za co skazali wraz i tych, którzy się przecie w pokorze przyznali, i na drugich cenne porobili zeznania?... A przecież ich teraz gonią — razem z nami... Zaprzysiężeniem jakoś nie uzyskali łaski?...

— Mówisz tak tajemniczo -- rzekł Przeor — że ja rozumieć nie mogę... Widzę coś... nawet i zauważałem, kiedym się za tobą oglądał niedawno parę razy, że ty coś kryjesz w sobie, dojsć jednak do tego nie mogłem.

— Dajmy temu, ojczyźnie, pokój — odpowiedział młodzieniec i dodał z przyciskiem: — Żalu mieć do mnie nie będziesz, bom ciebie nie zrobił krzywoprzysięcą.

— Krzywoprzysięcą?... Co to znaczy? — zawołał Przeor.

Lecz w tej chwili rozdzielili ich podoficer mruczając:

— *Szto toje?... Gawory?... Paszoł spat!...*

Młodzieniec usunął się. — Przeor został z własnymi myśłami, słowa młodzieńca mocno zaniepokojony. Chciał się zbliżyć jeszcze raz do niego, lecz było niepodobna.

Nie mógł przeto zmrużyć teraz oka bijąc się z myślami. Choć się po części domyślał, coby to znaczyć mogło, znając chytrość sędziów, nie gardzących żadnym przy śledztwie środkiem, jednakże słów tych zrozumieć nie mógł. On to miałyby zostawać krzywoprzysięcą — on, kapłan, dla którego przysięga zawsze była świętością?...

Noc całą przemęczył. oka nie zmrużywszy. Nawet do Szokalskiego nie mógł się zbliżyć, gdyż ten był drugimi rozdzielony: ciasnota zaś była tak wielką, iżby musiał być wszystkich zaniepokoić, zwróciwszy nareszcie uwagę na siebie straży, jeśliby się chciał dostać do towarzysza.

Atoli Ksawery również nie spał, słysząc z dala, że Przeor nie spi, od chwili do chwili ciężkie wydając westchnienia. Biedny kapłan! — pomyślał sobie Ksawery — ciężko mu przychodzi rzucać tych w Owruczu, którzy byli dziełem jego ręki. Trwoga o los klasztoru postępuje tu krok w krok za nim — ni w dzień, ni w nocy nie opuszcza go. Lecz Ksawery nie domyślił się właściwej przyczyny zgryzoty teraz księdza Sieroćńskiego.

Kiedy nastał ranek, wyprowadzono więźniów na dziedzińiec, w szereg ich ustawivszy. Na znak dany oficera zbliżył się kowal z młotkiem a narzędziami, i pod przewodem pierw-



szego oglądał okowy więźniów, lepiej je przymocowując, inne zaś zmieniając na świeże, które miał z sobą.

Gdy już przymocowywano silniej okowy na Przeorze, rzucił on nieśmiało wzrok za Zbigniewem, lecz ten ostatni wnet się odwrócił, głęboko jeno westchnąwszy. Przeor to spostrzegł, gdyż młodzieńca ciągle miał na oku i zdawało mu się, że westchnienie to Zbigniewa było jakby kroplą balsamu na jego rany: w tej chwili nie dolegały mu nawet ciężkie okowy.

Po niejakiem czasie wyprowadzono kilkunastu nowych więźniów ze środka budowli, na których żelaza musiał tak samo kował ów próbować.

Nareszcie ustawiono wszystkich w rzędy, po sześciu razem łącząc łańcuchem... I partya cała ruszyła tuż powiększona.

Rozpoczął się teraz pochód już ich pieszy, a tylko parę kibitek wlekło się z tyłu z rzeczami, a również i próżne dla tych, którzyby następnie w pochodzie ustali obezwładnieni.

Dzień był gorący — droga wiodła po piaskach. Pędzeni z trudem wyciągali nogi, zawadzając o siebie wzajemnie. Słońce piekło — pot ciekł z ciała całego: prawie mdleli z osłabienia.

Pod późny już wieczór dociągnęli na nocleg przed stacyjny ostróg. Teraz ustawieni w szereg, musieli dłuższy czas czekać, zanim wyszedł komendant stacyi. Ten ich oglądnął, przeliczył, sprawdził tożsamość osób, i kazał otworzyć bramę. W sieni stał kozak z gołą szablą, zamykający przejście do izby, w której byli żołnierze

W celi zaś ponurej, pełnej zaduchy, dokąd weszli, siedzieli i leżeli już aresztanci, ale inni, niżeli tacy, co teraz weszli. Byli tam różni, jedni z ogoloną do połowy głową, rabusie może i mordercy, inni młodzi rekruci, ostrzyżeni, posępnie poglądający, których z chat rodzinnych pozabierano. Na boku siedziało dwóch dezserterów razem mocno z sobą skutych, których jutro

powiodą dalej do pułków, gdzie ich czeka sąd i bieganie przez różgi. Gwar tam i kłótnie rozlegały się do koła.

Przeor starał się teraz, ażeby się mógł zbliżyć do Zbigniewa; on tylko o tem myślał przez całą drogę, a w tej chwili może zdarzy się sposobność.

Gdy się więc jakoś przepchał do młodzieńca, chwycił go za ramię. Zbigniew wstrząsł się, lecz żadnem słowem się nie odezwał.

Przeor czempredzej go zagadnął:

— Ach, powiedz teraz, co znaczą twoje słowa?... Jakież ty mi tutaj zarzucasz krzywoprzysięstwo — mnie kapłanowi?... Zmiłuj się, coś ty powiedział?...

— Nic, ojcze — odrzekł drżącym głosem młodzieniec, lecz z pewnym sarkazmem. — Tyś przysięgał prawdę... nic innego, jak prawdę... Bo czyż ja nie byłem w Włodzimierzu z bronią w rękę?... Wszak tamże nie jechałem przecie na piknik?... Więc zaprzysięgłeś prawdę?... Choć nie wiem, czy cię koniecznie, ojcze, musieli oni zmusić, żebyś aż przysięgał?..

— Jak to? co ty mówisz?... Ja miałem przysięgać? Gdzie i przed kim, i w jakim celu? — rzekł Przeor zdziwiony.

— Wszak nie przed naszymi, lecz tam, gdzie ci, ojcze, kazano.

— Ależ nikt mi nie kazał, i nikt mnie nie zmuszał!... Tyś w błędzie niebaczny!... Ciebie oszukano... Ha! teraz się dorozumiewam. I tyś uwierzył temu?...

— Lecz ja się nie dziwiłem wcale — rzekł Zbigniew — że tobie, ojcze, los klasztoru, jako kierownikowi jego, ważniejszym być musiał, niżeli nas innych... Klasztor u księdza pierwszy, niżeli Naród i Ojczyzna.

— Ach! co ty mówisz?... Ty w błędzie... Mówisz, jak gdyby los klasztorów naszych, los Cerkwi nie był złączony z losem Narodu i Ojczyzny?...

Rozmowę ich dalszą zagłuszyła swarnia i krzyk w całej

celi innych, tak, iż z trudnością własne słowa słyszeć byli w stanie.

Kapłan dalej mówił do młodzieńca z natężeniem:

— I tyś sądził, że ja was wydam, że ja im opowiem o zjazdach i komitetach... o tych, którzy tam byli... że ja nawet waszą opowiem wyprawę na Włodzimierz?... I tyś mógł w to uwierzyć?... Tyś się nie domyślił podejścia wrogów! niebaczny młodzieńcze, coś nie poznał, iż oni przez to z ciebie tylko niejedno wydobyli i mieli już wskazówki lepsze na mnie, na Ksawerego, jak i na innych!...

Gwar i kłótnie przerywały, czasami wmieszania się żołnierzy, którzy niejednego teraz potraktowali kolbą po łbie lub pletnią; nieraz musieli nawet chwycić za kark pospolitych złoczyńców, a obaliwszy ich na ziemię dokładali im jeszcze nóg kopaniem.

Tem bardziej też scena między Przeorem a młodzieńcem w zamieszaniu tem nie była spostrzeżoną przez innych.

Tyle tylko mogliby niejeden bliżej z nich będący widzieć, że młodzieniec całował ręce Przeora, wołając niepocieszony:

— Przebacz, ojcze!... Jam zawinił.. ciężko zawinił przeciw tobie.. żem tak łatwo im uwierzył...

Dalsza też scena odbywała się już wraz i z Szokalskim, który również teraz się dowiedział, co przez nieuwagę i krewkość młodzieńca sędzia o nim się wywiedział.

Zbigniew był niepocieszony — oni go sami musieli teraz obaj pocieszać.

Nazajutrz wyruszyła partya w dalszą drogę.

## II.

Mijały dni — mijały tygodnie — droga wlekła się etapami. Im głębiej wchodzili w kraj rdzenny, moskiewski, tem większe

rozwieraly się przestrzenie — tem rzadsze były osady ludzkie, a bardziej puste pola. Cerkwie tylko jaskrawo malowane — ostrogi więzienne, czarne, ponure, pojawiały się od czasu do czasu. Telegi chłopskie skrzypiały tu i owdzie, kibitki pędziły za kibitkami — i różne partye wiedziono pozakowane. To droga przez kraj właściwy, moskiewski!

Im głębiej wkraczali w ziemię rdzenne caratu, tem częściej pędzono partye, tem więcej również pojawiało się pospolitych złoczyńców w partyach aresztanckich. Większe i mniejsze oddziały przesuwaly się deportowanych, to wiedzące zbrodniarzy cięższych poskowanych po dwóch razem, z piętnem zbrodni na twarzy, a często i o wypiętnowanych na licu znakach.

Więźniowie nasi ciągnęli, długotrwałym pochodem mocno pomęczeni. Przeora gwałtem zabrano na wozy, choć się wzdragał zaręczając, że iść może wraz z innymi. On nie chciał jednak być wiezionym, kiedy inni, choć młodszy, z siłą upadali; musiano tu niejednego na wóz zabierać.

Po dłuższym pochodzie większy ruch na szosie zaczął się pojawiać.. Mijały ich teraz bryki i powozy, kibitki i piesze grupy, maszerowały wojska. Wsie pokazywały się większe i częstsze, wile bogaczy, pełne pretensyi, o kształtach dziwnych, bezstyłowych. Znakiem to było, że się zbliżają do stolicy samej -- do serca moskiewszczyzny.

Ruch stawał się coraz większym.. Nareszcie usłyszano z dala dzwony — dzwonów tych dźwięczało coraz więcej.. i zdawało się miasto całe rozbrzmiało tysiącem dzwonów -- namiętnie rozgadane.

Niebawem pokazały się przedmieścia. Domy po domach mijano malowane — między domami zieleniały ogrody. Zewsząd błyszczały złoczone kopuły i kopułki -- kopuł tych było bez końca. Ulice ciągnęły się szerokie, domy wielkie, białe. Ale zewsząd wiał jakiś dziwny chłód, i od gmachów i od ludzi

przechodzących: sałaty i popy, kupcy i czynownicy różnych stopni i gmin bezmyślny.

Przechodząc potem węższymi ulicami stanęła nareszcie partya przed ogromnymi murami wraz z basztami. Tu ustawiono w rząd, i pieszych i tych, co zeszli z wozów, a oficer konwojujący dał znak na odwachu szyldwachowi, który wnet zawołał głośniej: „Starszyj!”

Na to wezwanie pojawił się podoficer salutując, i otrzymawszy od oficera papier poniósł go dalej do rządcy więzienia. Niebawem przybył inny oficer — a po przeliczeniu więźniów, otworzono ciężką, mocno okutą bramę...

Więźniowie weszli do srodka.

Tutaj najprzód musiały się odbyć zwykłe formalności w gmachu przybocznym kancelaryi więziennej, gdzie sprawdzono tożsamość osób, zanim odebrał je zarząd więzienny. Wszystko to mocno nużyło strudzonych długimi pochodami więźniów.

Następnie prowadzono ich wielkim dziedzińcem, po którym snuli się aresztanci z ogolonemi głowami głucho brzęcząc kajdanami. Gmachy więzienne, ponure, o małych okratowanych oknach, stanęły przed oczyma świeżo przybyłych.

Zapędzono więźniów do jednego z nich, gdzie weszli do ogromnej kamery, podłużnej, podobniejszej do szerokiego korytarza, niżeli do sali.

Tu owia! ich świat naraz inszy, jakiego dotychczas nie widzieli. Nie tylko młodszy, jak Zbigniew i jego rówieśnicy, ale i sam Przeor, choć dłużej żył na świecie, pierwszy raz w życiu zoczył podobne zebranie ludzkie.

Gwar i hałas rozlegał się zewsząd, jakby na jakim targowisku — tu i owdzie przebijał się śpiew cyniczny, to któtnie i wyzwiska spadały niby gradem.

Grali tu w koście i karty, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. w kajdanach, to bez kajdan: — najpodlejszy gmin —

a tam dalej u wielkiego stołu ludzie wyższych stanów, ubrani porządnie, grali również w karty przy dymiących samowarach. Byli to czynownicy i oficerowie wyższych nawet stopni, majory i pułkownicy, którym pozdzierano szlify — i którzy tu się dostali za różnego rodzaju kradzieże i szalbierstwa. Na żadnej zaś twarzy nie było widać smutku, ani wstydu, owszem rezonowali i krzyczeli, jakby w salonie.

Zbigniew i młodzi więźniowie patrzyli na towarzystwo to z jawną pogardą, Przeor zaś się odwrócił, pełen goryczy, iż widzi podobnie sponiewieraną ludzkość, a jako kapłan musiał się przerazić ujrawszy w ciżbie tej nawet dwóch popów prawosławnych, kłócących się i targujących wśród gry namiętnej z najpospolitszymi złoczyńcami.

Wyżsi i niżsi zeszli się tu za jednakowe zbrodnie, hańbiące ludzkość, z tą tylko różnicą, że gdy niżsi pójdą w katorgę i do pułków dalekich na długie lata, większa część zgromadzonych tu czynowników i oficerów wyższych stopni po odbyciu kary swej wrócą nazad na różne posady z powroceniem im tytułów i szacunku, aby dalej wiedli rzemiosło swoje będące w niezgodzie z kodeksem. Co za społeczeństwo! co za społeczeństwo!

Gdy Zbigniew rzucił okiem tu i ówdzie dziwiąc się podobnemu zebraniu, wzrok jego napotkał w dali siedzącą niewiastę, po której poznać było, iż do wyższego należy towarzystwa. Udziału ona tutaj nie brała żadnego, pełna jakiegoś poważnego smutku, ale i dumy, jakby obrażonej godności kobiecej. A gdy się nieco obróciła, ujrzał twarz jej niemałej piękności. Cała zaś postać kobiety tej, choć w aresztanckim kaftanie, była pełna dystynkcji. Zajęło go teraz, coby to mogło być za przekroczenie, które ją tu zawiodło?

Lecz wnet przerwały uwagę jego krzyki i hałasy głośniejsze. Obok niego bowiem rozgrywała się dziwna scena. Prze-

stępcą bowiem jakiś z gminu, przegrawszy wszystko, co miał, roznamietniony zdejmował z siebie odzienie, lecz nie skarbowe, i stawiał je do gry w kości, a przegrawszy zdjął nawet z siebie buty, i dalej kończył już w koszuli tylko na pół rozdartej; z drugiej znów strony szarpano się z zaciętością — a najpodlejsze aresztantki zaczepiać usiłowały młodzież, która je po swojemu traktowała. A były tu nawet i pary czule się kochające, złodzieje i złodziejki — potworne role! Żali to ludzie? Ród potępionych chyba już na tym świecie!

Nagle zaskrzypiało, drzwi ciężkie zaczęły się rozwierać — coś się wślaczało... Gwar się uciszył, jakby od rószczyki czarnoksiężskiej... Więźniowie polscy spojrzeli z ciekawością, coby to znaczyć mogło? Nie wchodziły bowiem, żadne urzędowe osoby, jeno niewiasty z koszami... Czempredziej chowano teraz wszędzie karty i koście — i wszelki krzyk ustał; tylko przy wielkim stole nie przeszkadzano tem sobie.

Weszło tu bowiem w tej chwili miłosierdzie, po zwyczaju. A więc i na naszych więźniów, wrażliwych na objawy szlachetniejszej natury ludzkiej, zrobiło wrażenie, gdy widziano tu współczucie dla nieszczęścia, jakim zawsze być musi brak wolności. Bo w kraju tym, gdy się dowiedzą o aresztantach, zaraz im przynoszą jałmużnę obfitą, a nie tylko grosz, ale i kosze zapełnione żywnością, to odzieżą.

Aresztanci spowaźnieli, bo teraz zaczęto rozdawać jałmużnę. Były tam chleby i jadalne wszelkiego rodzaju, z innych koszów wydostawano koszule i suknie. Rozdawano i pieniądze — a to nie tylko kopijki i groszaki, lecz nawet ruble garściami. Tylko ono koło grających czynowników i oficerów poglądali na to z góry, jak tu miłosierdzie rozdawało pomiędzy gmin jałmużnę.

Niewiasta powyżej wspomniana w szarym kaftanie, która na boku siedziała, zawsze smutna, jednako nie biorąca w niczem udziału, popatrzyła teraz żywiej, i zdawała się błogosławić

w duchu tym objawom szlachetniejszej natury ludzkiej. Oblicze jej wyrażało teraz niejako zadowolenie i cześć dla praktykującej się tu cnoty. Nie uszło to wcale uwagi Zbigniewa. Widocznie i Przeor zwrócił uwagę na tę niewiastę, która zdawała mu się wcale nie zasługiwać na los, jaki ją spotkał. Choć to Rosyanka i prawosławna, miał dla niej współczucie chrześcijanina.

Kiedy kobiety z koszami koło niej przechodziły, wstała ona, i z miną pełną skromności a współczucia dodała grosz swój szepnąwszy tylko: „Weźcie i to dla nich, będzie to grosz, jakby wdowi.“ A wtedy ujrzał całą tę postać pełną dystynkcyi a szlachetności nietylko Zbigniew, ale i uwagi nie uszła ona kapłana, który dziękował w duchu Bogu, że w tem piekle dantejskiem znalazła się choć jedna dusza szlachetniejsza.

Kiedy już rozdano wszystko z koszów — a i rublami obdzielono, zwróciły się miłosierne niewiasty ku wyjściu. Aresztanci jednym głosem zawołali z wdzięcznością:

— Naj wam Boh za toje!..

Miłosierdzie odeszło. Drzwi się za niemi zaparły. Nastął znów gwar i harmider, i rozpoczęła się wnet gra, tylko że żarliwsza, namiętniejsza.

Szara pani, widząc to wszystko, uczyniła ruch, jak gdyby klasnęła w ręce z żalu, oburzona tem wszystkim, a ciężko westchnąwszy odwróciła się, jakby nie chciała już nic widzieć. Co chciała przez to powiedzieć, było to całkiem widocznem. Zbigniew nie spuścił z niej oka.

W sali zaś teraz była jak gdyby jedna wielka tylko szuflernia. A stało się tak parno i gorąco, że prawie czuć się dawały oddechy roznamiętnionych grą, oczy zaś świeciły, jak u drapieżników, bo działały się już i okradania wzajemne.

Kapłan patrząc na to wszystko, odwrócił się i zaczął się tylko modlić po cichu, chcąc przebłagać Boga za ludzkie grzechy i ludzkie podłości.



W wyższem kole również już niektórzy skłóceni z sobą odstąpili od gry, szukając tutaj innego zajęcia — zabrali się zatem do zrekognoskowania niewiast tutejszych. Niejedną też zaczępiono aresztantkę, która się podobnie odgryzła, częściej zaglądając do kieszeni adonisa.

Niebawem kilku z nich zbliżyło się do Szarej Pani, w którą miał Zbigniew ciągle twarz utkwioną. Ona na zaczepiających nie chciała nawet spojrzeć. A na powtórę ich zalecanki popatrzyła tylko z pewną dumą i wyniosłością.

— Ej! pani nie raczysz — odezwał się z nich jeden — co? .. nawet słowa jednego zamienić z towarzyszem twojej niedoli?..

— Mój panie — odrzekła z dumą. — Ja tu nie mam żadnych towarzyszy „mojej“ niedoli. — I odwróciła się z widoczną pogardą.

— No, czemu pani taka jesteś dziś wyniosła? — rzekł drugi z przekąsem a bezczelnością. — Wszak skoro nas los wszystkich tu sprowadził, jesteśmy przecie dziś kolegami?..

— Tego już za nadto! — mruknęła z gniewem dając znak, iż nie myśli ciągnąć dalszej rozmowy.

Zbigniew to wszystko uważał.

Kilka zaś wnet odezwało się głosów:

— Patrzcie, jaka dumna!... a założyłbym się, iż to wcale nie cnota wstrzemięźliwości ja tu sprowadziła — a może też zabiła męża dla kochanka?... Ej, dajże pani pokój, niechże rozumnie z sobą pogadamy...

Tu już drgnął Zbigniew. Ona zaś na te cyniczne słowa zachnęła się, zawoławszy:

— Jest to podłość ze strony mężczyzn nagabywać bezbronną kobietę, bo gdybym mogła uchwycić pistolet, jak niegdyś... potraktowałabym was tak samo, jak tego napastnika, przez którego w obronie honoru mego tutaj dziś zaszedłem, że być muszę między wami...

— Patrzcie! — wołali niektórzy. — Jaka odważna!. . Gotowa zabijać!...

Ona zaś zawołała w gniewie:

— Ach! czy tu już нема nikogo, coby się ujął za honor bezbronnej kobiety?...

I spojrzała ku stronie gdzie zajęci byli oficerowie i wyżsi czynownicy grą w karty. Lecz oni za nadto byli zajęci grą swoją.

Zbigniew od chwili nie mogąc już wytrzymać odezwał się teraz:

— Panowie! Proszę nie napastować tej pani, bo to wam tylko ubliża...

— A jemu co do tego? — mruknęli niektórzy.

— To, co każdemu człowiekowi prawemu, który musiałby być świadkiem napaści na bezbronną niewiastę.

— Patrzcie, jaki śmiałek?... Won!... W szarym kaftanie!... Aresztant!... Nauczymy go!...

Przeor był w obawie, usiłując młodego powstrzymać od awantury. Ten zaś zawołał:

— Jeżeli chcecie, gotów jestem... Jestem szlachcic, jak wy może, i więzień polityczny... a choć wy może za zbrodnie popolite idziecie dziś, lecz żebyście nie myśleli, że ja przed wami stchórzę...

— Ależ!... Zbigniewie — wołali Przeor i drub Ksawery, usiłując go powstrzymać...

— No, a więc co? — mrucały głosy napastników.

— Mogę wam służyć... Niech nam tylko pozwolą!... Jestem gotów... Byłem żołnierzem.

— Ależ on dziś więzień? — wmieszał się Przeor wołając gwałtownie. — I wy również więźniowie... Wam wszystkim dziś nie wolno... Zmiłujcie się!... Dajcie pokój!... Bo was za chęć samą skażą na lat więcej...

— A czego chce ten znowu?...

— Jako kapłana obowiązkiem jest niedopuszczać do zwady i niepotrzebnego krwi rozlewu.

Ale już inni od stołu zaczęli się zbliżać, biorąc stronę tego, to owego.

— Patrzcie? Zuch młody!... Choć w szarym kaftanie... Ale on „dworjanin“... Co? Laszek?... Rekrut czy katorżnik?...

I powstała sprzeczka.

Na to wszedł dozorca i zawołał, że tu wszyscy są w areszcie... a winnych wnet wyprowadzi się pod eskortą gdzieindziej...

Na to ucichły głosy i zrobił się spokój. A Szara Pani, zwróciwszy się do Zbigniewa rzekła głosem, pełnym wdzięczności a słodczy ujmującej:

— Dziękuję serdecznie... bo panes tu się pokazał męczyzną w obronie bezbronnej kobiety.

Wzrok zaś ognisty, którym spojrzała na niego w tej chwili, przeszył go do głębi... a potem ciągle stał mu przed oczyma. On był pewnym, że ta kobieta nie może być winną, a tylko jakieś nieszczęsne fatum tutaj ją zawiodło.

---

### III.

Gdy nastał ranek — wyprowadziwszy więźniów naszych ustawiono ich na dziedzińcu w jeden szereg w celu przeliczenia, a przywołany kowal więzienny próbował wytrzymałość kajdan. Następnie sprowadzono parę innych oddziałów, składających się z pospolitych przestępców, między którymi były i niewiasty. Lecz większa część przestępców z tej wielkiej kamery pozostała jeszcze w Moskwie, mianowicie przestępcy z wyższych warstw rosyjskiego społeczeństwa, którzy, jak widać,

dłużej jeszcze tu pozostaną, może dlatego, aby im przez to skrócić czas niemilej deportacji po za Ural. Lecz kilku z wczorajszych czynowników, wesolo grających wtedy w karty, można tuż było również poznać.

Kiedy Zbigniew ujrzał Szarą Panią, której postać szlachetna stała mu jeszcze dotychczas w oczach — wzdrygnął się pełen oburzenia, że i na jej białe a delikatne ręce zakładają dziś okowy. Ale nie mogli od tego odstąpić, gdyż według przepisów nie wolno więźniów prowadzić przez miasto niezakutych, następnie zaś w dalszej drodze pozdejmują niektórym żelaza, innym znów zdejmować będą od czasu do czasu. Ona też widocznie znała przepisy, gdyż nie stawiała oporu, jeno westchnąwszy poddała się ze spokojem zakładaniu żelaznych pierścieni. W tej chwili miała minę istnej męczennicy, tak, że człowiek, co na jej białe ręce zakładał żelaza, czynił to z pewną nieśmiałością, a nawet z znamieniem wstydu i żalu na twarzy, iż musi wypełniać rozkaz nielitościwy.

Ustawiono następnie wszystkich do wymarszu, słabszych zaś i niewiasty zabrano na wozy.

Zakomenderowano — uderzono w bęben — i cały długi szereg wyruszył.

Zbigniew obejrzał się, lecz Pani swojej nie zobaczył, wiedział tylko, iż ona jedzie na jednym z wozów z tyłu.

Mijano niebawem ulice; domy wielkie, białe kopuły cerkwi i dzwonnice pokazywały się w mgle jeszcze rannej: słońce nie mogło się przedrzeć. W mieście całem dźwięczały dzwony, całe miasto było rozkołysane tą muzyką jednostajną dzwonów.

Kiedy minęli miasto, ciągnęli dalej szosą szeroką mурowaną. Często jeszcze pokazywały się koszary i szynki — lecz domki i chaty tu i ówdzie przy drodze były coraz niklejsze.

Posepny był dzień ów — więźniowie nasi szli w milczeniu, będąc jeszcze pod wrażeniem dnia wczorajszego. Obrazy

wieczora tego, stały im ciągle w oczach, bo tam zoczyli nowe społeczeństwo, jakiego niema w ich kraju. Lecz w innych częściach partyi tej długiej rozlegał się gwar, a nawet i śmiechy mieszające się z pobrzękiem kajdan. Kozacy po bokach raz po raz naganiali nahajką, jeśli się który z szeregu nieco po za linię wysunął.

Pod wieczór przybyli do otoczonego palisadami ostrogu na nocleg.

Gdy ich tam wpędzono na obszerne podwórze, musieli czas niejaki przeczekać, zanim ich porozdzielają do kilku tutaj cel na noclegi. Dano im teraz niejaką swobodę, bo wysokie opalisadowanie i brama mocno zamknięta, otaczały ich niby murem fortecznym. Dlatego też zmieszały się teraz gromady, że mogły z sobą swobodniej rozmawiać.

Wówczas Zbigniew znalazł sposobność, że się zbliżył do Szarej Pani, o której winie usiłował się koniecznie dowiedzieć.

I gdy spojrział teraz na nią, nie mógł wątpić, że to będzie jakaś tylko ofiara cudzych może zbrodni.

Ona również zdawała się go oczekiwać, gdyż ujrawszy młodzieńca nie zmieniła swej miny, pełnej goryczy, a przytem budzącej współczucie rezygnacyi.

— Dziękuję panu — szepnęła z uczuciem — żeś się ujął wczoraj za mną, i nie pogardził taką, jak ja zbrodniarką. — Ostatnie słowo wymówiła z przyciskiem. I dodała: — Bo przecież ja muszę być zbrodniarką, skoro tutaj jestem.

— O! nie! Pani nie możesz być zbrodniarką? — odrzekł Zbigniew. — To przecież niepodobna?..

— Wszak pan widzisz na mnie szary kaftan, a nawet i okowy..

— Moi bracia również są w okowach — dodał młodzieniec — lecz tylko w oczach rządu mogą być przestępcami. Wobec Boga i sumienia są czyści.

— Ha! bo panowie jesteście politycznymi więźniami... Ja nieraz słyszałam o was... Ach! szczęśliwą czułabym się, gdybym również mogła iść na wygnanie za zbrodnię polityczną!... Przyjęłabym to z ochotą, i byłabym szczęśliwą, że mogę cierpieć za to, co wielkie i wzniosłe. Lecz ja mój panie, idę dziś za pospolitą, podłą zbrodnię. Pan się dziwisz?... Tak, za pospolitą... Bo we mnie widzisz zabójczynię... — dodała z sarkazmem. — Tak, ja zamordowałam... I nie boisz się pan mnie teraz?... Ja i wczoraj, gdybym była dostała do rąk broń palną, jak niegdyś, może byłabym tak samo, jak wtedy, odpowiedziałam tym panom, co zuchwali ośmielili się mnie nagabywać nie uszanowawszy nieszczęścia. A wtedy do moich dziesięciu lat dołożonoby może drugich jeszcze dziesięć. I co byś pan wówczas powiedział?... Miałbyś przed sobą zbrodniarkę, skazaną na lat dwadzieścia.

— Nie, pani nie jesteś zbrodniarką... ja to poznałem od razu, że pani działać musiałaś we własnej jeno obronie...

— Ale to nie było, mój panie — dodała niewiasta — w obronie życia, przed napaścią, coby może sąd jeszcze uwzględnił, lecz tylko... w obronie... honoru... i to kobiety — dodała z sarkazmem. — Pan wie, że kodeks nie zna zabójstwa w obronie honoru kobiety.

— Więc to było w obronie honoru pani?... Ha! ja się nie myliłem, i tem większą muszę mieć cześć dla pani.

— Ha! tyle też mam wynagrodzenia od szlachetniejszych ludzi — rzekła — lecz, panie, u nas mało jest takich... Pan wczoraj widziałeś, jacy to są mężczyźni nasi?... Taki sam niegdyś mnie nagabywał wstrętną dla mnie swoją miłością, i gdy się ośmielił zbliżyć do mnie natrętnik ów, wtedy uchwyciłam za broń jego własną, którą położył był na stole... Jam mu groziła... on się śmiał, nie wierząc, co może kobieta w obronie honoru swojego. Gdyby był miał trochę poczucia godności i wstrzy-

mał się... możebym w uniesieniu nie była pociągnęła za kurek. Lecz stało się... On dostał w samą pierś... Jam się potem przerażała... Bo kobieta widoku krwi nie zniesie... Wołałam też ratunku, jednak było już za późno... I mimo woli zostałam zabójczynią. — I zaśmiała się z goryczą dodawszy: — Przez jeden pociąg kurka, może w złej chwili, stałam się zabójczynią... i dziś każdy ma prawo uważać mnie, jak inne kobiety, które pan tutaj widzisz.

— Nie, pani — odrzekł młodzieniec — pani nikt tak nie będzie uważał... nikt tak uważać nie może! — dodał silniej. — Podłym byłby, któryby nie miał czci dla kobiety, co się stała ofiarą poczucia własnej godności!

Ona na niego spojrzała ognistym a pełnym wdzięczności wzrokiem, który go przeszył do głębi.

Druh Ksawery uważał to zdala, i nieco się zamyslił. Przeor również nie spuszczał z oka Zbigniewa.

Dalszą rozmowę obojga przerwano, gdy teraz porządkowano gromady, przeliczano, następnie zaprowadzono rozdzielonych do kilku cel mocno natłoczonych ludźmi.

Kiedy się ujrzał Zbigniew znowu między swoimi towarzyszami w celi, usłyszał słowa przestrogi od kapłana, żeby pamiętał, iż jest dziś więźniem polskim, a zbliżenie się do niewiasty, choćby i szlachetnej, niewinnie cierpiącej, ale Rosyanki, mogłoby być niebezpiecznem dla wygnańca. On się nieco zdziwił, lecz starsi towarzysze poznali, że niewiasta ta oprócz współczucia zarówno i inne w nim uczucie wzbudziła. Ksawery również nie był kontent, że się Zbigniew zanadto zajmuje dolą obcej kobiety, do tego takiej, która postacią swoją i pięknoscia lica, byłaby w stanie opanować całą dziś duszę więźnia, iżby nawet mógł zapomnieć, w jakim celu on tu idzie. Taki zaś winien wiedzieć, że jest więźniem polskim, skazanym na męczeństwo. Męczeństwo winien zaś tak ponosić, ażeby ono stało

się naprawdę posiewem dla przyszłości. Jeżeli się zbałamuci, straci charakter więźnia za świętą sprawę, praca jego dotychczasowa i wszelkie cierpienia pójdą na marne dla Ojczyzny.

W dniach następujących nie wiele się zmieniło Pola pokazywały się częściej jałowe naprzemian z borami sosnowymi, a gdy przechodzili blisko wsi jakiej, wychodziły wówczas wieśniaczki z koszami, przynosząc jałmużnę aresztantom; kiedy zaś zdybywano tatarską ludność, ci ostatni stanąwszy pytali się tylko, czy w partyi niema Tatarów, a usłyszawszy, że takich niema, mijali nie zostawiając żadnej jałmużny.

Przechodziły tak dni i tygodnie. Więźniowie ciągnęli osłabieni podróżą, w kajdanach, to często bez kajdan, dla powrócenia do sił, kiedy nie było niebezpieczeństwa ucieczki, albo gdy komenderujący zdarzył się wyrozumiały. Mimo to ustawali często, nie mogąc przez rany na nogach ciągnąć dalej: wówczas mieszczono słabszych na wozy.

Kiedy pod wieczór, lub w czasie wypoczynku, zdarzała się jeno sposobność, że się Zbigniew zejść mógł z niewiastą, której obraz na dobre opanował już umysł jego: wówczas drzeli zawsze o druha niedoli przyjaciele. Niewiasta owa bowiem w ich oczach inne nieco czyniła wrażenie, niżeli na młodym. Oni ją chłodniejszym okiem uważali, a choć Przeor nie chciał nigdy gorszą jeno stronę znajdować w człowieku, i łatwiejszym był do przebaczenia za ludzkie grzechy, mimo to Ksawery, jako surowszy i chłodniejszego usposobienia, widział w kobiecie tej za wiele obliczenia na efekt a mniej szczerości uczucia.

— Być może — mawiał do Zbigniewa — że to wszystko jest prawdą, co ona powiada, i że rzeczywiście cierpi niewinnie, lecz za wiele w niej uderza patetycznego usposobienia a nawet i widocznej chęci wywołania wrażenia na mężczyznę.

Lecz młodzieniec temu z całą siłą się sprzeciwiał, oburzając się na to, iż towarzysze współuczucie jego tylko, jak i



część naturalną dla takiej niewiasty, biorą zaraz za co innego. On przecież więzien, cierpiący za Ojczyznę, a nie człowiek szukający przyjemności i szczęścia!

Następnie kroczyła partya przez wieś, z których na widok aresztantów podchodzili ludzie śniadej płci, o nosach spleaszczonych a małych ukłóśnych oczach, niosąc w długich brzoźowych krobeczkach owoce różne i jagody.

— Co to za lud? — zapytał Zbigniew.

— To będą poganie — odrzekł Przeor — jakich wiele jest w caracie, a może nawet i pokropieni z wierzchu wodą chrztu, lecz tam wiara pewnie nie weszła do wnętrza. Moskwa takim chrześcijaństwem się zadawała.

— To są Czeremisy — odezwał się druh Ksawery. — Z takich plemion składały się niegdys zagony Batu-Chana. One długie czasy trzymały w jarzmie Moskwę, jako jej władcy. Mimo to dziś nie widać na nich tego panowania, jeno pewną raczej tchórzliwość i piętno nawet niewoli, jak gdyby wiedzieli, że ci ludzie, co teraz ciągną jako aresztanci, mają przecież tę pewność, że sami należą do plemienia panów ich dzisiejszych, mogąc patrzeć z lekceważeniem tylko na rasę podlejszą.

— I tacy to trzymali Moskwę tyle lat w jarzmie?...

— Wielcy kniaziowie moskwiewscy lizali im stopy, zanim się nie wyuczylili od ich carów polityki, że ich potem owdadli.

— Ach! jakież to los spotkał potomków szczepu, którego władza sięgała od wschodu Europy, aż po stopy wysokiej Azji! — rzekł młodzieniec.

— I padli — dodał kapłan — bo nie mieli wiary, jeno w siłę wierzyli brutalną. Naród, który stoi siłą brutalną i bestyalnością namiętności, nie wskrześnie, gdy raz upadnie. Dlatego my miejmy nadzieję i ufajmy Bogu, bo jeśli nie stracimy ducha w naszym upadku, jeśli wytrzymamy męczeństwo, a nie splamimy się i

nie okażem się słabymi: to nas Bóg wskrzesi. W tem leży nasze dziś zadanie i nasz cały obowiązek.

Takim myśлом oddani, przechodzili przez różne strony, w których mieszały się dziś potomki zdegenerowane dzikich panów świata z żywiołem innym, nie mniej brutalnym, moskiewskim.

Okolice, przez które szła partya, nieco się zmieniały — piaski, potem i stepowe obszary przechodziły w wyżniejsze strony o glebie czarnej, liczniejszych osadach i większym ruchu.

Wkrótce stanęła przed nimi Wołga

Powietrze teraz świeższe powiało, ruch nastął ogromny statków i pomniejszych łodzi; widać było różnorodność ras i strojów: Tatarzy i Kałmuki, kupcy moskiewscy, Czuwasy i Kirgizy.

Fale po falach pędziły na szerokiej wodzie. Dalej przeto popłyną więźniowie już wodą. Teraz ściągać się będzie statki do dalszej drogi deportowanych. Zanim to się stanie, muszą dłuższy czas przeczekać.

Więźniowie tymczasem wypoczywali w zmieszanej gromadzie nad rzeką, otoczeni zdala wojskiem.

Wtedy ujrzał Zbigniew, jak się pani serca jego wpatrywała zdala ku falom ciągnącym Wołgi.

Młodzieńca to tknęło, i starał się do niej przepchać. Ona zaś zwróciwszy się na niego popatrzyła z widocznym żalem i tęsknotą, potem posłała westchnienie głębokie, jakby ku Wołdze.

— I czemu pani wpatruje się w tę wodę? — rzekł młodzieniec.

— Ot, tak się patrzę — odpowiedziała. — Smutno mi i tęskno na świecie.. ale co też warte nasze życie!..

On chciałby przeniknąć jej zamiar, lecz ona spoglądała upornie w wodę, jakby tam czego szukała. Po chwili zwróciła się do niego pytając:

— Czy człowiek, jak pan sądzi, długo żyje jeszcze pod wodą, zanim go ona unieprzytomni?...

— Czemu pani pytasz o to? — rzekł młodzian patrząc na nią z niejaką trwogą.

— Ot, tak się pytam tylko — mruknęła. — Bom nieraz słyszała, że się człowiek czas niejaki pod wodą ma męczyć... że nawet każda tam sekunda staje się nader długą nie do zniesienia... więc że tam minuty mają długość godzin... Czy to prawda?

— Bój się pani Boga!... Po co takie pytanie?...

— Ach! nie obawiaj się pan — rzekła chytrze. — Ja przecież nie myślę tam skakać... Zresztą na coby mi się to przydało?... Czy oni tutaj daliby choć zakończyć raz człowiekowi?... Oni śmierci wydarliby, gdyż przeznaczili nam śmierć dłuższą i powolniejszą. O! nie bój się pan o mnie — dodała z dziwnym jakimś śmiechem, który mógł przerazić słuchającego.

Scenę tę przerwano, bo zaczęto już ustawiać gromady przeznaczone na statki. Zbigniew odepchnięty od niej wyraźnie jeszcze widział, jak ona upornie spoglądała ku wodzie dziwnym jakimś wzrokiem, jakby się oderwać nie chciała od tego widoku. A postać jej cała w tej scenie miała w sobie coś przyciągającego w pozycji pełnej dziwnej malowniczości. On drżał o nią, ale i podziwiał kobietę w tej chwili.

Więźniowie musieli tu dni jeszcze kilkanaście przeczekać, zanim ich zabrano na statki.

Kiedy już nadszedł czas drogi ich wodnej, wówczas nasamprzód musiał kował oglądać ich okowy. Więźniowie nasi byli już na innym statku, niżeli niewiasty. Zbigniew nie odwrócił oczu od swojej pani, która zdawała się na prawdę zbliżać do krawędzi okrętu, jak gdyby miała zamiar w chwili upatrzonej, rzutem jednym śmiałym, doraźnym, przerwawszy w jednej chwili łańcuch żołnierzy, skoczyć w wir wody... Zbigniew drgnął nagle ledwo nie krzyknąwszy — ona to spostrzegła: ruchy

jej były tego rodzaju, iż on był pewnym okropnego jej zamiaru. Drżał cały czując okropną męczarnię niepokoju.

Statki tymczasem posuwały się coraz dalej — fale pieniać się rozchodziły po jednej i po drugiej stronie — wiatr powiewał — głosy zewsząd nawoływania napelniały powietrze. Zbigniew patrzył jeszcze ciągle okiem zatrwożonem, a krew oblała mu lice. Lecz i straż coś musiała zmiarkować, gdyż wnet kazano niewieście dalej się usunąć na środek. Ona się oburzyła, rzucając jeszcze okiem z widoczną tęsknotą ku falom wody. Zbigniew odetchnął.

Towarzysze jego uważali to również, lecz druh Ksawery nie był pewnym, czy ma tu przed sobą w samej rzeczy zamiar zrozapczonej, czy raczej odegraną jeno w pewnym celu komedję.

Ale nie tylko ją jedną miałyby straż pilnować. Byli bowiem na promie Starowiercy posyłani na deportacyę; najściślej zaś strzedz musiano człowieka z sekty Duchoborców, który nie chciał złożyć przysięgi będąc wziętym do wojska, choć był bity i katowany: mimo to wytrzymał wszystko, a przysiędz nie chciał carowi, którego uważał za Antychrysta. Spętano go nawet, aby nie skoczył do wody, jemu zaś nie chodziło o odegranie jeno roli, lecz miał zamiar stały.

#### IV.

Dni po dniach przechodziły na statku w nużącej jednostajności. Noclegi wypadły na wodzie, bo dniem i nocą płynęli.

Nareszcie wypadł im dłuższy wypoczynek, kiedy zeszyły się wody Wołgi z Kamą. Dalej bowiem powiozą ich statki tą ostatnią aż do samej Permy. Długa ta droga, nużąca, jednostajna: więźniowie jużby pragnęli raz wydostać się na ląd i uwolnić się od łańcuchów.

Po nowych długich tygodniach ujrzeli się nareszcie na łądzie. Zrazu szli jakoś rażno, jak gdyby radzi, iż mogą czuć członki swoje. Droga wiodła przez piaski, to bory.

I tak mijały nowe dni po dniach. Zmieniały się tylko ich straże i onych oficerowie. Partrye gnano ciągle coraz dalej.

Dnia pewnego byli już bardzo utrudzeni, a droga ciągnęła się pagórkami, tu i owdzie pokrytymi lasami.

Aresztanci pospolici wołali, że im się należy już wypoczynek dłuższy, bo strasznie byli strudzeni. Konwojujący oficer ani chciał słyszeć, gdyż inaczej kazała mu instrukcyja — a tych, co ustając kładli się na ziemię, spędzano batami, że musieli wstawać i dalej ciągnąć, tem bardziej, gdy teraz następował las ciemny, więc oficer kazał i na innych włożyć kajdany, aby tu nie uciekli.

I nasi więźniowie polityczni pokazywali niejaką ochotę poparcia oporu aresztantów pospolitych, lecz Przeor i druh Ksawery wstrzymywali ich, czuwając usilnie nad bracią, aby się nie solidaryzowali z pospolitymi przestępcami. Nasi usłuchawszy dali się spokojnie zakować.

Gdy zaś na aresztantów pospolitych wkładano kajdany, zaczęli oni mruzczyć, a z oczu ciskali ogień, pełne nienawiści ku konwojującemu. O! gdyby go wolni dostali w ręce, rozszarpaliby bez broni zębami własnymi.

Naszych więźniów wstrzymywał ciągle kapłan i druh Ksawery wpływając na nich, ażeby nie brali udziału w grożącej na prawdę burdzie, która dołą ich pogorszyć tylko może.

Las się ciągnął, ciemny, długi, słońca nie było widać... Zdawało się, że nastał wieczór, po jednej i drugiej stronie las i las — a jakaś ciężka z niego, straszliwa, wyłaniała się ciemność. Pod grozą tej ciemności posuwał się szereg deportowanych, ponuro, złowrogo patrząc, jakby szereg potępieńców... Nawet żołnierze spoglądając na tę scenę, i na ów las gęsty,

ciemny, bledli, zwracając się raczej ku ludzkim twarzom, jak gdyby tu szukając otuchy, iż nie są sami jedni w takiej samotni lasowej, z której mogą wyjść całe korowody widm i upiorów. Żołnierze patrzyli z pod oka na gąszcz drzew, żegnając się, potem spoglądali na szereg deportowanych, czując, że ich mrowie przechodzi.

Po kilku długich godzinach wyszli nareszcie z lasu — świat się pokazał otwarty — i widać nawet było z dala sioło. Zakuci aresztanci wołali teraz, żeby ich raz już rozkuto, bo dalej iść nie będą. Oficer groził, lecz oni mruzcili... nareszcie widział, że nie ma powodu dłużej ich męczyć, czego instrukcya już żądać nie może, kazał zatem wszystkich rozkować, wyjąwszy tych, którzy całą drogę iść muszą zakuci. Przestępcy pospolici zaś mruzcili, a mrużąc odgrażali się.

Gdy już ich rozkuto, zaczął z nich jeden śmieiej wykrzykiwać, że ich męczą, a oficer nie ma na to prawa, bo człowiek nie pies... Na to zachnął się komenderujący, i wyciął zuchwałego w twarz... Ten zgrzytnął zębami i popatrzył zezem, odmruknąwszy, żeby nie odważył się powtórzyć, bo nie ma wprawdzie bagnetu, ale ma zęby. Na to rozpoczął oficer policzkowanie... Butny zaś aresztant rzucił się jak wściekły, a skoczywszy na oficera zdarł z niego szlify, potem zaczął go z całą wściekłością policzkować... Powstało zamieszanie — nawoływanie aresztantów i krzyk kobiet. Oficer na żołnierzy krzyczał, jednych to drugich — lecz tych zatrzymała przewaga liczebna aresztantów pospolitych. Widząc oficer bunt, kazał czempredziej na gwałt bić w bęben doboszowi.

Krzyk był coraz większy i zamieszanie. Wtedy znalazłszy sposobność zbliżyła się nieznacznie Szara Pani do Zbigniewa, szepnąwszy ciszej:

— Gdybym była mężczyzną, nie zaniedbałabym takiej chwili. On się wypatrzył — ona czempredziej dodała:

— Ktoby czuł dziś w sobie odwagę, stanąłby na czele tych rozhlukanych... wybiłby straż z ich oficerem, i wszyscy byliby wolnymi... I dodała z przekąsem: — Ale tu niema, jak widzę, odważnych...

Drażniony słowy temi Zbigniew zwrócił się czemprowadzej do druhów swoich starszych podając im myśl tę, lecz druh Ksawery wstrzymał go, a kapłan rzekł oburzony:

— Co? na czele tej dziczy, na czele zbrodniarzy?... Uchowaj nas Bóg, byśmy z nimi mieli współkę!... Ej! wkrótce zobaczysz, jak z nimi będzie?

Szara Pani z dala na to patrzyła z gorączką... Zgiełk zaś był i wrzawa coraz większa... Oficer krzyczał ciągle, jak wściekły, a doboz bił w bęben.

Na odgłos bębna zaczęli się już zbiegać chłopi ze wsi z batami, drągami, to niosąc cepy i widły.. Aresztanci pospolici, gdy zoczyli masę tę, zatrzymali się powoli — i widocznie spokornieli. Szara Pani była już daleko, nie biorąc w niczem udziału.

Widząc pomoc ze wsi, chwycił oficer za karabin od jednego z żołnierzy, i wstępny bojem rzucił się jakby do ataku między pospolitych przestępców. Aresztanci spokornieli całkiem — on zaś chwytając teraz jednego po drugim kazał pętać a zakować...

I rozpoczął sąd.

Jednego po drugim z buntowników kazał obnażać i do krwi smagać. Ci sami, którzy przed chwilą stanęli zuchwali, teraz dawali się wiązać.

— Ach! co to jest — szepnął z dala Zbigniew do Ksawerego — że oni teraz dają się wiązać jak barany?...

— A widzisz! — odpowiedział kapłan — jak mówiłem... bo to własność rasy. Na znajomości zaś swojej rasy polega tajemnica caratu rządu tymi tłumami.

Zbici, skrwawieni, dali się już dalej prowadzić spokojnie... Oficer nazad nałożył sobie szlify, splunął raz i drugi, rzucił parę przekleństw — i był już czystym na honorze oficerskim mimo spoliczkowania. Raportu o tem nie będzie składał. Do tego nie obejdzie się, żeby aresztanci za to grubo nie zapłacili. Wszak i oni będą mieli czem płacić, bo nieraz jeszcze wyjdą litościwi z jałmużną: obrażony oficer weźmie, co mu się należy. A żeby zaś wypadek ten puścił w zapomnienie, dadzą mu w tem większy udział. Gdy przybędą do nowej stacji etapowej, wszystko już będzie w porządku i w posłuszeństwie, jakby nic nigdy nie zaszło.

Tak też się stało, bo obok drugiej wsi zabębniło tym samym bębniem na znak, że zbliża się partya... Wnet wybiegli ludzie z koszami. Niemało również zebrano i grosza. Rozdzielono się jadłem, oficerowi zaś zostawili wszystkie ruble. Inny świat — inne zwyczaje!

Kiedy więc przyszli do stacji, zaraportował oficer, że wszystko odbyło się w porządku.

Teraz im należy się dłuższa dniówka, parudniowa, po takim marszu utrudzającym.

Pod noc jedni pokładli się spać, inni zaś zabrali się do gry w kości i karty, jak gdyby przedtem nic się nie stało.

Nazajutrz mieli dniówkę. A żeby ją należycie przebyć, sprowadzili ze wsi bakałajkę. Wódka się lała, pili aresztanci, i pili żołnierze, co się również wczoraj zmachali chociaż na plecach aresztanckich.

Jedni grali w kości i karty, drudzy rozpoczęli inne zabawy. Muzyka na tem miejscu i w takim kole dziwnie zahuczała. Zeszli się ci i owi, jak gdyby z zapytaniem, co to będzie... czy się teraz na prawdę weselić zaczną?... Nasi więźniowie stanęli zaś z daleka, zdziwieni, iż w kajdanach będą się odbywały niniejsze gody. Zbliżyły się i niewiasty.



Zbigniew oglądał się i ujrzał z daleka swoją panią... Widocznie i ona użyła tej chwili, ażeby się w tem zamieszaniu zbliżyć do niego.

— Ominęła was sposobność... i bylibyście dziś może już wolnymi — szepnęła do młodzieńca.

— Jak to? — odrzekł on. — A nie widziałaś pani, jak ta dziec na widok chłopów zaraz spokorniała, dając się wiązać...

— Ale ta sama dziec, daj pan sobie powiedzieć, byłaby mordowała swoich ciemiężców, gdyby kto był stanął nad nimi i miał odwagę ująć ich w swoje ręce jak w kleszcze. Staliby się tylko podłem narzędziem w jego rękę. Ale cóż?... Pan się oglądałeś na swoich towarzyszy, którzy dawno zapomnieli, jak się wybijać siłą... Lecz co tam dziś o tem mówić! — dodała z goryczą. — Dajmy temu pokój!... Ot, patrzmy lepiej, jak oni się teraz bawią — dodała z przekąsem.

A bakałajka grała już hucznego kozaka.

Wystąpił teraz młody i smukły aresztant. Poszedł do niewiast i wyciągnął z nich dziewuchę, która wcale się nie wzbraniała, lecz śmiało stanęła.

Chłop smukły i zwinny, mimo kajdan, z pewną zalotnością zaczął podbiegać do niej krokami kozaka. Ona zaś udawała, że niby ucieka... On wtedy z brzękiem kajdan puścił się, jak rozszalony, w przysiudy, tancerka w szarym kaftanie zatrzymawszy się obiegła go lekko do koła, drobno przebierając nóżkami... On znów czerwony, zziązany, zaczął chylić się ku ziemi, w szybkim tempie, w takt wybijając kajdankami, jakby służyły do tańca... i znowu podbiegł dyszący, zziązany do niej, ona z zalotnością, niby drocząc się usuwała... on zaś niby gniewny, rozłoszczony oddalił się w silnym, szalonym podskoku, do krwi już czerwony: ona się wtedy zwróciła wabiąc go zalotnie — i wpadli sobie w ramiona, roznamiętnieni wirem tańecznym.

— I co pan na to powiesz, że ci ludzie dziś się weselić mogą? — odezwała się Szara Pani do Zbigniewa.

— Ja myślę, że szczęśliwi, skoro nie czują swej niedoli — odrzekł młodzieniec.

— I hańby — dodała ona. — Może być, iż tacy ludzie są szczęśliwi, którzy nie czują. Lecz cóż my temu winni — dopowiedziała z goryczą — że mamy w piersiach to, co się oburza na niesprawiedliwość losu? — Po chwili dodała: — Zobaczysz pan, że tu i drugi tancerz się znajdzie, który również zapomni, gdzie jest i dokąd dalej go jutro popędzą.

I w samej rzeczy wystąpił wnet drugi tancerz ze starszą przymilającą się a przekwitłą zbrodniarką. Ruchy ich były gwałtowniejsze a dziksze. Brzęk kajdan mieszał się z odgłosem bakałajki... Następnie wychodziły inne pary — i taniec stawał się coraz ogólniejszym... W innej stronie tańczono znowu moskiewskiego byczka. Krzyk i wrzawa rozlegała się jakby opętanych...

Wtem jak dźwięk fałszywy nagle dał się słyszeć głos rozpaczy:

— Ratujcie! Na Boga! O ja nieszczęśliwa!...

— Cóż tam do licha! — pytano.

— Skoczył przez okno... Zabił się — była odpowiedź.

— Kto się zabił?

— Duchoborca, niepilnowany rzucił się z piętra i zabił...

Lecz roz hulani mimo to nie chcieli zaprzestać, muzyka dalej rznąła. Z muzyką mieszał się krzyk matki zabitego rozpaczający...

Więźniowie nasi byli przerażeni... Szara Pani rzuciła się w środek wołając głośno:

— Dajcie pokój, ludzie!... Czyście poszaleli?... Nie słyszy-cie, co się tu dzieje? śmierć, i rozpacz matki!...

I pognała, aby nieść tam ratunek.

Zbigniew stał, jak przerażony... sam nie mógł pojąć, co tu się stało, lecz gdy zoczył panią swoją zajętą koło nieszcześliwej matki zabitego, był choć rad, że się nie omylił na tej szlachetnej istocie, bo kiedy mu niedawno mówiła o mordowaniu, był w sobie nieco rozdwojony. Teraz znów ją uwielbia.

Druh Ksawery nie nie mówił, jeno patrząc na to wszystko, rozbierał w myśli, czy tu ma przed sobą ludzi, czy raczej zwierzęta.. O! nie! nie są to zwierzęta, gdyż tylko ludzie mogą odegrać podobną scenę. I takimi tylko może kierować rząd podobny.

Kapłan zaś stał na boku i tylko w duchu się modlił, jakby chciał wybłagać litości u Boga, dla tych, którzy nie wiedzą, co teraz czynią

---

## V.

Mijały dni, mijały tygodnie — zmieniały się sceny, zmieniali ludzie — końca jednak drogi jeszcze nie było.

Zaczęły się już nawet pokazywać wzgórza, i kraj się podnosił. Okolice nastawały coraz dziksze i bardziej pustyńne. To góry nadchodzą uralskie!... Chłodniejsze od nich wieją wiatry, ludzi obejmuje teraz trwoga i pewien przestрах przed nastającym tu brakiem życia. Wszystko do koła otacza jakaś dziwna jeno posępność.

Ile dni tych posępnych przyszło im tu przechodzić przez te zapadłe okolice, nie mogli zliczyć.

Nareszcie byli już na najwyższym grzbiecie, skąd góry ku przeciwnej stronie się zniżają.. Tam zdaleka zaczyna się już Sybir — Azya!

Horyzont rozciągnął się ku wschodowi szeroko i daleko, jakby mu końca nie było... Strach i groza stamtąd dochodziła.

Coś okropnego było rozlanem w całym przestworze... W takiej chwili i zbrodniarze posępnieją.

W dniach następujących droga się zniżyła ku przeciwnej stronie. Tu i ówdzie zdybywano wozy wiozące rudę z różnych kopalni.

Nareszcie pokazał się Jekaterynenburg.

Dziwne to miasto z ludnością urzędniczą a górniczą! Ruch tam większy, ale i świat inny, niżeli w Europie.

I znów się wlekły dni dalsze, jednako długie i jednako posępne, choć postępywali oni aleją „Jekateryńską“ pod ciągnącym się baldachimem z brzoź starych, rozłożystych, posadzonych za czasów jeszcze Katarzyny. Po obu stronach mieli już gdziegdzie łąki, to połaci pól nikłych, albo sosnowe lasy. Miejscami pokazywały się osady świeże przy drodze, składające się z dwóch rzędów chat nikłych, drewnianych, bez otoczenia drzew i ogrodów, nagie, prawie bez życia, jak gdyby mieszkańcy ich tymczasowo tylko tu zamieszkać mieli.

Okolice zmieniały się nareszcie i roztoczyły same trzęsawiska, zdala zaś tu i ówdzie błyszczały wśród moczarów jeziora: kraj cały nastał jakiś podmokły.

Wlekąc się z wielkiem utrudzeniem przez grzęznące błota i wody, bez tchu już prawie, całkiem obezsileni doszli nareszcie do Tyumenia.

Tu jest punkt, skąd się partye pojedyncze teraz rozdzielą będą. I tu kończy się urzędowa Europa, a zaczyna się Azja.

Postępując tuż srodkiem miasta, składającego się z niskich drewnianych domków, bez większego ruchu, doszli niemiłowem do miejsca, gdzie stanął przed nimi obszerny gmach czarny, więzienny. Pierwsza to i największa stacya, skąd się rozchodzą partye w różne strony Sybiru na miejsca swego przeznaczenia.

Gdy się pokazały gmachy więzienne, ogromne, poczerniałe, otoczone palisadami, po obu stronach gościńca, zatrzymała się

cała partya. Stacya bowiem więzienna dla kobiet była po lewej stronie, tam też odeszły kobiety. Dla mężczyzn było więzienie po prawej, większe, obszerniejsze, wyższym obwiedzione ostrokołem.

Tu zatrzymano więźniów. Zbigniew popatrzył z westchnieniem ku stronie, dokąd jego Pani odeszła, wraz z innemi, gdyż wiedział, że już wkrótce będą musieli się rozdzielić. On pójdzie w inne strony, ona w inne. Posępnie się nad tem zamyślił.

Tymczasem stanęli przed wielką bramą. Zaraz na odwachu na ich widok zawołał szyldwach: „Starszyj!“... I wnet pojawił się podoficer przy pałaszu i pistoletach u boku, a zoczywszy partyę dał znać do więziennej kancelaryi, i wnet otworzono bramę.

Partya weszła. Tu ich szykowano, liczono, i sprawdzano. Po podwórzu włóczyli się aresztanci z ogolonemi głowami ciężko pobrzękując kajdanami.

Nareszcie wpuszczono przybyłych na nocleg do głównego budynku więziennego. W kamerze ogromnej, długiej, na pół ciemnej o poczerniałych ścianach, a małych okratowanych oknach, zastali już mnogich aresztantów, czekających na dalsze ich odtransportowanie.

Objęło tu powietrze świeżo przybyłych pełne zaduchy ciężkiej, wilgotnej. Posępność wiała ze wszech stron, a ponure czerniały ściany, i ponuro patrzyły oblicza ludzi, beznadziejne.

Środkiem długiej kamery ciągnęły się szerokie nary drewniane, na których spoczywali aresztanci, dwoma szeregami głowami ku sobie zwrócenii, inni leżeli na ziemi. Prócz nar tych drewnianych i ścian czarnych, nic tu nie było widać przygotowanego dla ludzi. Ponieważ nowe teraz wepchano gromady, musiano tamtych ciasniej zepchnąć, innych znów spędzić, aby dla nowych zrobiło się miejsce.

I w takim to otoczeniu musieli teraz nasi więźniowie

dłuższy czas pozostać, zanim ich pognają na miejsce przeznaczenia.

Gdy więźniów polskich ujrzeni tamtejsi aresztanci, to niektórzy z pospolitych przestępców, przeczuwszy w nich ludzi innej społeczności i innych dążeń, na bok się usunęli z pewną nieśmiałością, inni zaś pozierali z gniewem i pewną nienawiścią, że tamtych za co lepszego miano uważać.

Byli i tacy, co usłyszawszy, że między polskimi więźniami jest kapłan, zbliżyli się do niego drugiego zaraz dnia jegoż pobytu. Byli to po większej części z Litwy i Polski, a znajdowali się nawet z Białorusi, to Wołynia, którzy za opór stawiany prawosławnym popom a wierność swojej wiary deportowani zostali na Sybir. Gdy ci usłyszeli, że tu jest przeor i kapłan ich Cerkwi, który za wierność wierze swojej ponosi dziś męczeństwo wydalenia, otoczyli go wnet jakby świętego, prosząc o błogosławieństwo dla nich na dalszą drogę i dalsze dni, jakie ich ninie czekają. Kapłan nasz, bez komży, bez szat kościelnych, wywierał na wiernych wpływ, jak gdyby miał władzę tu dziś pasterza. Prawosławni zaś się zdala patrzali, albo z pewną na to niechęcią i jakimś zabobonnym wstrętem, jako na księdza innego wyznania, albo też całkiem byli obojętni.

Inni z naszych więźniów zdybali tu między aresztantami niewielu znajomych i towarzyszy wojskowych, od których słyszeli, że już wiele partyj stąd polskich zesłańców dalej odeszło, jedni do batalionów sybirskich zarekrutowani, drudzy do kopalń lub na osiedlenie. W Tyumeńskim więzieniu wiele przez rok przechodzi partyj. I oni również tutaj długo nie pozostaną.

Szokalski, Jabłoński, jak i inni, w tych i następujących dniach, wielu znachodzili towarzyszy z pod Ostrołęki, Grochowa, Wielkich Dębów, innym czasem znów niejednego z organizacyi i spisków, z Wołynia i Podola. Bywały dni, w których liczba więźniów politycznych przewyższała aresztantów pospolitych,

tak, że cała kamera ta miała wygląd, jak gdyby tu zepchano jeńców wojennych po niedawnej bitwie rozbrojonych; w innych znów gniach, kiedy tych dalej pognano, gubili się więźniowie polityczni między pospólstwem zwykłych złoczyńców.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym gromadzie naszych więźniów dawniejszych kazano już się zebrać. Nastąpiło też teraz smutne z dawnymi i świeżymi towarzyszami więziennymi pożegnanie.

Wyprowadzono gromadkę, ustawiono w niewielki szereg, i zakomenderowano. Gromadka odeszła pod strażą do portu rzeki Tury, gdzie już czekała partya kobiet pod strażą, jak i inne gromady.

Statek stał w porcie gotowy do zabrania zesłańców, bo teraz popłyną wodą.

Tutaj dokoła porozstawiani byli w pewnym oddaleniu żołnierze, na środku zostawiono jeszcze niejaką swobodę więźniom. Prócz tego zeszło się teraz nieco ludu sprzedającego odpływającym więźniom, chleb, to ryby suszone, lub inne wiktuały. Ruch też i gwar był niemały.

Mógł się przeto teraz zbliżyć Zbigniew do Pani swojej.

— Pani odjeżdżasz stąd daleko — odezwał się młodzieniec — na smutne dni, na jakie nigdy nie zasłużyłaś... Ale oni przecież nie będą mogli pani tak długo tutaj trzymać?..

— Pan tak sądzisz? — rzekła ona. — Widać, że masz wiarę w ludzi, iż się poznają na mnie, i oddadzą sprawiedliwość niewinnej ofierze?... Ja zaś nie mam żadnej. Tyle przecież doświadczyłam... I za co?... Że nie dałam się obrazić podłemu człowiekowi?... Ale... co dziś o tem mówić!... Ot, idę na wygnanie — dodała z goryczą — w kraj mi nieznany, okropny, lodowaty, gdzie nie znajdę ludzi, tylko chyba dla siebie katów. Idę na pewną śmierć powolną. I czy kto będzie za mną dziś żałował?..

To wymówiła ze wzruszeniem w pewnem rozdrażnieniu.

— Nie sądź tak pani, nielitościwie — zawołał młodzieniec — bo są, co się na niej poznali, co ją uwielbiają... i w dniach posepnych wygnania nieraz o niej będą myśleli... ach! z żalem...

— Z żalem, pan mówisz?... Pamięć ludzka — krótkotrwała. Nowe wrażenia, nowe postaci, zatrą dawniejsze...

— O! nie bądź pani okrutną! — rzekł z żalem młodzieniec. — O! kto ją poznał... ten nie zapomni... A może lepiejby było — dodał z boleścią — żeby się nigdy nie był zeszedł!...

— Widzisz pan — rzekła bardziej jeszcze wzruszonym głosem — że już dziś żałujesz... Ale mężczyźnie niejedno pozostaje... On się łatwiej pocieszy... Lecz kobieta -- dodała z siłą — ta niezapomni nigdy!... Ona choć zostanie nieszczęśliwą, do śmierci jednak nie zapomni...

I tu odwróciła się wstrzymując łkanie.

Jemu w oczach pociemniało.

Ona zwróciwszy się do niego zawołała:

— Ale choć mnie spokój zatrueś.. jednak przebaczam ci... i bądź szczęśliwy!... Ja już zostanę sama ze swoim nieszczęściem..

On ją chciał pochwycić za rękę, i do ust przycisnąć, lecz już ich rozdzielono: zakomenderowano bowiem na statek.

Pędzony do szeregu oglądał się jeszcze... W oczach mu bardziej ciemniało... Widział jeszcze zdala postać jej, jakby we mgle, a właściwie w mroku tylko swej wyobraźni, bo jej już nie było. Ona poszła między inne niewiasty na statek. Stała mu zaś ciągle w oczach.

Nareszcie i jego usadowiono między męskimi załogami w części statku okratowanej.

Ruch nastął coraz większy — gwar rozległ się i pospiech i szcęk karabinów ustawianych na statku żołnierzy. I pop wszedł z dyackiem a księgą, kropił na drogę i błogosławił



odjeżdżających — następnie wyszedł; naszych zaś pobłogosławił w duchu kapłan-męczennik bez ostentacyi, lecz z prawdziwą w sercu wiarą.

Nareszcie ruszył statek — i z głuchym szumem zaczęły się odbijać fale od prującego wodę statku.

Na drugi dzień zeszły się wody Tury i Tobola. Statek na zejściu rzek zatrzymał się. Tutaj czekał już statek inny, który zabrał partyę niewiast w dalszą drogę na północ do Tobolska.

Zbigniew nie mógł już się zejść z panią serca swego. Widział jeno zdala, jak ona z inną partyą odpływała ku północy. On patrzył ku tej stronie — i długo patrzył jeszcze, choć jej już nie widział, lecz tylko postać jej pełna żalu i uroczą w swym smutku i goryczy, pozostała w duszy jego na długi tylko niepokój. Statek zaś z nim i jego towarzyszami popłynął w przeciwną stronę — ku południowi.

Za parę dni byli już w Jahutorowsku.

Tutaj wysadzono ich — dalej już pognają łądem pieszo — na wschód aż do Omska, dokąd są przeznaczeni.

Zrazu, gdy ciągnęła partya, zdybywano gdzieniegdzie świeże osady o domach bez ogrodów, to małe plachcie ugorów świeżo uprawionych. Za parę zaś dni pokazały się stepowe błonia na prawo i na lewo, jak okiem sięgnąć... Cisza wszędzie i straszliwa pustyńność. A nad bezludnymi przestrzeniami zwiślało niebo posępne, często bezsłoneczne, dodając tem grozy jeno ziemi, jak gdyby ciszą tą przerażone.

Od czasu do czasu ptak jeno przeleciał, lub zwierz uciekał w oddaleniu — i znowu nastąpiła ta sama cisza i ta sama pustyńność, która jeszcze gorzej na duszę zboliałą więźniów wpływała. W śród ciszy tej, stawała raz po raz postać niedawno widzianej kobiety w oczach młodzieńca, napawając duszę jego zboliałą żalem i tęsknotą beznadziejną.

Żal również i niepokój, choć z innych pobudek, budził się również i w duszy towarzyszy jego, zatrwożonych niemało stanem młodzieńca, którego postać jedna niewieścia, obcego rodu, jak gdyby zakłęła, tak, iż on, więzień, cierpiący za Ojczyznę i za nią się poświęcający, powoli hart duszy traci, tęskniąc po kobiecie, obcej dla nich wszystkich, zawsze tylko tajemniczej. Kapłan modlił się o spokój ucznia swego, ażeby i na wygnaniu nie został straconym dla Narodu swego.

Po jakimś czasie cisza stepowa i susza stepowa zaczęła się kończyć — i gdy przybyli na promie Iszym, z głośniejszym gwarem ptactwa błotnego, pokazały się stepy moczarowate, pełne zapadłych okolic i zdala błyszczących jezior. Miejscami szarzały kępinami trzciny i szuwały, to kupiły się gromadki wierzb niskich, olch smętnych i smukłej łożyny. A wiatr czasami zrywał się gwałtowny, zimny, niepowstrzymany, lecz potem pokazało się słońce, i było na chwilę złudzenie pogody, co wnet zakryły chmury i deszcz. Bo to Sybir i Azja.

Kiedy jasne było powietrze, widać dawały się z dala stada żrebców, to owiec, i szarzały w oddaleniu jurty tatarskie. Miejscami trawa sięgała do kolan, lecz częściej rozszerzały się stepy żółkłe, wypalone. I kędyż ten Omsk?... Jeszcze nie blisko.

Droga to nader pusta... Ani domów, ani wsi żadnej!... Urozmaicały od czasu do czasu ostrogi i więzienne stacye, a czasami poczty. Po tej drodze nie jechały wozy, ani spieszył się na rolę rolnik. Pędziły tylko od czasu do czasu kibitki, chwilami gnała poczta z czynownikiem carskim, albo ciągnęła partya zakutych aresztantów, lub też rekrutów pędzonych do batalionów za światem.

Dni się wlekły po dniach, więźniowie słabli — a końca drogi jeszcze nie było.

I w jakież to strony car ich pędzi?... Z dala od ziemi rodzinnej ciągną w dal bez końca, ku jakimś zapadłym okoli-

com, które sam Bóg chyba już opuścił!... I po co tu straż  
owe z nabitą bronią?... Żali tu kto uciecze?... I dokąd?... Tu  
nie ciała jeno ludzkie zabijają, lecz raczej dusze. Patrząc do  
koła człowiek przeraża się tą pustyńnością, zdaje mu się, iż  
go obłąd już chwyta, i myśli swych zebrać nie może. — Co to  
za kraj? co to za kraj?... Czy tu Aryman rozpostarł swą pod-  
ziemną władzę, zbudowawszy sobie państwo piekielne?...

---

## OBRAZ CZWARTY.

# Twierdza Omska.

---

### I.

Nareszcie zaczęły się już pojawiać patrole konne kozackie, tu i ówdzie szpiegujące, na różnych zaś punktach widziano wedety skierowane ku stronom, skądby czego ucho zachwycić mogło.

Już stanęli nad Irtyszem. Fale po fałach szeroko rozlanego strumienia pędziły ku północy coraz zimniejszej. Prom przewiózł więźniów na drugą stronę.

Niebawem dawał się słyszeć dochodzący ruch gęsty, wojskowy. Wszystko znamionowało poblizę twierdzy, która się wnet na tle szarego nieba zarysowała — ogromna — nad całą okolicą dominująca. Niedaleko od niej, jak gdyby szeroko się rozchodząca gromada kretowisk na równej przestrzeni — szarzała osada miejska.

Na prawo zaś, na lewo, za twierdzą i za osadą, rozciągał się step i step bez końca.

Po niejakiem czasie pokazały się już okopy i wały, a na wałach działa wychylające potworne swoje paszcze ku stepom hord wolnych, które się na południe od twierdzy w dal ciągnęły. Koło dział na wałach połyskiwała broń żołnierzy.

Partya zbliżyła się strudzona, chwiejąca się, mocno obezsilona. Mimo to ustawiono ją w szereg.

Na odwachu dano znać. Wyszedł podoficer — i wkrótce

otworzono bramę pierwszego pierścienia okopów. Więźniowie weszli na pierwszy plac forteczny, na którym oddziały uzbrojone mieniały się z innymi. Wszędzie rozlegał się brzęk i szezęk broni: widać, że to twierdza napełniona wojskiem, bo na granicy nieschodzonych stepów, wolnych jeszcze dotychczas Kirgizów, po których wyciąga chciwie ramiona, by ich również spoddąć i cisnąć pod stopy carowi. Stąd też ten ruch nagły, wojenny, wśród ciszy nieschodzonych obszarów, po których chyba tylko wiatr zimny, północny, wodzi zapasy.

Na drugim podwórzu, okolonem wyższymi murami mustrowano rekrutów. Tu się mieszał stuk i tupot monotonny obrotów egzercerki z hałasem i wyzwiskami mustrujących.

Nowo przybyli musieli długo czekać, zanim nadszedł przeznaczony oficer, który ich przeliczył, a potem zawiódł do wnętrza wielkiego gmachu, gdzie każdego z osobna zapisywano, oddając w opiekę komendzie twierdzy. Ze wszech stron wiała tu jakaś surowa pośepność — i zimno bijące od kreatur wojskowych, patrzących obojętnie na wszelkie cierpienia duszy ludzkiej.

Następnie zaprowadzono ich do innego gmachu, bardziej niskiego a poczeriałego, o małych, okratowanych oknach. Tam ich do jednej niskiej a wilgotnej spakowano kamery.

I nastąpiło głucho a ciężkie zrazu milczenie, przerywane ciężkimi jeno oddechy. Więźniowie poglądali ku sobie, jak gdyby zdziwieni, że już są u celu swojego po tej długiej a strasznej wędrówce. Ale co teraz z nimi się stanie?

Przeor, bez sił prawie, pochylił się na kolana, prosząc Boga, ażeby teraz jemu i braciom jego dał siłę do dalszego wytrwania, i przeniesienia tego, co ich odtąd czeka. Towarzysze jego, widząc, że tu kapłan w tej chwili rozmawia z Bogiem, byli również w nastroju chwili: każdy myślał o tem, jakby to przetrwać dni dalsze, nie sprzeniewierzywszy się idei.

Zbigniewowi jeno stała przed oczyma ciągle postać ta

sama niewiasty, od której starałby się uwolnić, gdyż ona nie dla niego, nie dla więźnia, który już może nigdy nie zbuduje domu szczęścia rodzinnego. Młodzieniec walczył z sobą, usiłując rozwiać obraz beznadziejny, który mu tylko hart duszy dziś odbiera. Lecz obraz ten ciągle powracał.. Chwilami udało mu się zarzucić nań jak gdyby cień zasłony, ale on ciągle powracał z uporem, jednakowo wyraźny.

Parę dni przesiedzieli tak w tej celi. Następnie przybył oficer, i odczytał imiona tych, którzy się za nim teraz udać mają. Między tymi byli ksiądz Sierociński, Zbigniew, Szokalski, jak i inni polscy wygnańcy.

Zawiedziono ich do innej kamery, mniejszej a widniejszej. Tutaj kazano im się rozebrać z płaszczów szarych, w których dotychczas byli odziani.

Rozebranych do koszuli, wołano jednego po drugim do przyległej izby, w której przy stole zielonem suknem nakrytym siedziała komisya. Na stole leżały księgi i akta, a po nad tem wszystkim wisiał wizerunek imperatora wszech Rosyi.

Przyprowadzeni poznali, co ich czeka.

Jednego po drugim oglądał ninie doktor wojskowy, mierzył miarą wojskową kapral — a gdy wyrzekł doktor! „Zdarnyj!“ przewodniczący komisyi zawołał: „Paszoł!“

I wnet popchnięto zaasenterowanego do drugiej izby, w której przekształcono go w rekruta carskiego.

I gdy wszedł Zbigniew, przełożony komisyi, spojrzawszy w papiery, zwrócił potem wzrok ostry, przenikliwy, na młodzieńca, zatrzymując się czas niejaki, jak gdyby chciał napaść oczy swoje niepewnością a trwogą młodzieńca, lecz Zbigniew patrzył śmiało i z pewną nawet pogardą obojętną na całe to otoczenie — nie zwracając wcale uwagi, kiedy doktor i kapral swoje wypełniali.

Wnet też oddano go do przyległej izby, gdzie strzyżono

głowy jego poprzednikom, którym przez czas wędrówki włos po nad miarę urósł wymaganą.

Gdy również i jego w rekruta przeistoczono, zarzuciwszy nań ubiór inny, rekrucki, spojrział na niego takim samym wzrokiem, jak niegdyś na ubiór aresztancki, bo ubiór terazniejszy niczem dla niego nie był innym.

Następnie zawołany został Ksawery Szokalski. Niepomni, że to człowiek z akademickim wykształceniem, posiadający patent na doktora medycyny, przeznaczyli go z mściwem nawet zadowoleniem na prostego szeregowca. Dla niego było to zupełnie obojętnem, dla nich zaś o tyle gorszem, że mieli tu najzdolniejszego może lekarza, który niejednemu mógłby ze starszyny garnizonu życie i zdrowie sztuką swoją uratować — a otrzymali teraz tylko szeregowca, który nie wiedzieć nawet, czyli będzie trafił po rozkazie w piersi wolnych synów stepowych.

Potem nastąpili inni, których ten sam los spotkał.

Nareszcie nadeszła chwila, w której miał stawać Przeor.

W tej chwili wszedł adjutant komenderującego i kazał księdzu iść za sobą.

Kiedy przybywszy do innego gmachu weszli do sali większej i jasnej, stał tamże generał, komendant twierdzy, który wnet krótko się zapytał:

— Ksiądz Sierociński?... Niegdyś przeor Bazyliańców w Owroczu?

— Za łaską Bożą, ten sam, sługa klasztorny — odrzekł Przeor.

— Ale... co już z waszym klasztorem, mój księżę Przeorze?

Tu zatrzymał na księdzu wzrok zimny i ironiczny. Po chwili dodał z pewną satysfakcją:

— No, pojednał się z Bogiem, i wrócił na łono matuszki swej Cerkwi.

Przeor drgnął. Generał uważając to dodał:

— Ha! niepomysłna to wieść dla jego Przeora, który dziś został zdrajcą imperatora i odszczepieńcem Cerkwi. Wymazany też być musi z rzędu wiernych chrześcijan, a mimo, że niegdyś duszpasterz i dostojnik Cerkwi, będzie dźwigał dziś karabin, a jako prosty szeregowiec używanym będzie do najlichszych posług w koszarach.

I patrzył na kapłana, usiłując go tem przygnieść do ziemi.

Przeor odrzekł po chwili, ciężko westchnąwszy:

— Wola Boska — będę cierpiał i modlił się za grzechy braci moich, jeśli się stali Cerkwi niewiernymi ..

— No, ale przeor ich za swoją wierność Lachom i Rzymowi zaszedł aż tutaj — i nie powróci tamże już nigdy.

Po chwili zmieniwszy głos dodał:

— Ależ, mój księże, na co ty dziś liczysz?... Klasztor twój przepadł na wieki dla ciebie: pojednał się z Bogiem i wiarą ojców... A ty, księże, dzisiaj opuszczony przez swoich, przez upór swój i zatwardziałość serca będziesz musiał dźwigać karabin, używany do posług nieodpowiednych dla księdza. A jeśli to ma być z twej strony ofiarą, toć nie wiedzieć, w jakim ona ninie celu?... Ażeby pamięć chyba twoją przeklęto?... Sam jeszcze nawet nie wiesz, jakie ciebie tu czekają męki, bo tyś się nie wychował na żołnierza... Ale słuchaj i uderz się w piersi, księże, i rzuć się do stóp cara błagając łaski.

Przeor wypatrzył się, a komendant dalej mówił:

— Imperator nasz wielki jest i ojcem naszym. Może on da się przebłagać i przebaczy ci, jako zbłąkanemu, może i przyjmie nawet za karę to, coś przeżył dotychczas, jeśli unasz błąd swój i zbrodnie, a pojednasz się z Bogiem i maturską Cerkwią. Ktoć wie, może być jeszcze, że i duszpasterzem zostaniesz .. ale już prawdziwej Cerkwi, jedynej, prawosławnej. A choć nie



wrócisz dziś do swego klasztoru, który ma już tamże innego, jednak przebłagasz cara... bo jeśli tu przysięgniesz, Najmiłościwiej nam panujący pozwoli ci wrócić, i tam naprawić winy swoje, zostawszy gorliwym apostołem matuszki Cerkwi... O! bo tam niejedno będzie jeszcze do zrobienia na tym waszym Wołyniu! A wtedy Najjaśniejszy Imperator może cię zrobi przełożonym monasteru jakiego... Ha! kto bo nawet wiedzieć może! — I dodał ciszej zbliżywszy się do niego: — Z więzienia wychodzą nierzadko ludzie na wysokie nawet posady, gdyż łaska Najmiłościwszego Imperatora nie ma granic...

Polski kapłan jednak odrzekł spokojnie, lecz stanowczo:

— Słuchałem tak długo, co mi Wasze Wysokobłagorodje mówił, gdyż nie mogłem przerywać, ja więzień, słowem komendanta więzienia jego. Ale ja raz przysięgałem Bogu i Cerkwi swojej, która należy do Rzymu i Ojca świętego, i z tem pozostanę do śmierci. Tak mi Boże dopomóż!

— Ha! ty księże, mnie nie wierzysz?... Myślisz, że to są gołe tylko słowa, obietniki?... Ażebyś wiedział, że ja nie mówię bez podstawy: oto są tu papiery dla mnie, w których to potwierdzone, co ja mówię... Zrozumiałeś teraz?

A kapłan odrzekł:

— Ja rozumiałem i przedtem. Wiedziałem, iż Wasze Wysokobłagorodje nie własne zdanie swe wypowiada. Wiedziałem to dobrze, ale ja inaczej postąpić nie mogę.

Teraz nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

— Więc ty odrzucasz łaskę, szalony popie rzymski?.. I to twoje ostatnie słowo?... Odwołaj, nieszczęśliwy!

— To moje ostatnie — odrzekł kapłan. — Tak mi Boże dopomóż przy śmierci mojej!

— A więc będziesz ją miał — rzekł surowo Generał — i poznasz, co to znaczy. Śmierć nie od kuli, co w jednej chwili uśmierca, lecz będziesz na nią czekał dłużej w szynelu sałdata

karnej kompanii, ty, nie żołnierz carski, ty miateźnik, katorżnik carski.

Dał znak — Przeora wyprowadzono.

Następnie rzekł do adjutanta:

— Trzy dni dać jemu do namysłu... potem, zaasenterować!

## II.

Trzy dni te stały się męką dla Przeora. Nie dlatego, żeby on miał się bać zaasenterowania i służby szeregowca, gdyż na to był przygotowany, lecz był ninie przygnębionym inną wieścią, której usłyszał z ust komendanta.

A więc klasztor jego dzisiaj odszczepił się od wiary ojców i przeszedł na schizmę?... Jegoż zatem stałość i wytrwanie w męczeństwie nie okupiło wiary ojców, i bracia ją zdradzili?... Wszak wszyscy wtedy zaprzysięgli stałość i wytrwanie w wierze!

Tak rozbierał to dziś w myśli Przeor. A teraz co oni uczynili — słabi — niedołężni?... O! dziś inni za nimi pójdą?...

Takie i tym podobne myśli dręczyły go do krwi. Atoli naraz przyszła mu myśl, i rzekł do siebie:

— A jeśliby Generał kłamał?... Gdyby to tylko było zasadzką na więźnia, aby zastraszywszy go poddać woli komendanta?... Albowiem jeśliby na prawdę klasztor cały przeszedł na schizmę, i drugie za nim szły już klasztory i księża świeccy: w takim razie pocóżby Generał tak bardzo nastawał na więźnia strasząc go i czyniąc obietnki?... Nacóżby wtedy ksiądz Sierociński tak bardzo był im potrzebnym? chyba ażeby im psuł własną ich robotę?... Nie, nie, Generał dziś go próbował... A kto wie, co się też teraz dzieje w kraju jego nieszczęsny? — Jednak

tu dołożył: — Coby on dał za to, gdyby to było nieprawdą, co Generał mówił!... Lecz chociaż starał się w siebie niejedno wmówić, mimo to niepewność i obawa o stan właściwy w kraju ojczystym dręczyła więźnia nie dając mu zasnąć.

Trzy dni były to dni tortury. Po trzech dniach zaasenterowano kapłana.

Wyprowadzono też wkrótce świeżych rekrutów, ustawisz wszystkich w szereg.

Przystąpił do nich kapitan, stanąwszy przed frontem z papierem w ręku. Obok niego znajdował się pop prawosławny, a dla odebrania przysięgi od katolików z Polski i krajów zabranych ksiądz katolicki, urzędowy.

Kapitan czytał rotę przysięgi, w której stało, że odtąd przybiecują na zbawienie swoje wieczne, wiernie służyć imperatorowi i być ślepo posłusznymi ustanowionym przez niego przełożonym, nie mając własnej woli, ani żadnej innej chęci, na każde zaś zawołanie, nie szczędząc krwi własnej położyć za niego życie swoje.

Prawosławni wykonali przysięgę według przepisu, machinalnie, bezmyślnie, zupełnie obojętni na treść zawartą w rocie, jakby tej nie rozumieli, lecz gdy przyszła kolej na polskich rekrutów, ci ostatni zachwiali się i tylko przymusowo podnieśli rękę, objawiając tem, iż tu nie mają żadnej woli.

Zbigniew zaś, Szokalski i inni, za przykładem Przeora, nie chcieli podnieść ręki, a gdy od nich tego zażądano, objawili odważnie, że raz już przysięgli Bogu swemu i Ojczyźnie, a łamać nie myślą tej przysięgi — tutaj zaś są niewolnikami, a jako tacy, nie mając woli własnej, nie mogą składać żadnego przyrzeczenia.

Na to odpowiedziano skazaniem ich „na szpangi“.

Zawiedziono więc nieposłusznych do ciemnicy podziemnej, i tam z rozciągniętymi ramionami w stojącej postawie przy-

mocowano ich żelaznymi pierścieniami do muru. Tak pozosta-  
wiono na dwadzieścia cztery godziny.

Wszyscy postanowili wytrwać. Po krótkim czasie uczył Zbigniew i dwóch młodszych, że im ręce i nogi trętwieją.., a łamanie w kościach okropne sprawia bole. Zżymali się i kłęli. Kapłan zaś, znosząc cierpliwie ze spokojem w duszy, i modląc się w duchu, wyglądał tutaj jak święty przybity na krzyżu. Ksawery znów zacisnął jeno zęby i milczał ponuro. Lecz Zbigniew był już bliskim omdlenia, a wtedy zdawało mu się, że nawet traci już świadomość siebie samego.. I przychodziły minuty, strasznie długie, w których sen go ogarnął, sen zapomnienia; lecz były to tylko chwile zupełnego osłabienia, potem ruszył się nie pomnąc, gdzie jest, usiłując zaś instynktowo zmienić pozycję swą czuł okropne męki. Wtedy drgnął i kapłan, że się zdawało, jakby on prócz swoich mąk przejął jeszcze cierpienia ucznia swego magnetycznie. Były też chwile, że czuł nawet wyrzuty, iż przezeń na cierpienia takie skazany został młodzieniec. Ale wnet przeraził się takiej myśli, błagając Boga, ażeby go dziś nie opuszczał. Druh Ksawery zaś drgnął również, lecz tylko mocniej zaciął zęby, nie zmieniawszy pozycji, i został tak prawie bez ruchu. Tem usiłował zmniejszyć bole swoje fizyczne.

Minuty teraz przechodziły po minutach okropnie długie, oni zaś trętwieli coraz bardziej, tracąc już prawie świadomość bólów swoich.

Po niejakiem czasie otworzyły się drzwi, i wszedł cicho jakiś człowiek, czarno ubrany, stąpający jak cień, i patrzył się chwilę zielonem swem okiem, na przykutych do muru. Potem odezwał się:

— Nie widzicież, że to ksiądz ten jest przyczyną waszej kary, waszej męki? On bo na was rzucił czary swoje i zaklął was na upor i nieposłuszeństwo dla Władzy przez Boga posta-

nowionej. Gdybyście nie byli pod urokiem tych czarów, tobyście go opuścili, sami zaś padli do nóg Władzy uznając winę swoją i błagali o przebaczenie.

Oni nic na to nie odpowiedzieli, jeno się odwrócili z niechęcią, jakby słowa ich tego człowieka kazili.

Wówczas zwrócił się on do Przeora odezwawszy:

— Więc ty ksiądz katolicki, i prawileś o miłości bliźniego, a ich wszystkich skazałeś na katusze?... Bo oni przez ciebie męczą się wszyscy. I ty to znosisz — ty chrześcijański kapłan?... A jedno słowo twoje mogłoby ich wszystkich i ciebie samego wybawić?... Rzeknij tylko słowo, że oni winni są bezwzględ- nego posłuszeństwa Władzy, która od Boga pochodzi, a w przeciwnym razie jako ciężko grzeszni skazani będą na potępienie wieczne, jeżeli opór stawiają pomazańcowi bożemu. — I zbliżywszy się do kapłana szepnął mu po cichu: — Ty nie chcesz wykonać przysięgi wojskowej?... To od ciebie zależy, ażebyś nie został sądatem. Rzeknij tylko słowo, że żałujesz za błędy swoje i wracasz do Cerkwi ojców swoich prawowitej, a Generał w imieniu Imperatora zwolni cię od wojska i od hańby, bo naco jemu księdza jako sądata?... Przeczuję, że dziś inaczej sądzić będziesz, a możeś już poznał, że tu mają siłę, aby opornych zmusić?

— Kto ty jesteś, człowieku? — mruknął kapłan. — I po co się łudzisz skuszeniem nas do grzechu i podłości?

— A więc chcesz cierpieć?... No, to cierp! — odrzekł tamten sucho. — Ale ja wiem, że wkrótce sam mnie zawołasz, byle tylko nie było wtedy za późno.

I odszedł. Atoli jakoś nie doczekał się, aby go przywołano.

A gdy przeszło tych dwadzieścia cztery godzin, wrogі zaś poznali, iż więźniowie jednakowo nie złamani na duchu cierpią strętawali już prawie — musiano ich od muru odczepić.

Poznawszy więc, że nic tu nie pomoże, na drugi dzień powlekli ich znowu przed gmach środkowy, ustawiwszy w szereg.

Przystąpił kapitan i czytał rotę przysięgi. Więźniowie milczeli, ani się ruszywszy; stojących zaś za każdym z nich po dwóch kozaków, chwyciło za rękę więźnia, podniósłszy ją siłą mocą do góry w chwili, kiedy czytano słowa: Przysięgam, tak mi Boże dopomóż!

I car przyjął tę przysięgę, Bóg zaś jej nie przyjął. Więźniowie uważać tego nie mogli za jakiegokolwiek przyrzeczenie, gdyż ani usta ich nie wyrzekły, ani serce o niczem tu nie wiedziało. Lecz dla regimentu azyjskiego było wystarczającym, a żeby na tej podstawie potem móżdż karać za każde uchybienie przeciw regulaminowi wojskowemu.

Armia więc carska pomnożyła się dziś o kilkunastu żołnierzy.

Zaprzysiężeni w podobny sposób weszli do celi rekruckiej, gdzie zastali więcej towarzyszy, z których jedni patrzali posępni, myśląc o domu i o rodzinie, może dziś na zawsze pozostawionej, inni zaś śpiewali piosenki hulaszce, jakby usiłując tem zabić wszelki głos z wnętrza się odzywający. Wygnańcy nasi utonęli w myślach, zastanawiając się, jak oni właściwie zostali dziś żołnierzami caratu?... Więźniowie, przestępcy polityczni, co podnieśli bunt na cara, dziś wliczeni między bojowników na jego właśnie obronę! Wszak odebrano od nich przysięgę?... I taką przysięgę, przeciwną wszelkim prawom boskim i ludzkim, zapisano jako po formie i według przepisów wykonaną: akt sakramentu wierności dla cara! Mimo to przysięga ta jest tylko kłamstwem i zbezczeszczeniem aktu religijnego. A czyliż carat cały ze swoją maszyneryą i wszelakiem społeczeństwem czem może jest innem, jeżeli nie kłamstwem i błachmanem tylko monarchii?... Administracya jego kłamstwem, sądownictwo kłamstwem, cerkiew kłamstwem i zaprzeczeniem Chrystusa!

Tak rozbierali między sobą wygnańcy, zapytując się wzajem, żali dziś rzeczywiście będą ich mieli za żołnierzy caratu?... Ale tu musieli zaraz dodać: Wszak oni są żołnierzami — za karę, niejako kryminalnie skazani na żołnierzy. Za dawnych czasów rycerstwo było honorem, i dziś w wielu krajach stan wojskowy jest stanem honorowym: w Rosji przeciwnie, skazują za zbrodnie i przestępstwa do armii, z rekrutem obchodzą się jak gdzieindziej ze złapanym złoczyńcą, więżą go, gołą mu głowę, a nawet po kilku skutych, jak ostatnich zbrodniarzy, pędzą do pułków. I to są obrońcy mocarstwa, ciągnącego się od Bałtyku aż po granice Wielkiego oceanu?...

Zbigniew zaś prócz tych myśli miał jeszcze inne, które go nękały. Bywały u niego chwile, w których zdawało mu się, iż lepiej byłby niegdyś uczynił, gdyby był usłuchał swej Pani, a nie towarzyszy, których krew dłuższym pochodem i cierpieniami od dawna wyziębla. I coby się było stało w razie nieudania ucieczki?... Możeby go była kula posłana od kozaka powaliła?... W takim razie nie potrzebowałby myśleć nad stanem swoim dzisiejszym, który się jeszcze nie skończył... a gdyby go nawet wówczas złapawszy skazali potem w katorgę?... Ha! niżeli żołnierzem carskim, raczej być katorżnikiem carskim!... I czemu on tego nie uczynił, czemu nie posłuchał słów tej niewiasty?... Może to właśnie było jej natchnieniem? Co więc ona sobie o nim dziś myśli w owej niewoli w Tobolsku?... Że on nie miał odwagi — i stchórzył... on, powstaniec niedawny?...

I tu wstydział się sam siebie, że się takim w obec niej pokazał, i do tego takim samym w jej duszy pozostał na zawsze... A jeśli ona nim dziś pogardza?... Bo zamiast ją również wybawić i zostać obrońcą kobiety, on zniósł to, iż ją dalej powiedziano. Ona dziś na niego narzeka.

Myśli te dręczyły go, a gdy nie mogąc sam z myślami

swemi wytrzymać, próbował podzielić się niemi z towarzyszami, wówczas rzekł mu Ksawery:

— Wstydź się, ty, coś niedawno wraz ze stu dzielnymi odważył się zająć Włodzimierz — dzisiaj przez jedną niewiastę obcej krwi, której nie znasz, ani nikt inny tu nie zna, straciłeś hart dawny duszy i wpadasz w majaki! A wiesz ty, kto ona?... jaką była jej przeszłość? Kto cię zapewnił, że to heroiczna dusza, a nie raczej jeno zbłąkana córa rosyjskiego społeczeństwa, a może tylko awanturnica?... Boże! przebacz mi, jeżeli ją dziś krzywdzę, wygnankę, choć obcej krwi, gdy jej nie znam... ale ja znałem ciebie Zbigniewie — i dziś widzę innego, wtedy kiedy nam wszystkim i tobie samemu potrzeba hartu: bo dziś także bój jest z wrogiem, a trudniejszy, niżeli niegdyś w pałasze ..

Wygnańcy nasi zdybywali tu wielu braci swoich, tak z powstania listopadowego, jak i ze spisków dawniejszych. Znajdywali się do tego z różnych stron ojczystych, bo oprócz Królestwa było wielu z ruchawki litewskiej, więcej zaś takich, co jeszcze nie byli w oddziałach, jeno ich połapano udających się dopiero do armii powstańczej. Innym zaś pokonfiskowano dobra, a samych wysłano do pułków, za to, iż dawali pomoc powstaniu, a byli nawet i tacy w Omskiej twierdzy, którym zarzucano udział w sprawach politycznych, choć oni zdaleka się od tego trzymali. Chciwość czynowników i najpodlejsze denuncyacje grały w tem również rolę niemałą.

Nieraz zdybywano tu między rekrutami młodego wieśniaka z Litwy lub Podlasia, który dopiero teraz między wygnańcami przychodził do świadomości, kim jest sam i gdzie są jego wrogowie.

Wygnańcy z więźniów stali się dziś żołdatami carskimi — a jako tacy nie bywali zakuwani, lecz po odbytych ćwiczeniach chodzili nawet wolno, w obrębie twierdzy, skrępowani dziś niejako nie łańcuchem na rękach i nogach, lecz nieco dalej roz-



ciągającym się łańcuchem murów i wałów twierdzy Omskiej. Było to także więzienie, i straszne, z poza którego nie mogli się wydostać.

Przybywały teraz do twierdzy raz po raz coraz nowsze partye skazańców przeznaczonych do wojska. Coraz więcej zdybywano tu swoich, z nad Wisły, z nad Niemna, z różnych okolic Wołynia i Podola. Zdawało się, jak gdyby tu powoli całą Polskę zapędzić usiłowano i zamknąć w tej twierdzy dalekiej.

Garnizon zaś wyćwiczonych żołnierzy składał się z Moskali i innych rodów na pół zmoskwiconych. Były i bataliony kozaków pieszych i konnych. Między tymi znajdowały się oddziały składające się z Tatarów i Kirgizów, których niedawno przekształcono na kozaków. Niejeden jeszcze oficer Kirgiz lub Tatar, wzdychając po cichu za utraconą swobodą swoją stepową, niechętnie jeno nosił szynel carski, mimo to pełnił, co mu kazano. ślepo, bez oporu, z posłuszeństwem Azyaty.

Nieraz też na wałach fortecy, po ostrej zimowej nocy, zdybywano rano zmarzniętego sałdata nie puszczającego karabina z rąk zaciśniętych, które już nigdy się nie otworzą: a był taki nie zawsze rodem z nad Oki lub Wołgi, często z nad Czulymu lub Irtyszu. Widoczne zatem pokrewieństwo rasy i tożsamości w pojmowaniu zależności swej od władzy, która ma prawo zniewalać co słabsze i mniej liczne.

Cóż więc dziwnego, że dzicy, dyszący swobodą synowie stepów, dziś ostrzyżeni i skrępowani ciasnym mundurem carskim, tworzyli tak samo posłuszne szeregi carskie, jak i rodowici Moskale! Ha! tak samo drżeli na widok brutalnych swoich przełożonych, poddając z równą pokorą plecy swoje obnażone na razy smagających je knutów i pałek.

---

## III.

Tak przechodziły dni po dniach, mijały lata przy jednokowym hałasie bębnow i brzęku broni wszelakiej. Jednostajność dni przerywały tylko nadchodzące świeże partye rekrutów, lub też nieraz zabierane gromadki jeńców kirgizkich z niepodbitych jeszcze obszarów, których zbliżonych nieostrożnie do fortecy łąpały patrole kozackie. Czasami sprowadzono też nowy kontyngent dzieci tatarskich, to kirgizkich, aby je w szkole kantownej twierdzy wytresować na późniejszych carskich żołnierzy.

Bo była tutaj również szkoła tego rodzaju, przeobrażająca dzieci azyjskie na niewolniki carskie. Szkoła taka potrzebowała instruktorów, i to różnych stopni, gdyż nie z każdego miał pozostać jedynie żołnierz dla pułku, z niejednego mógł się wyrobić na przyszłość tłumacz dla wojska, potrzebny przy wojowaniu z tyłu plemionami różnojęzycznymi; a że ksiądz Sierociński, jako człowiek wykształcony, posiadający naukę, i znający więcej języków, większą mógł oddać tu caratowi przysługę jako nauczyciel, niżeli jako saldat, niebawem też wyjęto go z szeregu, przeznaczony do tresowania młodzieży kirgizkiej. Inni ćwiczyli ją w służbie carskiej, on zaś miał oddział starszy, w którym udzielać mu kazano rachunków, geometryi i języków. Porzucono już myśl nawrócenia księdza, poznawszy w nim stałość nie do przewyciężenia, a do tego ducha tego rodzaju, jaki był udziałem onych, co przed wiekami ginęli w katakombach rzymskich: dlatego też postanowiono użyć go w inny sposób dla celów caratu. Niechajże więc mimo woli wychowuje młodzież na przydatne sługi carskie! Kapłan przyjął to nawet z zadowoleniem; był przecież w swoim żywiole. Będzie zatem dziś uczył, rozbudzając dusze zostające przez długie wieki w le-targu. Wszak dzieci kirgizkie i dzieci tatarskie, to także płonki, na których dałoby się niejedno zaszczepić, co człowieka od-

różnia od zwierzęcia?... Choć on nie może tu wystąpić w charakterze kapłana Chrystusowego, nie zabronią mu przecież, ażeby w dusze te jeszcze nie zepsute nie mógł wpoić miłości bliźniego, i zasad moralności chrześcijańskiej, nie tykając wcale dogmatów schizmy?... Lecz kapłan nie wiedział, iż oni mu nawet tego zabronią. Widząc bowiem łagodne jego i ludzkie kierownictwo, jak i wpajanie przy każdej sposobności zasad obyczajowych, zakazano mu ostro, ażeby się do ich nie mieszał wychowania. Bo go wcale tutaj nie wzięto na mistrza i pedagoga... on ma raczej pamiętać, że jest zawsze tylko przestępcą, odbywającym sam karę. A więc należy do niego prosto uczyć dziś tylko języków i arytmetyki, ściśle trzymając się regulaminu; nauki zaś moralne, pochwały i kary, nie są jego rzeczą, lecz oficerów i podoficerów, którzy już wiedzieć będą, kiedy mają wydzielać pałki, a kiedy różgi, przeciwnie, może on tylko i ma nawet obowiązek podawać takich, którzy w szkole przeciw regulaminowi czem zawinili. Dlatego też podczas jego nauki musi być zawsze obecnym podoficer należący do policji fortecznej, który ma pilnie uważać na każde słowo uczącego.

Kapłan widział, że i tu mu czynność jego podkopano. Zamiast co miałby wychowywać na ludzi, musi dziś dresować i podawać tylko środki do skuteczniejszej służby dla caratu.

Prócz tego kazano mu uczyć szczególnie na kursach, na których przyspasabiano na tłumaczy dla armii.

Również i druh jego Ksawery nie długo pozostawał jako szeregowiec w pułku. Poznano w nim bowiem lekarza, i to zdolnego, jakich nie wiele było w twierdzy. Chciano spożytkować jego sztukę. Użyto go jako lekarza regimentowego. Ponieważ zaś z niebezpiecznej choroby udało mu się kilku wyleczyć starszych wojskowych, zaczęto człowieka odtąd lepiej traktować. A że zajęcie lekarskie nie ma nic do czynienia z polityką, ani wpływem moralnym na drugich, dlatego był on mniej krępo-

wanym w swoim zajęciu, aniżeli ksiądz Sierociński, i mniej też kontrolowanym.

Stosunek jego do starszyny wojskowej, przy spokojnem jego a dobrze obliczonym zachowaniu się, był tego rodzaju, iż mu nie broniono później udawać się nawet z twierdzy do miasta, gdyż i tam nieraz powoływał go obowiązek lekarski. W mieście bowiem, przy tylu posieleńcach deportowanych, znajdowała się zarówno i część garnizonu ze starszymi, byli też i różni czynownicy. Powoływano go tamże nieraz jako lekarza. Po jakimś czasie, widząc nieszkodliwość jego, a sądząc, że się już zupełnie pojednał z dzisiejszym swoim losem i powołaniem, nie broniono mu, jeżeli udzielał pomocy często i prywatnym osobom, a czasem nawet i będącym na posieleniu rodakom.

Lekarz nasz, mniej kontrolowany, poznał tamże z czasem bardzo wielu rodaków będących od dawna „na posieleniu.“ A byli tam zesłani za różne dawniejsze spiski, jak n. p. za męczennika Łukaszyńskiego, znajdowali się również i jeńcy z czasów Napoleońskich; czasem zdarzył się nawet i jaki starzec, dziś już nie domagający, z okresu jeszcze Kościuszkowskiego. Niemało również osiedlonych w różnych czasach można tam było zdybać rodaków. Prócz tego znajdowali się nawet i dekabryści rosyjscy, których posłał w katorgi Mikołaj; po odbyciu bowiem kary w kopalniach Bernaulskich lub Krasnojarskich zostawił ich „na posieleniu“ w mieście Omskiem i jego okolicy. Winniejsi odbywali jeszcze katorgę w podziemiach Arguńska, to Nerczeńska, inni znów, jako wierni szeregowcy przebywali w garnizonie twierdzy, pewna zaś część była już „na posieleniu.“ Zdybywano nawet takich, co się tu poženili i zagospodarowali; większa z nich część klepała biedę z wieczną tęsknotą za krajem swoim, dzieląc los swój wraz Czerkiesami i Tata-

rami, których nasłano tu wszystkich za podniesienie broni przeciw carowi.

Najwięcej zaś mieszkańców skazanych „na posielenie“ znajdowało się polskich — a były chwile, w których się zdawało, jak gdyby Sybir miał polską otrzymać ludność: Mikołaj usiłował Polskę całą wygnąć na Sybir!

Nasz lekarz Ksawery bywał tu przeto często, jakby między swoimi w ojczyźnie, jeno że bardziej posępnymi, więcej oddanymi tęsknocie.

W najgorszym zaś położeniu zostawał Zbigniew. Ten bowiem jako szeregowiec musiał dźwigać karabin wraz z innymi żołdatami, mając za towarzyszy gawieź z nad Wołgi i Oki, a często z nad Czującym lub Irtyszu. Ponieważ zaś był gwałtowniejszego usposobienia, oficerów i podoficerów miewał brutalnych Azyatów, choć nie z nad Irtyszu, ale z samego serca Moskwy, nieraz też bywał z nimi w kolizyi, i często musiał przesiadywać w lochu, skazany „na szpangi.“

Razu jednego, w uniesieniu potraktowawszy kaprała policzkiem, skazany został na knuty. Po mściwej egzekucyi, w skutek ran i niezwykłego rozdrażnienia poszedł do lazaretu...

W nocy stanęła wtedy przed nim Pani jego, a była jakaś insza, bardziej surowa i rozkazująca. Zdawała się mieć minę pełną pogardy, że on, dawny bojownik, dziś został podłym żołdatem. On usiłował się usprawiedliwić, ale ona nic nie odpowiedziała, jednakowo surowa i wzgardzająca... Potem znów widział się wraz z nią, jak razem gdzieś uchodzili... tylko dręczyło go, iż on dla niej pozostawił towarzyszy niewoli... Po chwili jednak i ona gdzieś się podziała... Szuka... nie może jej zdybać — na prawdę zbłąkany... Sili się odnaleźć drogę... i gdy się tak dręczy, obudził się, widząc się tylko na tem samym łożu szpitalnem.

Po kilku dniach przyszedł do zdrowia. Teraz wpływali na

niego starsi druhowie, kapłan i lekarz, ażeby oporem nie pogorszał dziś losu swojego. Młodzieniec powoli się uspokajał, jednak Pani jego nieraz mu już w oczach stawała. Żołnierzom dziś nie broniono, kiedy nie byli na służbie, oddalać się do miasta, gdzie mogli swobodnie, nie kontrolowani, wchodzić w stosunki z tamtejszymi mieszkańcami. Dnia też pewnego, kiedy Zbigniew był w mieście, zdarzyło się, że tam spotkał się z nią, którą tylko widywał teraz we śnie... Zrazu sądził, że to rozgorączkowanego mózgu jego złudzenie... Lecz gdy się zbliżył, poznał na prawdę, iż to ona — ta sama... Losy ich rozdzieliły, wygnankę posłano do Tobolska, jego zaś do Omska. Setki wiorst przedzielały ich — on w niewoli, i ona w niewoli. Lecz dziś się dowiaduje, że i srogie organa rządu carskiego na niej się poznały, przyszedłszy do przekonania, że tu dręczyły tylko niewinność. Dlatego też złagodźono jej dziś resztę kary, i pozwolono przebywać na osiedleniu w miejscowości bardziej na południe wysuniętej, jaką jest Omsk. gdzie miała brata w carskiej służbie. Wygnanie jej przeto stało się znośniejszem, gdyż uwolnioną została od towarzystwa niemiłych dla niej niewiast, i mogła odbyć resztę wygnania w towarzystwie brata.

Zbigniew był uradowany podobnym obrotem rzeczy, a płomień zawsze w piersiach jego tlejący, który się zdawał z czasem przygasać, na nowo rozgorzał teraz w całej sile.

Wróciwszy do twierdzy nie miał Zbigniew zrazu ochoty wyjawić odkrycia swojego starszym druhom, atoli kryć się z tem było również niepodobna. Gdy zatem później dowiedzieli się o tem lekarz i kapłan, byli bardzo zafrasowani, nie przecuwając tutaj nic dobrego. Ksawery nawet wyraźnie powiedział młodzieńcowi, iż ta kobieta zacięży kiedyś nad jego losem. On zaś bronił się, jak mógł przed nimi, i próbował ją bronić, jako istotę, dla której każdy najwyższą tylko cześć żyć winien.

Lecz kiedy się później znajdował w mieście, musiał usły-

szeć, iż nie wszyscy tamże byli tego samego, co on, przekonania. Byli tacy, co nie bardzo wierzyć chcieli w owo pokrewieństwo siostry i brata. Czegoż jednak nie są zdolne złośliwe języki ludzkie?... Zaniepokoiło to nieco Zbigniewa, lecz z nią się zeszedłszy, zostawał zawsze utwierdzony w tem, co mu ona zaręczała. Słowa bowiem tej kobiety, miały w sobie coś tak przekonywającego, iżby nawet największego niedowiarka przekonać musiały. Mimo to czuł on, że na widok brata tego budziła się w nim zazdrość, jakiej dawniej w sobie nigdy nie doświadczał. Widząc zaś obojętność jej w stosunku do tamtego, i pewną nawet swobodę w zachowaniu się ku sobie obojga, zwykłą przy tak bliskiem pokrewieństwie — uspokajał się powoli, lecz mimo to zawsze mu jakoś brat ów był nie na rękę. Nieraz znów dziwił się sam sobie, czego tu chce właściwie, jak gdyby jej zazdrościł, że ma przecież kogoś z rodziny, co jej znośniejszem czyni wygnanie?... Żali może Zbigniew mógłby dziś zastąpić miejsce jego?... Zbigniew, sądat i niewolnik, miałby sumienie przykuć kobietę do swego rydwanu... kobietę, która za lat kilka będzie już wolną i wróci do kraju swego?... Ale tu właśnie na tę myśl powrotu czuł, że się w nim krew burzy...

Lecz się sam tego przeraził. Jak to? On sam wygnaniec, chciałby ją widzieć dłużej jeszcze nieszczęśliwą?... Zbigniew cierpiał dziś... namiętność i sumienie szarpały piersią jego, jakby kleszczami. On sam nie mógł pojąć, czego właściwie chce od niej?...

Ale przyjaciele jego wiedzieli. Oni się trzeźwiej zapatrywali na stosunek młodzieńca do tej niewiasty. Wiedzieli, że Zbigniew jako młody ulega prawu powszechnemu natury ludzkiej, tu zaś w tym kraju prawie nie było niewiast, któreby mogły wyrzucić jakie na nim wrażenie. Pospolite przestępczynie, lub żony nader prozaiczne czynowników tutejszych, nie były to tego

rodzaju istoty, jakieby mogły obudzić gorętsze uczucie w młodzieńcu skłonnym do marzeń.

Tłómaczono też sobie w ten sposób, iż Zbigniew pierwszy raz zeszedł się na wygnaniu z kobietą, która nie tylko dla niego samego mogłaby być niebezpieczną. Lecz bardziej ich jeszcze zatrząwać musiało, iż towarzysz niedoli w dniach późniejszych zdawał się kryć przed przyjaciółmi ze swoim uczuciem, o którym oni przeczuwali, iż opanuje dziś całą jego istotę.

Atoli nie tylko Zbigniew jeden był tu, który budził w nich obawę, znajdowali się i inni, których zachowanie się i pożyte wesołe, z towarzyszami obcego rodu, budziły niesmak w Ksawerym i kapłanie. Oni bowiem inaczej pojmowali wygnanie, chcieliby też i we wszystkich widzieć ten sam poważny nastrój, jaki przystoi wygnańcom polskim. Kapłan, mimo że był zajęty czynnością swoją w szkole, i doktor, choć sprawy lekarskie zabierały mu czas wszystek — mimo to obaj towarzysze nie spuszczały z oka innych wygnańców, czy oni byli w wojsku, czy na deportacyi. Dlatego też starali się zawsze zbliżać do każdego z nowo tu przybywających.

I tak zdarzyło się razu pewnego, że nasz kapłan zeszedł się niespodzianie z takim, który właśnie co ze stron Owruckich z nową przybył partyą. Teraz się bezzwłocznie zaczął rozpytywać o to, co się dziś dzieje w okolicy, którą opuścił... mianowicie ze drzeniem oczekiwał, co też usłyszy o losach dalszych nieszczęśliwego swego klasztoru a pozostawionych tam braci zakonnych. Czy już tak wszyscy sprzeniewierzyli się wierze, a nikt nie stawiał nawet oporu prawosławiu?... Lecz tu dowiedział się, że klasztor jego wiele ucierpiał prześladowania, raz po raz były tam indagacye i aresztowania, nasyłano im różnych ludzi...

— Ale oni nareszcie — dodał kapłan z goryczą — przeszli na prawosławie?...



— Kto przeszedł? — była odpowiedź. — Klasztor w Owruczu pozostał przy swojej cerkwi

— Co ty mówisz, człowieku?

— Tak, mimo pogroźek i prześladowań — dołożył tamten — oparli się... oni potracili przez to dóbr niemało klasztornych... odebrano im niejedno... lecz wiary im nie zdołali odebrać.

— Święty Boże! wielki Boże! — zawołał kapłan wzruszony, wzniosłszy ręce do góry, potem dodał: — Więc mnie tu okłamano?... A jam krzywdę czynił moim braciom w klasztorze, iż tak łatwo przejść mieli na schizmę?...

— Nie tylko oni — dodał przybyły — lecz i wiele innych duchownych i klasztorów musiało stawić opór niemały. . Prawdać, że nie wszyscy... bo straszne były zabiegi i pogroźki, prześladowania wiernych, a chytre ponęty dla słabszych... W całym kraju wre dziś, i skryta tam i otwarta jest wojna między Unią a Schizmą... Poleczniki carskie uwijają się wszędzie, lecz i unici nie zasypiają sprawy. Powszechna wszędzie wojna... chaos w sumieniach ludzkich! Gmin często nie wie, czego ma się trzymać właściwie. Gdzie księdza wywieziono w głąb Moskwy, a został pop na parafii, tam lud nie chce chodzić nawet na nabożeństwa, latami zostają dzieci niechrzczone, umarłych zaś chowają nieraz bez duchownego... W wielu miejscach wygnano nawet popa, w innych znowu sprowadzono go pod bagnetami. Wszystko nam zagraża, ale i opór jest niemały. Jeśli padniemy, to chyba na pobojuwisku!

— Wielki Boże! — zawołał kapłan — A ja tutaj dziś w niewoli!... Ach! nigdy nie czułem się tak szczęśliwym, lecz również i tak nieszczęśliwym, bo ja tu od nich dziś daleko — skrępowany!... Boże! cobym ja dał za to, żebym był dziś bliżej nich!... Za rok jeden, za pół roku, dałbym resztę mojego żywota!... Ach! co tam resztę tego żywota!? Bo co moje życie warte, jeśli ono tam nie będzie na usługę!

Kapłan był w coraz większym niepokoju. Gdy się dowiedział, co się dzieje w jego ojczyźnie, tysiące myśli przeróżnych budziły się w jego mózgu. Widać było, że w duszy jego coś się gotuje... Ale on ogromnie cierpiał, czując swoją bezsilność. Tutaj tylu jest rodaków, parę tysięcy ludzi najszlachetniejszych, gotowych zawsze do służenia dobrej sprawie, ale oni wszyscy wraz z nim przykuci są tutaj — do tej ziemi lodowatej — tysiące wiorst oddaleni od ojczyzny! Okropne położenie.

Kapłan nieraz godzinami wpadał w zadumę, poznawszy atoli swoją bezsilność miał tylko rozpacz beznadziejną w piersiach.

Chwilami schodził się z druhem swoim Ksawerym... Obaj się naradzali, zdala od innych, skrycie, tajemniczo... Lecz kto tam wiedzieć może, o czym oni mimo to mówili?... Nieszczęśliwi! rozbierali jeno nieszczęśliwy stan dziś Ojczyzny, a swoją własną bezsilność.

Czasami zdawało się, jak gdyby spokój na chwilę zawitał do ich duszy, jak gdyby się nawet pojednali ze stanem dzisiejszym i ze swoją bezsilnością: bo płynąć przeciw wodzie przecież niepodobna!.. Ale tego znów zaprzeczała ruchliwość ich w dniach następujących; trwało to jednak nie długo, bo potem wrócili do zwykłych swych czynności — a stosunek ich do towarzyszy rosyjskich pozostał jednakowy.

I tylko jeszcze wtedy wracali do dawnych myśli, kiedy kto nowy przybył z Ojczyzny. Wówczas ksiądz Sierociński nie omieszkał dalej wypytywać się szczegółowo o to, co się dzieje w kraju; zawsze go przecież obchodzić musiało, co tam się dziś działo w kraju... mimo pewności, iż on temu wcale nie poradzi.

Drudzy znów z wygnańców nawet się tak wiele nie zajmowali, co się dzieje w ich ojczyźnie, jakby już zapomnieli, pojednani z losem swoim dzisiejszym; nieraz bowiem widziano niedawnych jeszcze żołnierzy z powstania, jak dziś fraternizując,

z moskiewskimi towarzyszami wyspiewywali tylko sobie piosnki wesole, oddani całkiem przyjemnościom chwili.

Zbigniew zaś zajęty myślą i uczuciem jednym i tem samem, walczył z sumieniem i uczuciem swoim. oddalając się się częściej od towarzyszy, gdyż nastrój ich weselszy nie licował wcale z nastrojem jego wewnętrznym. Niemile go nawet uderzyło, iż wielu z nich w przytomności jego lekceważąco wyrażali się o płci drugiej, wyspiewując częściej pieśni hułaszcze razem z moskiewskimi kolegami, niepomni, iż nastrój tego rodzaju wcale nie odpowiada położeniu ich jako wygnañców. To go od nich odpędzało; lecz mimo to nieraz widział, że ci sami, którzy w przytomności kolegów moskiewskich oddani byli takiej pustocie i cynicznemu tylko rozgoworom, kiedy przeciwnie znajdowali się sami ze swoimi tylko, wówczas naraz jakoś poważnieli, jakby przybrawszy inną zupełnie naraz postać. Uważał nawet nieraz, iż gdy który z druhów polskich zaczął już czasem przebierać miarkę w częstowaniu siebie i drugich: wtedy na jedno tylko spojrzenie, ostre, wymowne, starszego towarzysza, naraz ustawał, jakby się w jednej chwili opamiętał. Czasami też podawano sobie jakies znaki tajemnicze, im samym tylko zrozumiałe. To wszystko dawało do myślenia, że między nimi musi być koniecznie jakaś tajemnica

Dlaczego zaś on nie jest wtajemniczony?... Czyli mu dziś nie wierzą?.. Nieraz go zastanawiało, że druh Ksawery uchyla się od niego, a zagadnięty o czem, coby ich obydwóh obchodzić mogło, wymijał tylko dając odpowiedzi, jakich dawniej nie dałby nigdy. Żali on się dziś zmienił, albo czy tylko w stosunku do Zbigniewa używa takiej manipulacji.

Nawet i mistrz jego młodości, ksiądz Sierociński, bardziej dziś zdaje się być w obec dawnego ucznia wstrzemięźliwym, a poglądając na młodzieńca choć go wpradzie uważa baczniej, jednak milczy, a mileżąc odchodzi, czasem tylko westchnąwszy.

OBRAZ PIĄTY.  
Sprawa Omska.

---

I.

Razu pewnego zbliżył się do młodzieńca Przeor, a uważając go chwilę, odezwał się nareszcie:

— Zbigniewie, synu!... Ja wiem, żeś ty się zapomniał na chwilę, bo kobieta opanowała umysł twój, lecz to przejdzie... Ono przejść musi!

— Ależ... nie — wyjąkał młodzieniec, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

— Ono przejść musi! — powtórzył silniej kapłan. — Bo ty wiesz, że jesteś dziś wygnańcem... a co jest obowiązkiem polskiego wygnańca?

— Czyliż mnie dzisiaj, ojcze, masz za niewiernego Ojczyźnie?... Ja sam widzę, że mnie swoi unikają... Ach! powiedz, czemu tak czynicie?... Żali Zbigniew Zaręba już dziś inszym?...

— Wiem, żeś ty nie zostałeś inszym — rzekł kapłan — i dla tego ci wierzę, bo ciebie znam... Wiem przecie, że sprawy ojczyściej nie zdradzisz...

— Co? ja? — wypatrzył się młodzieniec zdziwiony. A kapłan dalej mówił:

— Mogłeś na chwilę zapomniawszy się czem innym zając, ale gdy będzie szło o sprawę ważniejszą, ojczyść — wtedy ty

się nie cofniesz? Ty będziesz uważnym, Zbigniewie, jak takiemu przystoi?...

Zbigniew się wypatrzył — kapłan zaś dodał:

— Nie żądam od ciebie przysięgi, bo cię znam... dość mi na słowie twojem, że nie zdradzisz nawet wtedy, gdyby cię brano na tortury?

Zbigniew wpatrzył się badawczo w mówiącego, przeczuł bowiem, że tu się coś gotuje, o czym on długo nie wiedział.

Kapłan odezwał się następnie:

— Ja nie potrzebuję nawet słowa twego, bo znam ciebie. Tylko się pytam, czy jesteś pewnym i masz dziś tyle siły, że poświęciłbyś w razie potrzeby wszystko dla sprawy wspólnej.

Zbigniew popatrzył na kapłana — i mocniej drgnęło w piersiach jego. Poznał, iż kapłan ma mu coś do powiedzenia, co dawniej jeno przed nim ukrywał.

— Dla tego pytam się ciebie jeszcze raz — mówił dalej kapłan — czy czujesz w sobie dość siły, że wszystko poświęcisz dla wspólnej sprawy?

— Jak możesz, ojcze, o to pytać?... Ty mnie krzywdzisz podobnem pytaniem...

— A zatem wiedziałem o tem... Ja tobie wierzyłem. . Wiem, że myśli poważniejsze zwięją wszystkie inne. Chodź zatem ze mną! A co obaczysz, niechaj będzie tajemnicą. Ale gdybys nie czuł w sobie dość siły — wtedy zapomnisz, żem ci kiedy o czem wspominał, i żeś cokolwiek wiedział. Ja ci zawsze wierzyłem.

Młodzieniec poszedł za kapłanem. Idąc czuł, jak nerwy jego drgały, a myśli tłoczyły się w rozognionym mózgu.

Kiedy weszli obaj do celi słabo oświetlonej, zastali tam grono innych zebrane. Na stołach zaś leżały karty i flasze z gorzałą. Lecz nastrój tu zupełnie inny panował, niżeli w zabawiających się grą w karty.

Na widok wchodzących naraz urwano tam rozmowę nieco

cichym wiedziony głosem; niektórzy z nich spojrzeli badawczo na młodzieńca... Szokalski popatrzył na księdza Sierocińskiego z pewną obawą.

— Nie bój się, bracie — odezwał się kapłan. — Ja go znam, a za niego dziś ręczę.

— Czy wie już? — mruknął do kapłana z pewną obawą Ksawery.

— Nie jeszcze — odpowiedział kapłan — lecz teraz się dowie.

— Czy przysiągł już, albo dał słowo? — zapytało kilka głosów.

— Nie potrzeba — odrzekł kapłan. — Przecież go znam, jak siebie samego.

— Nie o to idzie — dodał Ksawery. — My go wszyscy znamy... Lecz czy on zachowa zawsze tajemnicę?... Młodość jego a krewkość nie staną na przeszkodzie?

— Ależ ta młodość i krewkość — dodał młodzieniec, co się już zorientował — zawiodła mnie aż tutaj na Sybir — a wy się dziś pytacie, czy ona nie stanie teraz na przeszkodzie?...

— Wierzmy ci, wierzmy — odezwało się kilka głosów — i nie żądamy od ciebie słowa. Oto masz rękę naszą!..

— Więc to związek?... Młodzieniec czuł, jak na słowo to płonęło mu w piersiach.

I podawano mu rękę. — On był jeno w niejakiem rozgoryczeniu, iż o nim powątpiewano; lecz sam czuł, że zasłużył na to zachowaniem się dotychczasowem, lecz teraz postanowił żyć tylko myślą dla Ojczyzny.

— Nie baczycie — odezwał się kapłan — jak na widok wasz i gotujący się związek spłonęło lice jego?... On nie stchórzy. Ten, co z innymi stoma odważył się w obec armii nieprzyjacielskiej zająć niegdyś miasto, ten się dziś nie skryje, kiedy uderzy godzina.

— Tego jesteśmy wszyscy pewni — dodał Szokalski. — Znamy

go dobrze, i wiemy, czem będzie, gdy przyjdzie do działania. Serce to gorące, skore do czynu... ale dziś niechaj to dobrze zrozumie, że nam potrzeba ostrożności, bo szpiegów i policyantów mamy dużo dokoła. My w twierdzy wroga, który jest dobrze czujnym.

— Pozwólcie, bracia — odezwał się kapłan — niechaj rozpoczną: A więc Zbigniewie Zaręba, pytam się ciebie, czy czujesz w sobie siłę, że wszedłszy między nas zapomnisz o wszystkim innym i o sprawie każdej osobistej?... W imię Wiary i Ojczyzny zapytuję się ciebie w obec nich wszystkich, czy postanawiasz dziś sobie, wszystko inne złożyć na ołtarzu Ojczyzny?..

— Nie potrzebujecie o to pytać — odrzekł młodzieniec. — Co każecie, jeśli tylko prowadzi ku jednemu celowi dla świętej Sprawy Ojczystej, na wszystkim gotów. Każecie pójść i wbić sztylet w piersi wroga, a potem w siebie: jestem gotów.

— Nie, synu! — rzekł kapłan — tego nie potrzeba. My nie skrytobójcy, ażebyśmy sztyletem wojowali. Gdyby tu chodziło o dzieło skrytobójcze, ja kapłan pierwszym odstąpił... Przecież w takim celu kapłan nie towarzyszyłby związkowi.

— Ale tu dodać musimy — odezwał się Szokalski — że my wojska nie mamy, ażeby stanąć oko w oko naprzeciw wroga i stoczyć z nim bój śmiertelny...

— Tak... tak — mruknęło kilka głosów. — Nie możemy pogardzać żadnym środkiem, który takim, jak my, pozostaje...

— Ale takim, jak my — przerwał kapłan — Pamiętajcie, bracia, że my w świętej Sprawie podnosimy ręce, niecnymi krokami nie możemy dochodzić do swojego celu! Z bronią w rękę może iść żołnierz — ale nigdy z nożem, ani sztyletem.

— Ależ wiemy, że tego nie będzie trzeba — dodał Szokalski. — Wszak będziemy dość liczni, ażeby się wybić z tej twierdzy.

— Więc mamy się wybijać? — rzekł Zbigniew. — Chwała Bogu, że na tym punkcie stoi!...

Zbigniew czuł, iż zbliża się chwila, jakiej zawsze tak gorąco pragnął. Dotychczas on cierpiał, teraz będzie działał. Czuł jak mu świerzbiały ręce — bój, to jego życie, choćby miał zginąć w boju: życie i tak nie wiele warte.

Zbigniew ujrzał tu dziś niejednego, którego i przedtem widział, ale znał z innej strony. A więc to byli związkowi? — pomyślał teraz. — Toż oni tylko udawali wesołość i pustotę w obec moskiewskich kolegów?... Teraz rozumie ich zachowanie się i owe śpiewki hulaszce.

Zbigniew się dowiedział, że w twierdzy tworzy się tutaj związek, którego celem jest z bronią w rękę wybić się stąd i udać się na step Kirgizów wolnych, który tu się zaraz rozciąga za twierdzą. Polaków jest bowiem wielu w twierdzy i niemało w mieście a okolicy. Znajdzie się wszystkich około trzech tysięcy. Gdy chwila nadejdzie, dowiedzą się wszyscy — a wtedy nikt się nie cofnie, by się nie wyswobodzić z wygnania, i zamiast tu gnąć, zostać jeszcze na usługę Ojczyźnie.

Ale Zbigniew zdziwił się, iż w związku, który utworzyli ksiądz Sierociński i druh Ksawery, znajdują się nie sami jeno Polacy?...

To poznał po nim Mieledin, Rosyanin, odezwał się więc do młodzieńca:

— Ciebie dziwi to, druhu nasz Polaku, że między nami widzisz i Rosyanina. Ale czyś zapomniał, iż my to byliśmy, którzyśmy przed kilkunastu laty utworzyli wielki związek na naszego i waszego wroga — na Mikołaja?.. Gdyby w roku ośmset dwudziestym piątym udał się był nasz spisek, nie posyłałby dziś Mikołaj tylu naszych i waszych na Sybir?... Ha! nie udało się!... Ciemnota wojska, przyzwyczajenie swojskich zwierząt do jarzma, podłość i egoizm oświecześniejszych a zdemoralizowanych przeszłymi rządy, stanęły po stronie tyрана, który ich zdeptał — a nas, cośmy dla nich powstałi, nas, których nie rozstrze-



lano, rzucono w to bezludzie... Dziś nas dekabrystów setki tutaj jęczą, i „na posieleniu“ sybirskiem i w katordze sybirskiej... Ja zaś dźwigam lat już jedenście karabin carski...

— Lat jedenście? — zawołał Zbigniew.

— Tak, jedenście lat, a ileż to w tych jedenstu było dni długich, beznadziejnych. Dla dawnego spiskowca i dekabrysty pobyt w pułku carskim gorszy, niżeli katorga. Mikołaj umie zadawać katusze ludziom, którzy nie wegetują jeno, lecz *myślą*. Ale teraz postanowiliśmy wraz z wami wydobyć się z tego więzienia, i dalej dzieło prowadzić, jeśli nie w kraju, to za granicą: tam będziemy wszelką bronią z nim walczyli.

— Lecz nam teraz o tem myśleć, jak się stąd wydobyć — rzekł Szokalski. — Tu mamy liczny garnizon.

— Ależ naszych jest niemało — dodał druh Jabłoński. — Tylko należy związek rozszerzać czempredzej — a nie odciągać.

— Ale pomyśl, bracie — dodał kapłan — spiski się nie udają, jeśli wielu bywa wtajemniczonych. Przez to tyle już związków upadło, i tyle krwi się wylało bez skutku. Kiedy się chwila zbliży działania, wtedy dzień, dwa, przed dniem naznaczonym, wtajemniczymy i innych.

— Ja także jestem tego samego zdania — dodał druh Szokalski. — Wybadywałem niejednego i w mieście i w okolicy... Wiem, że pójdą za nami, kiedy im powiemy. A wtedy zaraz nocy następującej z bronią w rękę wydobędziem się z twierdzy... ale kto stanie naprzeciw — ha! na tego mamy broń!... Jeśliby zaś przyszło bić się z całym garnizonem — może stać się walka bardzo zażartą.

— W nierównym boju nie damy rady — dodał Mieleidin — na wielu naszych liczyć nie możemy... niejednego bowiem trwoga odwiedzie w chwili ostatniej. Ale im mniej nas będzie od wrogów naszych, tem bezwzględniej postępować nam należy. Ja myślę, koledzy, że my tylko wtedy, gdy wszystko we śnie bę-

dzie pogrążone, może po latach jakich popite i zmęczone — od razu — bez pardonu...

I tu urwał, potem dodał:

— Lecz naprzód zawsze wypadnie wysłać tych, co straż na wałach i u bramy ogłuszają.

— Jak to rozumiesz, bracie? — odezwał się kapłan.

— Jak to rozumiem? — odmrucnął Mieleidin. — Kolbą po czerepie, bagnetem w piersi — a wtedy straż nie da sygnału.

— Co? niespodziewanie, skrytobójczo? — rzekł kapłan. — Żali my mordercy?

— A czyliż bez krwi rozlewu to się stać może? — mruknął Mieleidin

— W otwartym boju, jeśli kto nam opór postawi, ale nie z zasadzki na śpiącego — dodał z oburzeniem kapłan

— Ależ to spisek, ojczy — odezwał się Mieleidin — spisek nie wybiera broni?

Tu wniósł się druż Szokalski, ażeby nie przyszło do rozdzielenia, dodawszy:

— Dziś o to spierać się nie będziemy... My nie wiemy, co się stanie. Być może, iż nas wolno puszcza... Bo kiedy straż zobaczy tylu zbrojnych, będą musiały wolno przepuścić... Zre-sztą my ich rozbiorimy. Nie bójcie się, ojczy, my krwi ludzkiej, ile się da, zawsze oszczędzać będziemy.

— Ależ ja się boję, by u was nienawiść sumienia nie zagłuszyła?... Bo żołnierz carski, to także człowiek, zwłaszcza postawiony na straży... On wystawiony jest na wszystko.

— Ależ to walka jest na śmierć i życie — odezwało się kilka głosów.

— W boju, w walce gorącej... nie mówię — lecz nigdy skrytobójczo — dodał kapłan.

— O to się nie potrzebujęm spierać — wtrącił druż Szokalski — będziemy, ile się da, oszczędzać... Lecz dziś co innego

rozstrzygnąć jeszcze przyjdzie. — Teraz się zatrzymał, po chwili dodał: — Na to liczymy, że jesteśmy tutaj na samej granicy stepów wolnych Kirgizów. To prawda.

— A Kirgizy w wojnie z Moskwą — dodało kilka głosów.

— To prawda — rzekł Szokalski. — Ale mimo to mogą stać wrogo w obec nas. To przecie nie społeczeństwo zorganizowane, z którym w układy pewne wchodzić można. To hordy nieokiełznane, żądzą dzikiej swobody przejęte, ale nie wolnością, jakiej my dla nas i dla innych pragniemy.

— A czyż ich nie nauczymy — wtrącił Jabłoński — iż Moskale na to twierdzą tę postawili, by im właśnie odebrać tę ich dziką swobodę?

— Tak wam się zdaje to łatwym? — wmieszał się kapłan. — A czyż wam Moskale nie pokazali, iż umieją być chytrymi a zręcznymi. Oni na dyplomacyi z Kirgizami lepiej się od was znają. Żali z tą dyplomacją nie zaszli z Uralu aż po brzegi Wielkiego Oceanu? — Po chwili dodał: — A jeśli im powiedzą, iż za cenę wydania nas zostawią ich w spokoju, zawarłszy nawet sojusz zobopólnej obrony?... Co wtedy? Żali nas nie wydadzą oni w ręce wrogom naszym?

— Wtedy — zawołał Zbigniew — pokażemy im, że i my mamy ręce, a w rękach broń!

— I narobimy siekaniny kirgiskiej — dodał druh Jabłoński.

— Dobrze prawi, dobrze — zawołało kilka głosów. — Co?... Jeszczeby Kirgizów bać się nam przyszło?...

— I utonąć we krwi naszej — rzekł Szokalski.

— I w morzu kirgiskiem — dodał kapłan. — Boć tam przecie nie oddział jeden, ani pułk tylko, lecz roje na stepach, jakby szarańczy, a stepy ich, toć nie pole jedno, to obszary, którym nie masz końca.

— Widzicież — wtrącił Szokalski — to są trudności, które

myśmy rozbierali obaj z księdzem naszym, zanim jeszcze wam zamiar nasz objawiliśmy.

Teraz się niejednen zaturbował przypomniawszy sobie, że to stepy bez końca, i roje Kirgizów liczne. Lecz Mieleidin podniósł teraz głos odezwawszy się:

— Dlatego właśnie nam się postarać należy o stosunki jak najbliższe z Kirgizami. Sojusz z nimi najściślejszy jest tu nieodzownym.

— Tak jest, tak — mruknęło kilka głosów — a Mieleidin dodał:

— Ja też pod tym względem czynię już kroki.

Tn pojrzeni na niego wszyscy, a Mieleidin rzekł:

— Wszak i w pułkach garnizonu naszych kozaków niemało mamy Kirgizów?

— Ależ to carskie Kirgizy — mruknęło parę głosów.

— Prawda, że carskie, i nie z wolnej hordy, lecz i wy wiecie, jak oni znoszą służbę moskiewską?... Czyliżby z twierdzy tej nie chcieli się wydostać tam, gdzie są ich pobratymcy? Żali im miłem dziś powietrze w tej twierdzy?

— Jak to? — wnieślał się kapłan. — Chcielibyście Kirgizów przyjmować do związku?

— Ja przecież nie mam na myśli — rzekł Mieleidin — żołdaci wtajemniczać kirgiskie, o naszym związku. Chcę tylko użyć siły ich dla nas. Ażebym tej użyć, trzeba mieć dla siebie takich, co ich, kiedy wypadnie, tam zagnają, dokąd będzie potrzeba.

— Jak widzę — odezwał się Szokalski — kolega Mieleidin musi mieć takiego na myśli, co będzie miał władzę nad dziczą swoją.

— I który toby był? — zapytało kilku.

— Wszak nie kto inny — rzekł Mieleidin — jeżeli nie Kara Achmet?

Teraz nastało milczenie. Po chwili dodał Mieleidin:

— Czyliż więc ten oficer konnych kozaków na to nie jest jakby stworzonym?

— Dobrzeby to było i niemało pomogło... Ależ czy na niego liczyć można? — zapytał Szokalski.

— Jam go już badał — rzekł Mieleidin — i poznałem, że pójdzie z nami. On nie zapomniał, że pochodzi z chanów jednego z pokoleń kirgizkich, dawniej wolnych, a dziś wliczonych do carskich niewolników. Czuje, że on, ich księżę, jest dziś tylko oficerem carskim, którego każdy major i pułkownik wypoliczkować może. On zawsze wrogiem jest caratu.

— Być może — rzekł Szokalski. — Ależ czy za nim pójdą jego dzisiejsi żołnierze?

— Co? to dziatwa stepów — odpowiedział Mieleidin. — Jako ptaki, zaczuwszy świeże powietrze, zapragną wyrwać się z klatki carskiej.: Czyż nie patrzą się dzień w dzień, że tu obok twierdzy rozciągają się stepy, na których bracia ich bronią się przed napaścią caratu?

Teraz odezwał się kapłan, który się był nad tem przedtem zamyślał:

— Nie przeczę temu, bracia, iż oni widzą stąd step wolnych swoich pobratymców, i sami jako dzikie ptaki radziby stąd tam wzlecieć i pohulać po swojemu. Lecz te same Kirgizy są dziś pod komendą carską, i czynić będą wszystko, co im ta komenda każe, gdyż inaczej knut ich czeka i pałki. Kara Achmet może ich w chwili podburzyć, a nawet choćby roznamiętnić do oporu, i będą gotowi do odlotu, ale wtem nagle zagra carska trąba... a co wtedy uczynią jego Kirgizy?... Ot, ze spuszczonej skrzydły, potulni już i pokorni, pójdą za odgłosem tej trąby i będą strzelali na odgłos tej trąby, do kogo im każą, na własne pobratymce swoje kirgiskie.

— To zależy, ojcie — przerwał Szokalski — od pokierowania nimi. Druh Mieleidin musiał już, jak sądzę, nad tem pomysleć.

— Dlategoż ja wiem dobrze — odezwał się Mieleidin — że to dzicz... Ale oni wiedzieć nie potrzebują, w jakim celu ruszy ich oficer... mogą nawet rozumieć, iż to się dzieje z rozkazu carskiego, a dopiero, kiedy już będą dobrze za wałami twierdzy, wówczas dowiedzą się o prawdzie. A za to ręczę, iż za swobodę swoją będą k'uć i mordować...

— Właśnie też o to się boję — wtrącił kapłan — że jeśli oni nas nie zdradzą, toć będą już tylko mordowali. My przecież nie ich mordów żądamy, lecz wolności dla siebie i drugich.

— Ależ to tutaj widzę ze wszystkiego — rzekł Mieleidin — że wy, Polacy, boicie się mordów. Czy wy się łudzicie, że oni nam choćby i z tej twierdzy wyjść tak spokojnie dadzą — jeśli choć strażę na wałach w nocy nie pozakłujemy?

— Jeśli opór zechcą nam czynić — dodał czempredziej Szokalski.

— A jeśli wcale nie podniosą oporu — dorzucił Mieleidin — jeżeli spać będą, zmrożeni zimnem? Toć my ich mamy zostawić na miejscu, ażeby zbudziwszy się, alarm potem podnieśli?

— Ach! my przecież śpiących nie będziemy zabijali — mruknął Szokalski.

— Właśnie wtedy ich... pozakłujemy — dokończył Mieleidin.

— Boże! co wy mówicie? — odezwał się kapłan z oburzeniem. — Zabijać ludzi, którzy nie mogą się bronić!?...

— A my się możemy bronić, ojcie? — rzekł Mieleidin. — Czy oni pytają się o to?... Carskie rządy dają nam broń w ręce, by odeprzeć gwałt gwałtem?... Oni bezbronnych depcą, katują. A co Mikołaj uczynił z dekabrystami?... Czy my kradli może albo łupili, jak jego czynownicy, że nas gorzej zbrodniarzy tyle lat katuje?... Za co?... Żeśmy uwierzyli w możliwość poprawienia losu braci naszych... Więc my zdeptani, skatowani, żyjący

w tej pustoszy, mamy dziś żałować krwi jego niewolników?... O! gdybym mógł, jabym z rozkoszą we krwi płużył caratu całego... jabym ich trutował, jak nas car ich trutował!...

— Przez Bóg żywy! — zawołał kapłan. — Mnie dreszcz przechodzi grozy! To słowa zemsty pogańskiej, a nie oburzenia człowieka chrześcijańskiego! My bojownicy świętej Sprawy, a nie mściciele krzywd tylko własnych!... A jakim prawem nieść chcemy innym swobodę, jeśli chcemy ludzi niewinnych za winy ich rozkazicieli mordować?

Na to wmieszał się Szokalski, chcąc koniec położyć takiemu obrotowi rzeczy, odezwałszy się:

— Przebacz, ojcze, temu, co tyle lat za swoje poświęcenie się wycierpiał. On się uniósł, ale ja wiem, że i on to rozumie, iż w szale nienawiści, ani w gorączce oburzenia nie organizuje się związku, by we krwi wroga namiętnie tylko płużyć, bo wróg wówczas łatwiejszą miałby sprawę z takimi związkowymi. Tu trzeba cierpliwości i zimniejszego rozmysłu — inaczej zapal, zanim wejdzie w fazę czynu, w pierw się sam w sobie przepali. Błagam cię dziś i zaklinam, bracie Mielelinie, opamiętaj się i daj pokój słusznej swojej zemście. i działaj z rozwagą, cierpliwie, jakośmy sobie wszyscy przyobiecali. Wiesz przecie, że pierwszy, w którego duszy powstała myśl dzisiaj, i który zorganizował nasz zwiątek, jest kapłanem.

— Dziękuję ci, bracie, żeś mnie przywiódł do opamiętania -- odrzekł Mielelin. — Czasem bo przychodzą chwile słabości na człowieka, co tyle wycierpiał niesprawiedliwości, iż nawet zapomina, że ma do czynienia z wrogiem, który zimno sprawy swoje układa, i zimno wbija drugim w pierś gorącą żelazo... Wybaczcie mi! Ja już będę cierpliwym, tak, jak wymaga się od dawnego spiskowca.

— A więc przystąpmy teraz do dalszego postanowienia -- zagadnął Szokalski.

— Widzicie, bracia — odezwał się kapłan — że dając folgę krwi gorącej nie zastanowiliśmy się jeszcze, którądy się nam potem obrócić... Bo wybicie się na step kirgiski — toć jeszcze nie wszystko. Przypuśćmy zatem, bracia, żeśmy przeszli już te stepy nieschodzone, które się przed nami roztaczać będą : dokądże nam się potem zwrócić?...

— To właśnie — wtrącił Szokalski — rozbieraliśmy jeszcze wtedy sami długo z księdzem Sierocińskim, mianowicie. czy potem przyjdzie się udać ku Anatolii do Europy, czyli też dążąc w kierunku do Indyj do portów angielskich?...

Na te słowa wypatrzył się ten i ów, któremu się zdawało, iż wybicie się z twierdzy na stepy kirgiskie już będzie całą wygraną Szokalski zatem dalej ciągnął:

— Ja zawsze byłem zdania, że droga na Anatoliję jest bliższą.

— Ja jestem za tem — wtrącił druh Jabłoński — bo Anatolia, toć przecież posiadłość sułtana — a Turcyja zawsze widzi w carze wroga swego

— Macie słusność — odezwał się kapłan — że Turcyja widzieć musi w carze wroga, który na jej ziemie ręce chciwie wyciąga. Lecz tak rozumieć mogą jej dyplomaci, no, może i paszowie niektórzy — jednak rząd sułtański za nadto jest słabym, ażeby zdołał w karności utrzymać fanatyzm ślepych hord swoich. Turkomany, Tatary, a nawet i pospolici Osmanie w nas przechodzących przez ich ziemie widzieć będą nie wrogów wroga ich, Moskwy, lecz tylko giaurów, nieprzyjaciół prawowiernych. Żali oni nam dadzą przejść spokojnie przez swe ziemie?

— Wszak mamy broń? — wtrącił Zbigniew. — Bronią przechód sobie wymusimy.

— Więc my mamy wnosić bój w ziemi Sułtana? — rzekł kapłan — Niemaló zostało nam do czynienia z carem, jeszcze mamy zaczepić drugiego wroga?... Czy wyście na tem nie pomysłeli, że przy naszej liczbie, przy największej odwadze, za-



nim doszlibyśmy do Bosforu, jużby o nas i wieści nawet nie zostało?..

— A zatem zawsze, jak widzę — dodał Szokalski — pozostaje nam droga daleka w kierunku ku Indjom?.. A Indye, to przecież nie sama tylko prowincya angielska?.. To masa ludności gęstej, która nicby nawet nie zrozumiała, poco my kraj ich nachodzimy. A tam miast i wsi gęsto zaludnionych jest bez liku...

— Ależ my nie mamy wyboru? — wtrącił Mielecin. — Tyle tylko wiemy, iż rząd angielski, to nie turecki.. Prędjaz zatem rozkaz swój każdy przeprowadzi. A czy my tam wchodzić mamy jako nieprzyjaciele z bronią w rękę?..

— Jak to? Bez broni? — odezwało się kilka głosów.

— A cóż nam to trochę broni naszej pomogłoby? — odezwał się kapłan. — Ale i to muszę wam powiedzieć, iż za prędko myślicie o Indjach. Muszę wam przypomnieć, że nawet przeszedłszy już stepy kirgiskie i innych tamże hord, natrafimy jeszcze na władztwa Chiwy, Khokandu, Bokhary — a te jeszcze nawet nie są w wojnie z Rosyą. One się dziś jeszcze nie domyślwią, że car po zwalczeniu hord wolnych na stepach zabierze się następnie do ich koron.. Oni są dzisiaj jeszcze w nieprzyjawnym nawet stosunku do tych hord pobratymczych; mogą przeto jeszcze wchodzić w sojusz i traktaty z Rosyą przeciw tym pobratymcom. Dlatego, bracia moi, nie radźmy dziś jeszcze nad tem... Ja wam chciałem tylko pokazać trudności niemałe; które nas następnie czekają. Będzie czas mówić o tem, jeśli Bóg nam pozwoli wydostać się już z twierdzy na stepy kirgiskie — i dalej stamtąd ruszymy. To zależeć będzie od przyszłych okoliczności. Decyzya wtedy zapaść może za Bożem natchnieniem.

— Tak, dobrze mówi ksiądz Sierociński — rzekł Szokalski — to się wówczas pokaże. Naszą rzeczą dziś jest, ażebyśmy

się z twierdzy wydobyć mogli, po za granicę carską na step Kirgizów, i z nimi w sojuszu pozostali.

— Otóż to właśnie — dodał Mieleidin — o co chodzi. Dlatego zależeć nam dziś musi, ażeby nasz związek był jak najliczniejszym, bo wtedy nie tylko wybijemy się z twierdzy, ale liczba taka szacunek sobie urobi tam, którędy przechodzić jej wypadnie.

Teraz odezwał się kapłan:

— Naszą rzeczą jest wprawdzie starać się, bracia moi, by związek był silniejszym — lecz siła ta nie zasadza się tylko na liczbie, lecz na duchu jednakowym tej liczby. Przedewszystkiem pozwólcie mi, że was ostrzegam muszę przed za nadto skorą chęcią wtajemniczenia przed czasem wielu towarzyszy. Nie mówię wam dlatego, ażebym o braciach miał złe wyobrażenie, nie twierdzę, żeby zaraz zdradzać miano... Ja nie chcę uważać natury ludzkiej jako złej, raczej uważam ją jako dobrą. Jednak wierzajcie mi, ile to człowiek złego robi nieraz, nie w skutek złej woli, często nawet w skutek najlepszych swoich chęci! W takiej sprawie, jak nasza, ufać nie możemy nawet i ludziom najlepszych i najgorętszych zamiarów, których zapal nieostrożny mógłby na myśl naprowadzić wrogów na to, co się między nami przygotowuje. Dlatego, bracia, agitować nam dalej i utrzymywać ducha w jednakowym naprężeniu — ale z rozmysłem — i uważać ludzi, do czego który jest zdolnym, lecz się nie oddawać złudzeniom! Dla związku wystarczy nam dwustu... niechajby i trzystu było!... W ostatniej chwili niechaj nas będzie w pogotowiu parę tysięcy — jednak to w ostatniej — dopiero w ostatniej.

— A tak, prawda — odezwało się kilka głosów. — Polaków tu... w twierdzy... w mieście i w okolicy... będzie do trzech tysięcy...

— Iluż mamy dotąd? — rzekł Mieleidin.

Wtem pokazał Szokalski spis tych, których zamyśla werbować, a między tymi popodkreślani byli ci, których już ma w ręku.

Ksiądz Sierociński zaś wzięwszy do rąk, zaczął czytać uważnie. — Po przeczytaniu rozdarł go na części i rzucił w piec, by zgorzał papier.

Szokalski popatrzył na niego i rzekł :

— Rozumiem cię, ojcze... Ja też tylko na tę jedną chwilę spis ten przygotowałem... bo uważajcie wszyscy koledzy, że wszelkie spisy członków w tworzącym się związku są zawsze najgorszem. One najłatwiej narażają spisek każdy na niebezpieczeństwo.

— A teraz, bracia — rzekł kapłan — rozejdźmy się, bo już czas, ażeby dziś nie wzbudzić podejrzeń. Dość dziś na tem, że Mieleidin bierze na siebie Karę Achmeta, aby go wtajemniczyć i zbadać siły, jakie ten w swoim czasie wnieść może, potem on zda nam z tego sprawę. Ależ, bracie mój, uważaj dobrze, co bierzesz na swoją głowę, i nie wierz tylko odwadze i zapalowi — zbadaj dobrze poprzód człowieka, i zwiąż go przysięgą według jego wiary. On ma przecież swoją wiarę... Niech dochowa jej przez przysięgę. Gdyby złamał...

— Ja wiem, ojcze — rzekł Mieleidin — ile biore odpowiedzialności na swoje barki. Zawierzcie też roztropności człowieka, co miał do czynienia lat tyle z chytrym wrogiem.

— Niech ci Bóg błogosławi! — rzekł kapłan. — Więcej nie mogę dodać. A wy bracia wszyscy, starajcie się również, o ile ostrożność pozwala, wciągać do związku, lecz zrazu nielicznie; więcej bowiem uważajcie na osobę, niż na liczbę. Nadewszystko zaś tak się zachowujcie, z wszelką swobodą, aby nie budzić podejrzeń zawsze czujnego wroga. Unikać zatem szeptów nie wiodących do celu, tak samo i schadzek wszelkich. Bądźmy swobodni wobec Moskali, niechaj oni myślą, żeśmy o wszyst-

kiem zapomnieli, cośmy mieli zawsze na sercu... i że chcemy dziś żyć i używać, jak oni. Porozumiewać się nam, jak dawniej. Przecież każdy z nas tu obecnych i innych wtajemniczonych wie, do kogo się udać, aby doszło do mnie lub do brata Szokalskiego.

Wychodząc po dwóch, trzech, z izby — wypróżnili ją zwolna, a pozostali tylko kapłan i lekarz, którzy mieli jeszcze niejedno w sprawie tej do załatwienia.

## II.

Zbigniew wyszedłszy stamtąd był pełen nowych, świeższych myśli i nadziei, bo dziś należy do spisku — i będzie działał. Myśl ta opanowała całe jego jestestwo. Znalazł dla siebie znowu zadanie, dla którego postanowił wszystko poświęcić — a przekonają się towarzysze, iż jemu zawierzyć można, i nie pożałują, że go wtajemniczyli. Myślą o spisku on się na prawdę teraz rozkoszował — a kto na niego popatrzył, poznał, iż młodzieniec na prawdę coś ukrywać musi.

Zdarzyło się też, iż niektórzy ze związkowych, co na tem zebraniu nie byli, nie wiedząc o przynależności Zbigniewa do spisku, zaraz poznali, że i on już tam należy, z czego młodzieniec wcale nie był kontent, iż nie potrafił ukryć, co było u niego we wnętrzu. Postanowił zatem zmienić zachowanie swoje, i miasto milczenia i dawniejszego niezadowolenia od razu stał się wesołym i gwarliwym w obec rosyjskich kolegów. Zaczął teraz nawet wyspiewywać hulaszcze wraz z nimi piosnki, lecz czynił to w ten sposób, iż go przestrzedz musieli inni związkowi, gdyż tu za nadto widocznem było udawanie, a niewtajemniczeni rodacy zaczęli mu nawet robić ostre wyrzuty, tak,

że przy jego gwałtownem usposobieniu ledwie co do kłótni nie dochodziło.

Szokalski tymczasem i ksiądz Sierociński inaczej zupełnie zachowywali się. Nie zmieniając wcale taktyki starali się więcej uważać i wybadywać ludzi, zanim wciągnęli kogo do związku. Sami zaś mniej widocznie schodzili się z sobą, i to tylko wtedy, gdy uwagi nie zwracali na siebie, w czem też często mieli sposobność, gdyż Szokalski jako lekarz wojskowy często był wołanym do szkoły, w której udzielał nauki ksiądz Sierociński. Ale i kapłan, wycierpiawszy tyle podczas dłuższej wędrówki i swojego wygnania, nadwątlił zdrowie swoje: często też musiał używać porady lekarskiej swego druha. Szokalski tak już był tu obytym ze wszystkim, a jako doskonały lekarz miał niemałe u Moskali zachowanie, że mu pobyt wszędzie stał się możliwym. Bardzo też często wołano go do miasta, i do okolicy nawet. Tutaj schodził się z innymi rodakami z różnych czasów. Znajdowali się nawet tacy, co dawniej wywiezieni zapomnieli prawie o wszystkim, lecz po rozmowie z lekarzem Szokalskim, albo też i z którym z jego wtajemniczonych, tęsknota się nazad w niejednym obudziła za utraconą Ojczyzną. Inni znów mieli się już żenić z Rosyankami, lecz po niejakiem czasie jakos ich myśl ta odbiegła. Wielu było w pułkach ze stanu włościańskiego, z małym wykształceniem, co za należenie nieponiewolne do wojska polskiego znajdowali się dziś od dawna już w pułkach sybirskich. Na tych musiał niejeden wpływać ze związkowych, by w nich ducha obudzić patryotycznego, i przygotować tak, ażeby bezwiednie dali się użyć, kiedy uderzy godzina wybuchu.

Szokalski zaś przebywając nieraz w mieście, nierad widział, iż tamże Zbigniew za często zaglądał. To go trwożyło, bał się bowiem, żeby się Zbigniew z czem nie zdradził przed kobietą. On sam bowiem jej nie dowierzał, ani też przezorności

młodzieńca. Lecz Zbigniew przed nim krył się ze swoją namiętnością, a na jego zagadnienia odpowiadał rozdrażniony. To właśnie utwierdzało starszego druha w myśli, iż ta kobieta opanowała Zbigniewa, widział nawet po nim, że on z sobą walczy... Dlatego też starał się bliżej dowiedzieć o niej, aby poznać, o ile grozić może druhowi młodszemu z tej strony niebezpieczeństwo. Lecz różnie o niej tutaj mówiono. Bo gdy jedni nie wierzyli wcale w stosunek rodzinny między nią a tym czynownikiem, który miał być jej bratem, inni znów o niej wyrażali się korzystnie, twierdząc, iż to osoba, która nie zasłużyła na swój los ciężki wygnania dalekiego od domu, za którym zawsze tęsknić miała. Byli nawet tacy, co powątpiewali o tem, co ona mówiła o właściwej przyczynie jej wygnania; złośliwi ci ludzie chcieliby widzieć tutaj karę zesłania za bardziej pospolite nawet zbrodnie. Jednak pewności żadnej nie było. Szokalski zaś postanowił sobie odwieść Zbigniewa — i gdy razu pewnego wszedł głębiej w młodzieńca, ostro mu zarzucając, że się sprzeniewierza Sprawie dla kobiety, i to obcej, której nie zna przeszłości, grożąc, iż ona stanie się dla niego i dla nich nieszczęściem, a nawet, że dziś żałują, iż go wciągnęli do spisku: wtedy rozeszli się już na prawdę, jakby nieprzyjaciele.

Po tej scenie jednak Zbigniew sam się przeraził — za nadto kochał on Ojczyznę, ażeby nie uznać prawdy słów starszego druha, postanowił zatem poświęcić namiętność swoją obojętkowi dla Ojczyzny.

Zeszedł się zatem w tym zamiarze z panią, myśli swoich z tem postanowieniem, aby jej jako szlachetnej istocie przedstawić, iż uczucia ich nie mogłyby nigdy zostać spełnione, gdyż drogi ich są wcale inne: ona bowiem wróci do ojczyzny swojej, on zaś tutaj zostanie na wygnaniu. A więc nacóż ma ją ludzi i siebie samego! On chce zostać wobec niej bez winy. Ufał bowiem w jej szlachetność i siłę woli. Wszak ona w obec

niego była zawsze pełną godności, lecz tu musiał doświadczyć, że stosunek jej ku niemu dziś jest gwałtowniejszym, niżeli on sądził. Ona zrobiła mu wyrzut, iż on tak łatwo o tem mówi, gdy ona dla niego nawet, co dziś wyjawiała, poświęciłaby kraj swój i powrót tamże w przyszłości. Dla niego zatem tyle poświęca, on zaś dziś ją zdradza.

— O! w tem musi być myśl inna? — zawołała z gwałtownością — Tu musi być inna kobieta.. Uważaj, nieszczęsny, bom ja już jednego za niewierność zabiła!.. Kobieta obrażona gętowa na wszystko.. choć ją potem skazali na deportację..

Gdyby Zbigniew był lepiej teraz uważał, z czem ona się w gniewie swoim wymówiła, gdyby może domyślił się, że czyn jej, za który dziś zostaje na wygnaniu, nie pochodzi może z oburzenia obrażonej przez naturę kobiety, ile raczej wybuchem był tylko zazdrości na niewiernego kochanka, namiętnej tej i umiejącej ukrywać namiętność swoją kobiety. Tutaj się w tej chwili uniosła, gdyż widocznie namiętność wzięła górę: obawa ją zdjęła, by dziś jego nie straciła.

Lecz Zbigniew przeciwnie, na zarzut jej, że w tem musi być inna kobieta, przeraził się — i był już w jej mocy.

Wtedy ona z niego powoli wybadała, iż tu wcale co innego jest przyczyną, i w samej rzeczy coś się dzieje między jego rodakami, co zagraża jego z nią stosunkowi.

I postanowiła wybadać to z całą żarliwością a gwałtownością zatrwożonej o stratę kochanka kobiety.

Wówczas poznał młodzieniec, że wpadł w sidła, z których się nie wycofa — ależ i on dziś wycofać się nie miałby podobno nawet i chęci.

## III.

Gdy więc tak się rozwijały stosunki — a związek rósł w liczbę i siłę — zima tego roku dochodziła właśnie do pory swej najgroźniejszej. Bywały już dni, w których zdawał się oddech ludzki krzepnąć, dymy zaś wychodzące z kominów wznosiły się prosto, sztywnie, do góry, zdając się w tym mrozie tężeć. Niebo zaś bywało jakąś mraką śniegową zasłonięte; czasami w południe zaiskrzyło mocniej słońce, rozbijając blaski śniegowe, jak gdyby w drzazgi dyamentowe, łącząc, to mieszając z sobą snopy odbitych promieni. Wszystkie budowle w twierdzy, mury i wały pokryte były grubą warstwą białą. Po za twierdzą zaś rozciągały się bez końca przestrzenie w grozie tylko białości. Białość ta bowiem stawała się na prawdę przerażającą. Wszystko, co żyło, zdało się nawet milknąć; mniej było służby wojennej i mniej było mustry, więcej tylko spijano po izbach gorzałki. Nie dziw też, że się więcej schodzono dziś po celach na rozmowy i na grę w karty. To było dobrą sposobnością, że spiskowcy mogli się schadzać zbierając grona grających w kości i karty. Cóż dziwnego, że i ksiądz Sierociński, nudząc się ze swoją młodzieżą kirgiską, schodził się na długie wieczory z druhem Szokalskim i innymi towarzyszami. Potworzyły się zatem kółka grających w karty. Ciepło było w izbie, gdy mróz na dworze do takiego dochodził stopnia, iż tam głosów straży nie było nawet słyhać. Rano dopiero stąd i zowąd zaraportowano, że ten i ów na straży pozostał wprawdzie do rana, lecz go już podczas zmieniania warty nie obudzono. Lekarz tylko posłany sprawdził, że już może nadejść pop, by ciało pokropić i dać wynieść na cmentarz tutejszy, odludny, z rejestru zaś imię jedno więcej wymazać. I nikt już o takim dalej nie mówił, jakby go nigdy na świecie nie było. A przecież i on



mógł kogo zostawić w domu, który może dotychczas oczekuje jeszcze powrotu żołnierza.

Dni były krótkie, wieczory długie, grała w karty starszyzna, grali w kości żołnierze. Było bowiem dość w tej twierdzy wielkiej granicznej batalionów kozackich i tatarskich. Ksiądz Sierociński, jako wykształcony człowiek, uczył nie tylko młodzież kirgiską, ale i starszym oficerom dawał lekcje języków, udzielając również i wiadomości matematycznych. A ponieważ mróz w dni takie dokuczał, lała też się i gorzałka, wielu przeto przez dzień cały chrapało.

Na takim zebraniu u Szokalskiego, gdzie się wielu zeszło, aby zabawić się gorzałą i kartami, był już i Kara Achmet, wciągnięty niedawno do spisku przez Mielecina.

Kirgiz dziś wyliczał, ilu im w dzień wybuchu przywiedzie swoich żołnierzy; bo choć on tych ani do rady, ani do tajemnicy wcale nie potrzebuje, jednak oni wiedzą, że on w pierw był księciem a potomkiem ich władców, zanim został oficerem carskim. Po starym, świętym dla Kirgizów zwyczajowi, pójdą za potomkami swoich Chanów tam, dokąd on im wskaże.

Słuchano tu słów jego uważnie. Szokalski i ksiądz Sierociński prosili go tylko usilnie, aby nikogo ze swoich nawet zaufanszych oficerów nie wtajemniczał co do związku, na co on się rzucił, obrażony, jakby ich miano za zdrajców... On przecież wie, komu ufać może, i kogo ma wtajemniczać. Pospółstwa przecież wtajemniczać nie będzie: oni pójdą tam, dokąd on im rozkaże.

Mimo to uradzono, ażeby z tem wtajemniczaniem niektórych odwlec jak najdłużej, i nie czynić nic bez poradzenia się z druhem Szokalskim, bo tu posłuch musi być zachowany, na co i Kara Achmet przystał.

Po niejakiem czasie usłyszano więcej kroków za drzwiami, jak gdyby jacy obcy niepowołani tutaj wchodzili.

W jednej chwili urwano narady, i rzucono się do kart z całym niby zajęciem. Niektórzy próbowali udawać już nawet kłócących się i pijanych.

W tem zapukano — niektórzy byli zaniepokojeni. Szokalski ze zwykłym spokojem poszedł otworzyć z zasówki.

I zdziwiono się, kiedy wszedł druż Jabłoński, a z nim kroczyło dwóch Tatarów.

Nie pojęli zrazu, po co oni tu wchodzą. Lecz Szokalski nie tracząc przytomności odezwał się pierwszy:

— Prowadzisz nam, kolego, dwóch jeszcze koleżków tu... do naszej zabawki?... No, jest-ci dość mohoryczu... Wystarczy nam!. Pokrzepimy się, zagramy trochę... a potem sobie zaśpiewamy...

Nieznacznie zaś wpatrzył się przenikliwie w Jabłońskiego, coby znaczyć mogło to jego z tymi ludźmi wejście... Ten zaś odezwał się bezzwłocznie:

— Mamy jeszcze dwóch... Za nimi pójda dziesiątki.. a może i setki...

— Chi! chi! — dodał z przymusowym uśmiechem Szokalski. — Tożby nam wypadało chyba całą sprowadzić beczkę.. a my tu w Omsku nie mamy naszej piwnicy... Lecz co mamy, no, razem wypijem!... Tylko że się tem wcale nie upijemy.

Inni jeszcze poglądali niepewni.

— Ależ wy nie rozumiecie? — odezwał się Jabłoński. — To przecie także nasi. Oni już wiedzą. Możecie im dzisiaj ufać.

Niektórzy z obecnych nieco się zatrwożyli... Jeden zaś z Tatarów odezwał się:

— Baczym, że nam — ci koledzy nasi, Laszkowie, jeszcze nie ufają... Ależ się stanie, jeśli się bliżej poznamy. Pogadamy, ano taj zapijemy.

Szokalski spojrział znacząco na Jabłońskiego, dając do zrozumienia, iż nieco za nierozważnie postąpił, dowierzając

pierwszemu lepszemu słowu człowieka. Inni tego samego widocznie byli zdania; po niejakiem zaś czasie poznali, że ludziom tym ufać można. A chociaż ze wszystkim nie wynurzano się przed nimi, byli jednak zdania, iż pomocy Tatarów lekceważyć nie należy, bo choć to nie Kirgizy, którzy jeszcze nie oswobili się z moskiewskimi rządami, mimo to i Tatar zarówno dyszy do swobody; do tego znaczna jest ich liczba w batalionach kozackich. Moznaby ich zatem przed samym wybuchem dobrze uraczyć wódką, by tę noc przespali, a na komendę wołani do szeregu nie byli się w stanie zebrać. Ano kto ich tak sprawi, że będą tak długo pik swoich szukali, a dłużej jeszcze broń nabijali, że już po czasie staną do ordynku?... No, kto to zrobi?... Jużci nie Lach, ani Moskal, jeno ich oficerowie, jakich tutaj widzimy.

#### IV.

Tak rósł związek coraz bardziej w siłę. Wtajemniczonych znalazły się dziś setki — a na dzień wybuchu liczono już na trzy tysiące prawie.

Ilość ta wtajemniczonych w spisku z dnia na dzień się wzmagala, że nareszcie obaj główni kierownicy, ksiądz Sierociński i druh Szokalski, byli tem niemało zaniepokojeni. Liczba taka musiała budzić obawę przy krewkości niejednego ze związkowych. Ci, co pierwszy raz byli w spisku, nie czuli tej trwogi, lecz doświadczeni, jak obaj główni kierownicy, i dawniejsi dekabryści, wiedzieli, iż tajemnica nie da się długo zachować, a Szokalski, który był żołnierzem w powstaniu listopadowem i lekarzem w pułku, choć nie bywał dawniej w spiskach, jednak był już z natury swojej więcej ostrożnym. Nawet i inni zaczęli się już obawiać.

W samej też rzeczy mieli słuszność, gdyż po niektórych już środkach ostrożności, jakie z drugiej strony przedsiębrano, można było zmiarkować, że się wróg czegoś na prawdę obawiać zaczyna. Może nie przeczuwa jeszcze spisku... dawało jednak to spiskowym do myślenia, że on dziś więcej zwraca uwagi na wcześniejsze zamykanie bram i na czujność straży na wałach; do tego częściej nachodzono teraz żołnierzy. Może się obawiają napadu wolnych hord kirgiskich?... Ależ poco byłyby niektóre już rewizye?... Poco nareszcie ta dzisiejsza ruchliwość głównego komendanta?...

Chodziły nawet pogłoski, że niektórych już uwięziono, lecz gdy bardziej śledzono, pokazało się, że są wszyscy na wolnej stopie spiskowcy.

Mimo to byli zdania naczelnicy spisku, że dzień wybuchu przyspieszyć należy. Jużci teraz więcej utrudnionem było komunikowanie się z miastem i okolicą.

Wybrano zatem najodważniejszych, aby już uwiadomić przebywających w mieście i okolicy o zaszłej decyzji i o dniu już blizkim wybuchu. Wysłanym był również Zbigniew do miasta, choć się temu Szokalski sprzeciwiał.

Różnie przyjmowano w mieście i okolicy tę wiadomość. Jedni byli zatrwożeni, nie mając wiele w tem wiary, inni, wечно tęskniący za krajem rodzinnym, z zapalem przyrzekli stanąć w dniu oznaczonym, inni mieli nareszcie ogromną ochotę, lecz siłom swym nie bardzo dowierzali. Atoli bądź co bądź wszyscy byli rozgorączkowani myślą powrotu do ojczyzny, a choćby tylko do bliżej jej granic. W mieście, w okolicy, gotowało się, co mogło.

Zbigniew był najruchliwszym w mieście — i udało mu się wielu zwerbować. Był pełen nadziei. Lecz w ostatniej chwili stanęła mu pani jego z wyrzutem, że w tak ważnej chwili przed

nią ukrywa tajemnicę. Ona zaś przeczuwa, iż on ją wkrótce opuści.

Zbigniew sam poznał, że jemu przyjdzie to ciężko... Odbывała się teraz walka w duszy młodzieńca, między tem, co się należy druhom jego i Sprawie, której poświęcił młodość i życie, a co winien kobiecie, która go dziś ukochała całą duszą. I on ją ma dziś tak zimno opuszczać?... Kiedy sam zostanie wolnym, pozostawi ją tu samą na tej pustoszy w rozpacz i zwątpieniu?

Ona przeczuła, że on się dziś chwieje. Wtedy użyła całego wpływu, jaki miała na niego — i łzami a rozpaczą wydobyla tajemnicę, czyniąc mu gorzki wyrzut, że przed nią tak długo ukrywał. Jak to?... Więc on jej nie dowierzał, i chciał ją zdradzić, gdy ona wszystko dla niego poświęcić gotowa? A jeśli się dowiedziała, że ją opuścił, wtedyby życie dla niej nie miało żadnej wartości! Ha! niechaj też wie, iż ona ma wolę stanowczą. Pierwsza bliższa woda, głębsza, uwolni ją!... On był przerażonym. Wtedy wydobyla z niego organizację związku i osoby główne kierujące spiskiem. Teraz go zapewniła, że i ona, choć kobieta, ma jednak męski hart duszy, i przebrana za mężczyznę również pójdzie z ich oddziałem. Bo czyż ona pierwsza, czy ostatnia, która brała udział w wyprawach?... Ale to jest i spisek; kobieta zaś w spisku jest chytrzejsza, a może prócz tego łatwiej się ukryć. Przyrzekła zatem z całą duszą służyć związkowi.

Zbigniew gdy wracał, rozgorączkowany, uwielbiał teraz kobietę, dziwiąc się sobie, iż się nie domyślił, że ona z nimi pójsć się odważy. Żali nie znał uczucia jej ku niemu, uczucia nie znającego żadnych zapor? Hart zaś woli u niej, jaki u mało mężczyzn!

Teraz musiał to wyjawic i druhom swoim, naczelnikom spisku. Tutaj zdybał się ze strasznym wyrzutem Szokalskiego. Przeor znów na tę myśl zamyślił się i bardzo sposepniał; druh

Ksawery zaś był w wysokim stopniu ku Zbigniewowi rozdrażnionym, wyrzucając mu, że zdradził związek przed kobietą, a ta kobieta będzie jego i ich wszystkich nieszczęściem! Gdy oni teraz obaj prawie nie śpią, przygotowując wszystko do wybuchu, rozdając już role, gdy Mielecin, Jabłoński, tatarscy nawet oficerowie, pełni są zapobiegliwości — on przeciwnie postawił związek cały nad krawędzią przepaści!

A to chwila dziś niebezpieczna — bo nietylko były już rewizye — ale i indagowano niektórych... Na prawdę już nawet i uwięziono kilku, choć jeszcze nie wiedzieć, w jakim zamiarze... i czy wiedzą o spisku i jego organizacyi?...

Straże zaś na wałach wzmocniono — patrolom nocnym w twierdzy obostrzono rozkazy — i widocznie zaczęto więcej wojska ściągac do twierdzy. Policya na prawdę się ruszyła. A tu teraz — Zbigniew na łaskę jednej niewiasty los związku całego pozostawił

W tak niebezpiecznej chwili zwołał Szokalski w wielkiej tajemnicy nocą nieliczne zebranie u siebie, jednakże bez Zbigniewa. Radzono tam nad tem, jakby też ominac niebezpieczeństwa, na które naraził Zbigniew związek cały, zdradziwszy tajemnicę przed kobietą, Rosyanką, której przeszłości nikt nie znał dokładnie, a której osobistość nie wydaje się być po temu, żeby się myślała za obcą jej Sprawę poświęcać. Doświadczeni wiedzieli prócz tego, czego zdolną być może namiętność kobiety w miłości. Byli nawet niektórzy zdania, iż tu wcale nie można chwiac się w środkach, a Mielecin ofiarował się sam pójść i sztylet utopić w piersiach tej niewiasty, a wtedy tajemnica będzie już bezpieczną. Tego samego zostawali zdania niektórzy ze zgromadzonych; Polacy zaś wzdrygali się na myśl, ażeby zabijać bezbronną kobietę, która jeszcze zbrodni nie popełniła; większość się chwiała, kapłan zaś wstrzymał wszystkich przed podobną zbrodnią, doprowadziwszy do tego z całą usil-

nością, że się wstydzili nawet myśli podobnej, aby dzieło wybawienia rozpoczynać krwawą zbrodnią. Zebranie się rozeszło, lecz postanowiono dzień wybuchu przyspieszyć, Zbigniewa zaś nie puścić już do miasta. Noc przeznaczona dla wybuchu została wybraną.

W dniach następujących widoczny był ruch z jednej i drugiej strony — ale jakaś ponura pośepność i niedowierzanie jednych drugim zdawało się już zawisnąć nad całą twierdzą. Naczelnicy garnizonu i policya widocznie byli czynni na wszystkie strony, ale i kierownicy ruchu. Zdawało się, jak gdyby wszyscy czekali na jakąś godzinę, która jeszcze nie nadeszła.

Aż tu naraz wieczora jednego, ksiądz Sierociński, Szokalski, Mielecin i inni główni spiskowcy — zostali uwięzieni.

## V.

Ruch nastął wielki w całej warowni. Drzwi do kazamatów raz po raz otwierano, dokąd wtrącono coraz nowych więźniów.

Rozpoczęły się śledztwa.

Areszty i kazamaty były przepelnione. Rozchodziły się głuche wieści, że około tysiąca osób uwięziono.

W całej twierdzy zamiast ćwiczeń wojskowych odbywały się rewizye i indagacye. Między starszyzną ruch nastął inny, niżeli przedtem. Szarże wojskowe wydawały się, jak gdyby w jednej chwili przeobraziły się w szarże policyjne.

Carscy słudzy widzieli już w bujnej wyobraźni chresty na piersiach swoich, szlify pułkowników i generałów: w nocy temu i owemu śniło się o całych worach napełnionych rublami. Spisek wielki — wielki to połów — setne zasługi sług carskich!

Każdy starał się jak największą sobie przypisać zasługę, a na drugich zwalić winę — że spisek do podobnych urósł rozmiarów. Polaków zaś spisywano jako zbójów, co chcieli wymordować wierne sługi carskie, warownię całą wysadzić w powiet-

rze — następnie zaś współ z Kirgizami i motłochem tatarskim podburzyć wszystkie ludy sybirskie, a pałac i rabując ciągnąć prosto na Moskwę i Petersburg. Widmo dekabrystów a upiór Pugaczewa nie dawały spać niejednemu w nocy

Rozgłaszano nawet po osadach sybirskich, że „Polaki“ chcieli nieść wszędzie żagwie pożaru, palić i mordować. Imię Polaka stawało się już postrachem ludności sybirskiej.

Owe zaś szwadrony Kirgizów i Tatarów, które wciągnięte przez swoich oficerów miały powiększyć siły związku, w imię wolności, dzisiaj czekały jeno, głodne łupów, żeby im kazano rzucić się na „Polaków“, obedrzeć ich do naga, a potem wymordować, wcale zaś nie myślały o obronie Kary Achmeta i innych potomków swoich chanów, zakutych dziś wraz z Lachami. Raczej czekali, kiedy przelożonych ze krwi ich własnej zaczęną przepędzać przez różgi, bo wtedy po pracy takiej lać się będzie gorzała.

W kazamatach podziemnych był ścisk, w celach pojedynczych siedzieli zakuci niebezpieczniejsi ze spiskowców — osobno sami jedni — aby się nie zmawiano

Indagacye ciągnęły się po indagacyach

Z indagacyi, z pytań zadawanych, domyślano się już, kto spisek zdradził O! miał słuszność druh Szokalski, co przepowiadał, iż niewiasta dla spisku stanie się fatalnością. Wyciągnęła tajemnicę z niebacznego, a z obawy, by nie stracić kochanka, kiedy opuszcza związkowi Sybir, uderzyła na alarm. Nie darmo też była na łasce brata swego. Ależ bo brat ten wcale jakoś nie zadawałał się wielką nagrodą, jaka nań spadnie koniecznie za podobne wykrycie, i którą winien był dzielić z siostrą swoją -- on dziś powodowany dziwną namiętnością, wcale jakoś nie braterską, nie oszczędził tej siostrze swojej, żeby jej nie stawiano do oczu Zbigniewowi przy indagacyi na świadectwo prawdzie.



Moskale zwykle ukrywają donosicieli, tutaj przeciwnie postawiono ją oko w oko kochankowi, ażeby przy indagacyi nie mógł zaprzeczyć.

Ciężka to była próba dla obojga. Brat ów, przytomny tej scenie, stał nad siostrą, jak kat, ażeby przed sędzią powtórzyła w oczy więźniowi, co dawniej zeznała o nim i o innych kierownikach spisku. Niewiasta była na torturze: brat ten widocznie pasł oczy swoje położeniem dziś obojga kochanków, zazdrość wcale nie ukrywana, płonęła mu w oczach, on się mścił, ona zaś była na prawdę tu osądzoną. Sędzia śledczy zaś dziwił się, dlaczego kobieta, mająca dziś tyle zasługi a nadzieję największej nagrody, teraz w obec więźnia stoi jak winowajczyni, jakby tu winowajca ów miał być dla niej raczej sam sędzią.

Lecz Zbigniew nie wiedział nawet, co się dziś z nim dzieje. Sam był bliskim obłądu. Na zadawane pytania dziś nawet odpowiadać nie mógł, siebie nie chciał oszczędzać, przyjaciół nie podobna mu było obronić, nie od należenia do spisku, lecz od kierownictwa nawet spiskiem. Na kobietę nie mógł pojrzeć, na widok jej wzdygał się i dostawał na prawdę febrę.

A kiedy się ta scena skończyła, i pozostał nazad sam jeden w celi, zapadł w samej rzeczy w febryczną gorączkę. Zrywał się i wołał, nie wiedzieć na kogo; jemu się zdało, że jest otoczony ludźmi, a on był tutaj sam jeden.

Byłby szczęśliwym, gdyby w tym stanie nieprzytomnym znalazł śmierć dla siebie. Ale sędziowie jego wcale nie myśleli oddać go wnet śmierci. Przywołano przeciwnie lekarza, aby go od niej zachował i przywołał do życia: życie bowiem jego dla nich dziś zostało drogiem. Pielęgnowano też jego, zabrawszy do szpitala. Przecież gotują dla niego inne jeszcze spotkania. Nie sprowadzili go jeszcze razem z księdzem, a potem z druhem Ksawerym, aby już sobie powiedzieli, o co sędzia zapyta.

Zbigniew leżał parę tygodni zupełnie nieprzytomny, w cią-

głym prawie śnie na jawie. Bóg się nad nim zlitował, że tymczasem śledztwo dalej postąpiło i poczęły się już konfrontacje jednych z drugimi. Lecz tylko dla niego, dla niej zaś wcale nie. Ona musiała doznać wszystkiego, otrzymawszy już karę na tym jeszcze świecie. Konfrontowano ją z księdzem, i jego towarzyszami, którym musiała powtarzać w oczy, co słyszała od ich młodszego druha, przez co role ich jasno jak na dłoni postawiono.

Kiedy Zbigniew przyszedł nareszcie do zdrowia, śledztwo już było tak daleko zaszło, iż raporty ze wszystkimi aktami odesłano już do Petersburga. Konfrontacja jego z towarzyszami była niepotrzebną, lecz mimo to nie chciano mu tego oszczędzić, ażeby on nie miał się dziś zejść z innym dla siebie sędzią.. a tym właśnie będzie naczelnik związku, ksiądz Sierociński, którego on dzieło na takie wprowadził stadyum.

Ponieważ teraz, po przeprowadzonych już indagacjach, więźniów razem ściągano do mniejszej ilości cel, Zbigniewa zatem dano do celi księdza

Straszmem było dla niego zejście się z kapłanem, który był niegdyś dla niego ojcem i mistrzem młodości, a dziś będzie sędzią.

Blady i drżący wepchnięty został do celi, gdzie kapłan siedział w ciężkich okowach. Ciemno się w oczach zrobiło młodzieńcowi, cofnął się na bok, a zakrywszy lice, płakał jak dziecko.

Lecz kapłan sam się zbliżył do nieszczęśliwego, a wzięwszy za rękę odezwał się tylko:

— Daj pokój! Wszyscyśmy winni.. Nikt nie jest bez winy i grzechu. Nie ty winny, ja sam winny, żem młodego wciągnął do spisku, wiedząc, jak rzecz z nim stoi. Módlmy się i prośmy Boga, aby nam wszystkim przebaczył.

Zbigniew nic nie mówiąc usunął się do nóg kapłanowi, a łkając odezwał się tylko:

— Święty człowieku! Ja grzesznik i zbrodniarz... Depc mnie i przeklinaj bo ciebie dziś... ja was wszystkich...

I nie mógł dokończyć.

— Kapłan nie depc grzesznika — odezwał się ksiądz — lecz winien mu podać rękę, aby się podniósł. a nie rozpaczał.

— Och! czy jest kara jaka, by zmazał winę swoją, kto swoich, choć bez widocznej chęci, zdradził, ale przecież zdradził — dodał z goryczą Zbigniew.

— Tyś nie zdradził swoich, ale dzisiaj zdradzisz, jeśli się oddasz zwątpieniu i rozpaczy. Wiedz bowiem, że rola nasza jeszcze nie jest skończona. Umieliśmy działać i tworzyć związki, siebie i drugich narażać na niebezpieczeństwa, potrafiłyśmy zatem dziś cierpieć, dając tem świadectwo prawdzie. Dziś działać dla świętej naszej Sprawy nie możemy, ale cierpieniem naszym i siłą duszy a godnością w ponoszeniu mąk naszych mamy dać świadectwo, za jaką to my sprawę cierpimy. Bo wiedzieć nam o tem, że czy dziś nie jeno tych, co na Sybirze, lecz i onych, co w całej są Europie, na nas tuż zwrócone. O! niejednego będą teraz odwozić wrogowie nasi, czekając, żeby nas splamic, jakbyśmy się sprzeniewierzyli Sprawie, dla której żyliśmy dotychczas i działali, a niejednemu przyjdzie jeszcze wybierać pomiędzy męczeństwem za Sprawę a nadzieją życia na tym świecie. Niemało czeka nas jeszcze. Rola nasza nie jest skończona. Jeżeli wytrwamy w cierpieniu, na świadectwo prawdzie, a nie oddamy się zwątpieniu, ani pokusom wroga, to jeszcze rzecz nie jest straconą: śmierć bowiem każdego z nas będzie jedną z cegiełek do postawienia gmachu wielkiego przyszłości ojczystej.

Kapłan wieszczym głosem mówił, a Zbigniew widział na prawdę, jak aureola natchnień otoczyła skronie świętego człowieka.

## VI.

Głucha posępność -- straszna -- osiadła dziś w całej warowni. Nawet indagujący czuli teraz grozę położenia. Protokoły śledztwa całego odeszły już do Petersburga, a kto to wiedzieć może, czy stamtąd nadejdą dla nich awanse i chresty, czy też może nagany i degradacye, za dopuszczenie do takiego związku?

Wszyscy czuli, iż nadejdzie dzień, który będzie niepodobnym do dni, jakie minęły

Atoli dzień po dniu przechodził w jednakowem oczekiwaniu i jednakowej niepewności, bo stolica daleko, a tu dziś noce wleką się długie

Wlekły się też długie dla rządzących w warowni, wlekły się dłuższe jeszcze dla oczekujących wyroku

Nareszcie nadszedł ze stolicy wyrok carski.

Pierwszy otworzył go komendant, a choć człowiek ten wcale nie przyzwyczajony do litości -- zbladł jednak, kiedy przeczytał wyrok.

Rozpocznie się teraz straszna zemsta. Jedni skazani zostali na dwa do trzech tysięcy pałek, a potem w katorgę, główni zaś naczelnicy spisku na pięć tysięcy! Był to wyrok śmierci: straszniejszy jeno -- bardziej wyrafinowana zemsta Mikołaja! Car polecił mordować, ale pałkami: „bez poszczady“ stało napisane własną ręką cara. Wyrok ten zapadł na obu naczelników związku, kapłana i lekarza; Zbigniew, Mielecin i Jabłoński, wszyscy skazani zostali na cztery tysiące pałek. Była to liczba dostateczna, ażeby żaden po niej już nie powstał. Chodziło tylko o formę, aby zamarkować kierowników główniejszych. Oficerowie kirgisy i tatarscy otrzymali karę lżejszą, bo odrazu na rozstrzelanie.

Kiedy się o wyroku i inni z sędziów w twierdzy dowiedzieli, zapanało ponure milczenie. Jeszcze teraz nie chcieli

wierzyć wszyscy. że mają katować w taki sposób nawet lekarza i kapłana. Kto taki wyrok okropny wykona: natura nawet moskiewska przed tem się wzdygnęła.

Nadjechał teraz dla wykonania wyroku carski wysłaniec, generał Gałafiejew.

Wszyscy w twierdzy zadrżeli. Poznano bowiem, że car przysłał tu swojego człowieka.

Kiedy zbliżał się już dzień, jakiego drugiego nie zapamiętają na sybirskiej ziemi — do celi, w której siedział gotujący się na śmierć kapłan, wszedł pop prawosławny. A zbliżywszy się do więźnia odezwał:

— Ostatnia nadchodzi już chwila, wiesz, nieszczęsny, co ciębie czeka. Uniknij jeszcze hańbiącej śmierci. i padnij do nóg namiestnikowi carskiemu. Powiedz, że uznajesz dziś błędy i wracasz do cerkwi prawowitej, a wtedy on ci zmieni karę na dwa lata może katorgi. a potem „na posilenie“.

— Co? ja, tyle wycierpiawszy, miałbym na końcu życia zdradzić dziś swoją wiarę?

— Ażaliś jej nie zdradził wraz z łacinnikami?... Czyście nie odstąpili od wiary ojców? Dlatego dziś wam przyszło cierpieć.

— I cierpieć będziemy, jeśli taka wola Boga — odrzekł stanowczo kapłan katolicki

— Więc odrzucasz łaskę?... A zatem gotuj się poddać plecy swoje pod karę hańbiącą!

Przeor się odwrócił, nie myśląc już nie odpowiadać. Pop wyszedł.

Kapłan katolicki nie wiedział, iż ostatniej zbył się teraz zdrady i podstępny nیکczemnego; wróg bowiem chciał zedrzeć tylko z męczennika aureolę męczeństwa: chciano go bowiem dziś nie tylko zabić, ale i shańbić przyjęciem prawosławia, a potem mimo to wykonać egzekucję. Atoli dobry anioł strzegł zawsze kapłana.

Nadszedł nareszcie dzień straszny, pamiętny w czarnych dziejach Syberyi.

Dzień ten był mroźny, zimowy. Nad ziemią, jakby przeżoną, wisiało niebo strasznie pęsejne — i zdało się nad nią ciężać... W powietrzu czuć było grozę nadchodzącej godziny.

Uderzyły bębny, raz i drugi, na placu przed warownią. Rozwinęły się dwa szeregi żołnierzy w linię prostą, długą, uzbrojone w knuty. Te były przygotowane na głównych winowajców.

Dalej wyciągnięto, dwa inne szeregi, przez które miano gonić tych, co na mniejszą ilość razy byli skazani.

Sprowadzono skazanych. Mimo mrozu kazano wszystkim poobnażać plecy.

Lekarza Szokalskiego najpierw wyprowadzono. Przywiązano mu ręce do kolby karabinu, za który dwóch posiepaków żołdackich wzdłuż pierwszej strasznej ciągnęło alei.

Bębny uderzyły głucho. Z obu stron zaczęły się sypać razy od knutów czeredy pilnowanej przez oficerów. Razy padały na plecy obnażone — siekły i krwawiły. Głos bębnów zagłuszał jęki męczennika. Sznurem krwawym znaczył się śnieg biały, kędy biegł delikwent. Gdy upadał, podnoszono go, każąc biedz dalej — żołnierzom zaś polecono smagać bez przerwy.

Niebo w górze, ciężkie, ołowiane, widziało tę scenę — i dzieje ją zapisały.

W oczach pościąganych ludzi z miasta, Baszkirów nawet i Tatarów, malował się przestרח na twarzy, a doktor Moskalski, nawet kroczący po formie obok szeregu na równi z delikwentem, pierwszy krzyknął: „Lżej bić, bo nie wytrzyma!” Oficer zaś za nim idący wrzasnął: — Nie ustawać! *Pokriepsze!* Bić mocniej, taki rozkaz!

Tu doktor urzędowy wzdrygnął się, zawoławszy na oficera:

— Jestem lekarzem, to do mnie należy... wiem, ile który wytrzyma. Toby było morderstwo, nie egzekucya!

— Pan trzymasz ich stronę... Pan odpowiesz! — krzyknął rozwścieklony oficer.

— I odpowiem — była odpowiedź doktora.

— Przed carem?

— Żeby i przed carem!... Zaprzestać!

Kłótnia powstała między doktorem a oficerem.

— Nie widzicie, że słabnie?... Podnieść go!

Żołnierze podnieśli.

Nadbiegł rozwścieklony, od drugiego szeregu, gdzie katowano innych skazańców — sam Gałafiejew.

— Co?... Bunt!... dalej! *Bez poszcządy*, psie syny! — wrzeszczał generał.

Podnoszono mdlejącego i ciągniono za kolbę karabinową.

Teraz już i okrzyk grozy wyszedł z piersi przyglądających się scenie Azyatów.

Z drugiego szeregu słychać było: „Nie rusza się“. — „To na bok trupa!“ — wrzasnął egzekwujący.

Bębny teraz grzmiały — pędzono — razy dalsze padały...

Po krótkiej chwili nie podobna było dalej gonić Szokalskiego. Odstawiono zatem na pół żywego delikwenta do lazaretu, by po wyleczeniu dalszą ilość razy dołożyć!

Było to w chwili, kiedy właśnie Gałafiejew pognął był sapiąc do drugiego katującego oddziału.

A gdy tamże który padał bez sił, podnoszono i dalej pędzono. Tych, co już destali zawyrokowaną liczbę, odnoszono do lazaretu, innych pędzono dalej...

Rozbestwiony wołał Gałafiejew, już ochrypli:

— Jeśli który znowu trup, na bok z nim!

— Jeden znowu leży — wołano.

Doktor tamtejszy krzyknął: „Przestać! To mord!“

— Ja rozkazuję — wrzasnął generał, skoczywszy na doktora. Precz z nim, doktorem psubratem!...

— Jabłoński już się nie rusza!

— Nie wyliczono jeszcze — zawołał Gałafiejew — przywiązać trupa do sani i bić dalej!

Na to już oburzenie grozy przeleciało nawet po Azyatach. A generał wołał:

— Dalej rabiata! Robić, co każe!

Po chwili wnoszono innych do lazaretu.

Nareszcie wprowadzono kapłana.

Zbliżył się wnet do niego pop prawosławny, szepnąwszy do ucha: „Ostatnia chwila, zrzuć błędy, i uniknij hańby!“

Lecz kapłan spokojnie odrzekł: „Tam moje miejsce, gdzie moich braci!“ I dalej postąpił.

Pop dał znak przeczenia generałowi, a oczy generała zaszyły krwią. On dyszał zemstą: bo to ksiądz katolicki.

Lud nawet moskiewski zadrżał w tej chwili, gdy zobaczył idącego na egzekucję kapłana. Niebiosa same zdawały się teraz ciemnieć.

Niektórzy mieli jak gdyby pytanie w oku: Czy teraz generał nie zatrzyma się? Lecz kapłan odezwał się spokojnie: „Nie patrzcie się i nie zwlekajcie: Ja tam idę dokąd poszli moi“.

Kiedy skazanego wiedziono między dwoma szeregami, sam teraz Gałafiejew, dyszący zemstą, a bojąc się trwogi żołnierzy, postępował wzdłuż szeregu, znacząc kredą każdego na plecach żołnierza, przeznaczając na karę, któryby słabiej uderzył.

Zdało się w tej chwili, iż niebiosa coraz bardziej z każdą chwilą ciemnieją.

Kapłan szedł, jak niegdyś Chrystus na Golgotę.

Bębny uderzyły — rozpocznie się sąd straszny.

Po otrzymaniu pierwszego tysiąca razów, padł już bez sił na śniegu, i musiano go dźwigać.

Gałafiejew wołał: „Ciągnąć dalej!“ Lecz po drugim tysiącu przeląkł się generał, żeby mu ofiara nie wymknęła się,



i nie została na miejscu trupem, zanim wyrafinowanej zemsty dalej wykona. Kazał go zatem zanieść do lazaretu, na dni dalsze zemsty.

Skończył się dzień ten, w którym słońce na ziemię ani na chwilę nie wejrzało, jakby ze wstydu, że takim ma świecić ludziom na ziemi bożej.

Wszyscy leżeli teraz w lazarecie, raz poraz rzucając się ze strasznego bólu. Ten i ów budził się już w malignie. Chwilami zrywał się chcąc uciekać nieprzytomny, lecz wnet bez sił padał.

Druh Ksawery był przytomny, ale z bólu zacinał tylko zęby. Mimo to podawał, jak mógł, sposoby, aby ratować innych. Kapłan, na wszelkie przyjaciela wezwania, żeby mu niesiono pomoc, odzywał się tylko: „Mnie już nie potrzeba... Bóg się zlitował... i ja już długo nie będę się męczył... Już nawet mniej cierpię“...

I tylko cicho dyszał jeszcze.

W celi tej widocznie zdawało się słyszeć lekki szelest Anioła śmierci.

Kapłan słabym głosem mówił jeszcze:

— Dziękuję Jemu, że mi dał wytrwać, a nie splamić się... Wy młodzi, którzy przetrwacie, bodaj niektórzy, pamiętajcie, aby cierpieć, jako przystoi, wam, jako synom Narodu, a nie splamić się. To dziś naszą niechaj będzie pracą dla biednej Ojczyzny.

— O niech ze krwi naszej wylanej na przyszłość, wstaną mściciele! — zawołał Szokalski, jęknąwszy z bólu.

— Powiedz raczej, bracie, odkupiciele! — I pochylił się na bok, szepcząc modlitwę.

Jęki i głuche stękania rozlegały się po ciemnej komnacie. Wtem się wstrzęśli ci, co byii przytomni, bo usłyszano kilka po sobie następujących strzałów...

— Ha! teraz posyłają kule w piersi szlachetnych oficerów kirgiskich i tatarskich, co dotrzykali wiary związkowi. Ich śmierć przynajmniej lżejsza, niżeli nasza.

Powoli zaczął się niby budzić, jakby do przytomności, Zbi-

gniew, rzucający się w bolach. Ksiądz się podniósł z wysiłkiem wołając na Szokalskiego:

— Ratusz Zbigniewa! Patrz, jak on okropnie cierpi...

Lecz Szokalski taki był zbity i poszarpany, iż nie mógł się sam ruszyć na łożu mówiąc: „Prosz, ojcze, kogo innego o ratunek dla niego... bo ja... widzisz.. ja... siły nie mam powstać“...

Tu zaciął zęby mrując: „Boże! co za męka! Tak długo konać!“

Zmógł się wtedy kapłan z forsą i zawlekl chwiejacy do Zbigniewa, chcąc go ratować, lecz ten w okropnych mękach wnet ducha wyzionął.

— Boże! przyjm tę duszę na ofiarę przyszłą dla Narodu Twego! — I upadł, sam sił nie mając.

Potem zwlekl się jeszcze, gdzie leżał Mielecin, ale ten już znaków życia nie dawał. Dwóch innych skonało, zanim ich wnieśli teraz do lazaretu

Inni w strasznych mękach jeszcze jęczeli.

Kapłan chciał zwlec się do tych, co wołali pomocy, lecz nie doszedłszy sam, padł, modląc się już tylko leżący, za nich i za siebie. Bo wiedział, że się ostatnia zbliża godzina...

Wtem jęknął, bo go zaczęło kłuć koło piersi, on nagle blednął...

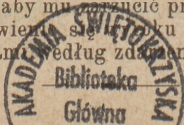
Po chwili męczennik już nie żył.

W górze widziały niebiosa to wszystko, a Bóg dzień ten zapisze do szeregu zbrodni katów Narodu

K O N I E C.

### Przypisek autora.

Obraz niniejszy skreślony jest na podstawie faktów historycznych. Przeor Bazylianów ks Sierociński i lekarz Szokalski są to osoby historyczne, a losy ich okropne, oddane tu są na podstawie wypadków rzeczywistych, jak i cały spiszek Omski Tragiczny koniec bohaterów powieści nie jest utworem tylko fantazyi autora, lecz skreślony tak, jak się wydarzył w Omsku za cara Mikołaja I. Gdyby autor koniec powieści wraz z okrutnym wyrokiem oddał według swej fantazyi, możnaby mu zarzucić przesadę, lecz właśnie koniec ten męczenników i srogie pastwienie się ich przy sądzie carskiego, skreślone jest tu ze wszystkimi nawet szczegółami według zdania rzeczywistego w r. 1839.





1.290 - VII/2

119/1222

3387/20

69

Biblioteka WSP Kielce



0287084